Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.


Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym woluminie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczerze się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.

- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewywołanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.

- Zachowaj wprzypisania
  Źnaki wodne"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.

- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Miej na uwadze Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem http://books.google.com/
Pisma

Henryka Sienkiewicza.

TOM X.

POTOP.

TOM I.

Warszawa.

Nakład Gebethnera i Wolffa.

1888.
HENRYK SIENKIEWICZ.

POTOP.

Powieść historyczna.

Wydanie drugie.

TOM I.

WARSZAWA.

Nakład Gebethnera i Wolffa.

1888.
Дозволено Цензорю.
Варшава, 28 Апреля 1888 г.

KRAKÓW.
Druk Wj. L. Anczyca i Spółki, pod zarządem Jana Gadowskiego.
W S TĘP.

Był na Żmudzi ród możny Billewiczów, od Mendoga się wywodzący, wielce skoligacony i w całym Rosieńskiem nad wszystkie inne szanowany. Do urzędów wielkich nigdy Billewiczowie nie doszli, co najwięcej powiatowe piastując, ale na polu Marsa niepożyte krajowi oddawali usługi, za które różnemi czasami hojnie bywali nagradzani. Gniazdo ich rodzinne, istniejące do dziś, zwało się także Billewicze, ale prócz nich posiadali wiele innych majątności i w okolicy Rosień i dalej ku Krakínowu, wedle Laudy, Szoj, Niewiaży — aż hen, jeszcze za Poniewieżem. Potem rozpadli się na kilka domów, których członkowie potracili się z oczy. Zjeźdzali się wszyscy wówczas tylko, gdy w Rosenich, na równinie zwanej Stany, odbywał się popis pospolitego ruszenia żmudzkiego. Częściowo spotykali się także pod chorągwiami litewskiego komputu i na sejmikach, a że byli zamożni, wpływowi, więc liczyć się z nimi musieli sami nawet wszechpotężni na Litwie i Żmudzi Radziwiłłowie.

Za panowania Jana Kazimierza, patryarychą wszystkich Billewiczów był Herakliusz Billewicz, pułkownik lekkiego znaku, podkomorzy upicki. Tam nie
mieszkał w gnieździe rodzinnem, które dzierżył pod owe czasy Tomasz, miecznik rosieński; zaś do Herakliusza należały Wodokty, Łubicz i Mitruny, leżące w pobliżu Laudy, naokoło, jakoby morzem, ziemianami drobnej szlachty oblane.

Prócz Biliewiczów bowiem, kilka było tylko większych domów w okolicy, jak Sołłohuby, Montwiłłowie, Schyllingowie, Koryznowie, Sicinęcy (choć i drobnej braci tychże nazwisk nie brakło), zresztą całe porzecze Laudy usiane było gęsto tak zwanem „okolicami“, albo mówiąc zwyczajnie: zaściankami, zamieszkałemi przez sławną i głośną w dziejach Żmudzi szlachtę laudańską.

Było i więcej zaścianków, było i więcej rodów. Wielu z nich nazwy istnieją jeszcze, ale po większej części i zaścianki nie leżą tak, jak leżały i ludzie inni w nich imionami się wołąją. Przyszły wojny, nieszczęścia, pożary, odbudowywano się nie zawsze na dawnych pogorzeliskach, słowem: zmieniło się wiele. Ale czasu swego kwitnęła jeszcze stara Laudia w pierwotnym bycie i szlacha laudańska do największej doszła wziętości, gdyż przed niewielu laty, czyniąc pod Łojowem przeciw zbuntowanemu kozactwu, wielką się sławą pod wodzą Janusza Radziwiłła okryła.

Służyli zaś wszyscy laudańscy w chorągwi starego Herakliusza Billewicza; więc bogatsi, jako towarzysze, na dwa konie, ubożsi na jednego, najubożsi w pocztowych. Wogóle szlachta to była wojenna i w zawodzie rycerskim szczególnie rozmitowana. Natomiast na tych sprawach, które zwykłą matrycą sejmików stanowiły, mniej się znali. Wiedzieli, że król jest w Warszawie, Radziwiłł i pan Hlebowicz, starosta, na Żmudzi, a pan Billewicz w Wodoktach na Laudzie. To im wystarczało i głosowali tak, jak ich pan Billewicz nauczył, w przekonaniu, że on chce tego, czego i pan Hlebowicz, ten znów z Radziwiłłem idzie w ordynku, Radziwiłł jest ręką królewską na Litwie i Żmudzi, król zaś małżonkiem Rzeczypospolitej, ojcem rzeszy szlacheckiej.

Pan Billewicz był zresztą więcej przyjacielem, niż klientem potężnych oligarchów w Birżach — i to wielce cenionym, bo na każde zawołanie miał tysiąc głosów i tysiące szabel laudańskich, a szabel w rękach Stakjanów, Butrymów, Domaszewiczów, lub Gasztutowtów nie lekceważył jeszcze w tym czasie nikt w świecie. Później
dopiero zmieniło się wszystko, właśnie wówczas, gdy pana Herakliusza Billewicza nie stało.

Nie stało zaś tego ojca i dobrodzieją szlachty laudańskiej w r. 1654. Rozpaliła się wówczas wzdłuż całej wschodniej ściany Rzeczypospolitej straszna wojna. Pan Billewicz już na nią nie poszedł, bo nie pozwolił mu na to wiek i głuchota, ale laudańscy poszli. Owoż, gdy przyszła wieść, że Radziwiłł pobity został pod Szkłowem, a laudańska chorągiew w ataku na najeźdną piechotę francuską prawie w pień wycięta — stary pułkownik, rążyony apopleksją, duszę oddał.

Wiedź tę przywiózł niejaki pan Michał Wołodyjowski, młody, ale bardzo wspaniony żołnierz, który w zastępstwie pana Herakliusza, laudańskim z ramienia Radziwiłła przewodził. Resztki ich przybyły także do zagród ojczystych, znękane, pognębione, zgłodzone i śladem całego wojska na hetmana wielkiego narzekając, że ufną w grozę swego innienia, w urok zwycięży, z małą siłą na dziesięćkroć liczniejszą potęgę się rzucił, a przez to pograżył wojsko, kraj cały.

Lecz wśród ogólnych narzekania ani jeden głos nie podniósł się przeciw młodemu pułkownikowi, panu Jerzemiu Michałowowi Wołodyjowskemu. Owszem ci, co uszli z pogromu, wysławiali go pod niebiosa, cuda opowiadając o jego doświadczeniu wojskowem i czynach. I jedyną to było pociechą dla laudańskich niedobitków wspominać o przewagach, których pod przewodem pana Wołodyjowskiego dokonali: jako w ataku przesobili się niby przez dym, przez pierwsze kupy pośledniejszego żołnierza; jak potem na francuskich najemników wpałmy, cały regiment najprzeźdniejszy w puch na szablach roznieśli, przyczem pan Wołodyjowski własną ręką
ściął tegoż regimentu oberszta; jako nakoniec oto-
czeni i w cztery ognie wzięci, salwowali się po despe-
racku z zamętu, gęstym trupem padając i nieprzyja-
ściela łamiąc.

Słuchali z żalem, ale i dumą, owych opowiadani ci
z laudańskich, którzy wojskowo w kompucie litewskim
nie służąc, obowiązani byli tylko w pospolitem ruszeniu
stawać. Spodziewano się też powszechnie, że pospolitie
ruszenie, ostateczna kraju obrona, wkrótce zostanie
zwołane. Była już zgory umowa, że w takim razie pan
Wołodyjowski zostanie obrany laudańskim rotmistrzem,
bo choć się do miejscowego obywatelstwa nie liczył, nie
było odeń między miejscowem obywatelstwem sławniej-
szego. Niedobitkowie mówili jeszcze o nim, że samego
hetmana z toni wyrwał. To też cała Lauda na rękę go
prawie nosiła, a okolica wydzierała go okolicy. Kłócili
się zwłaszcza Butrymi, Domaszewicze i Gasztowtowie,
uczących ma zostać na dłużej gościną. On zaś tak
sobie owę bitną szlachtę upodobał, że gdy okruchy
wojsk radziwiłłowskich ciągnęły do Birż, by tam jako
tako po klęsce przyjść do sprawy — on z innymi nie od-
szedł, ale jeźdząc z zaścianku do zaścianku, w Pacune-
lach u Gasztowtów wreszcie stałą rezydencją założył,
u pana Pakosza Gasztowta, który nad wszystkimi
w Pacunelach miał zwierzchność.

Co prawda, nie mógłby być pan Wołodyjowski
żadną miarą do Birż jechać, gdyż zachorował obłożnie,
najprzód przyszły nań zło gorączki, potem od kontuzji,
które był pod Cybichowem otrzymał, odjęło mu prawą
rękę. Trzy panny Pakoszówny, słynne z urody pacu-
nelki, wzięły go w czułą opiekę i poprzysięgły tak sła-
wnego kawalera do pierwotnego zdrowia doprowadzić,
szlachta zaś kto żyw był, zajęła się pogrzebem dawnego swego wodza, pana Herakliusza Billewicza.

Po pogrzebie otwarto testament nieboszczyka, z którego pokazało się, iż stary pułkownik dziedziczką całej fortuny, z wyjątkiem wsi Lubicza, uczynił wnuczkę swą Aleksandrę Billewiczównę, łowczankę upicką, opiękę zaś nad nią, dopókiby zamąż nie poszła, powierzył całej szlachcie laudańskiej...

... „Którzy, jako mnie życzlivymi byli (głosił testament) i miłością za miłość płacili, niechże i sierocie tak będą, a w tych czasach zepsucia i przewrotności, gdy przed swawolą ludzką nikt bezpieczen, ani próżen bojaźni być nie może — niechaj sieroty przez pamięć moję od przygody strzegą.

„Baczyć także mają, aby fortuny w bezpieczności zażywała, z wyjątkiem wsi Lubicza, którą panu Kmiciowi, młodemu chorążemu orszańskiemu dawam, darowuję i zapisuję, aby w tem przeszkody jakiej nie miał. Ktoby zaś się tej przychylności mojej dla W-ego Andrzeja Kmica dziwował, albo w tem krzywdę wnuczki mojej urodzonej Aleksandry upatrywał, wiedzieć ma i powinien, źadem od ojca urodzonego Jędrzeja Kmica jeszcze z młodych lat, aż do dnia śmierci, przyjaźni i zgoła braterskiego afektu doznawał. Z którym wojny odprawowałem i życie mi po wielokroć ratowałem, a gdy złość i invidia panów Sicińskich wydrzeć mi fortunę chciały — i do niej mi dopomógł. Tedy ja, Herakliusz Billewicz, podkomorzy upicki, a razem grzesznik niegodny, przed srogim sądem bożym dziś stojący, przed czterema laty (żyw jeszcze i nogami po nizinie ziemskiej chodząc) do pana Kmicia, ojca miecznika Orszańskiego się udalem, aby wdzięczność i przyjaźń stateczną ślu
wać. Tamże, za wspólną zgodą, postanowiliśmy obyczajem dawnym szlacheckim i chrześcijańskim, że dzieci nasze, a mianowicie syn jego Andrzej z wnuczką moją Aleksandrą, łowczanką, stado uczynić mają, aby z nich potomstwo na chwałę Bożą i pożytek Rzeczypospolitej wyrosło. Czego sobie najmocniej życzę i wnuczkę moję Aleksandrę do posłuszeństwa tu wypisanej woli obowiązuje, chyby pan chorąży orszański (czego Bóg nie daj) szpetnemi uczynkami sławę swą splamili i bezecnym był ogłoszony. A jeśliby substancją swą rodzinną utracił, co przy tamtej śiance, wedle Orszy, łacnie zdarzyć się może, tedy go ma pod błogosławieństwem za męża mieć, choćby też i od Lubicza odpadł, nic na to nie zważać.

„Wszelako, jeśliby za szczególną łaską Boga, wnuczka moja chciała na chwałę Jego panieństwo swe ofiarować i zakonny habit przywdziać, tedy wolno jej to uczynić, abowiem chwała Boża przed ludzką iść powinna”....

W takim sposób rozporządził fortuną i wnuczką pan Herakliusz Billewicz, czemu nikt się bardzo nie dziwił. Panna Aleksandra zdawna wiedziała co ją czeła i szlachta zdawna o przyjaźni między Billewiczem a Kmicicami słyszała — zresztą umysły w czasach kłeski czem innem były zajęte, tak, że wkrótce i mówić o testamencie przestano.

Mówiono tylko o Kmicicach nieustannie we dworze w Wodoktach, a raczej o panu Andrzeju, bo stary mięcznik nie żył już także. Młodszy pod Szkłowem z własną chorągwią i orszańskimi wolentarzami stawał. Później zniknął z oczu, ale nie przypuszczano, żeby zginał, gdyż śmierć tak znacznego kawalera pewnieby nie uszła niepostrzeżenie. Familianci to bowiem byli w Or-
szańskim Kmiecicę i panowie znacznych fortun, ale tamte strony płomień wojny zniszczył. Powiaty i ziemie całe zmieniały się w głuche pola, kruszyły się fortuny, ginęli ludzie. Po złamaniu Radziwiłła nikt już silniejszego oporu nie dawał. Gosiewski, hetman polny, sił nie miał; koronni hetmanowie wraz z wojskami na Ukrainie ostatkiem wojsk walczyli i wspomóc go nie mogli, również jak i Rzeczpospolita przez wojny kozackie wyczerpana. Fala zalewała kraj coraz dalej, gdzieniegdzie tylko o warowne mury się odbijając, ale i mury padały jedne za drugiemi, jak upadł Smoleńsk. Województwo Smoleńskie, w którym leżały fortuny Kmieciców, uważano za stracone. W powszechnym zamieszaniu, w powszechnej twodzi rozproszyli się ludzie, jak liście wicherem rozegnane i nikt nie wiedział, co się z młodym chorążym orszańskim stało.

Ale że do starostwa Żmudzkiego wojna jeszcze nie doszła, ochłonęła zwolna szlachta laudańska po klęsce szkłowskiej. „Okolice” poczęły się zjeżdżać i naradzać tak o rzeczy publicznej, jak o sprawach prywatnych. Butrymowie, najskorscy do boju, przebąkawali, że trzeba będzie na kongresu pospolitego ruszenia do Rosień jechać, a potem do Gosiewskiego, by pomścić szkłowską przezaną; Domaszewicze myśliwi poczęli się zapuszczać lasami, puszcza Rogowską, aż pod zastępy nieprzyjacielskie, wieści z powrotem przywożą; Gościewicze Dymni w dymach mięso na przyszłą wyprawę wędzili. W sprawach prywatnych postanowiono bywałych i doświadczonych ludzi na odszukanie pana Andrzeja Kmiecica posłać.

Składali owe rady starsi laudańscy pod przewodem Pakosza Gasztowta i Kassyana Butryma, dwóch
patryarchów okolicznych — wszystka zaś szlachta, której ufność, jaką w niej położył zmarły pan Billewicz, wielce pochlebiała, poprzysięgła sobie wiernie stać przy literze testamentu i pannę Aleksandrę prawie rodzicielską opieką otoczyć. To też, gdy czasu wojny, nawet w stronach, do których wojna nie doszła, zrywały się niesna- ski i zawichrzenia, na brzegach Laudy wszystko pozostało spokojnie. Żadnych dyferencyj nie podniesiono, nie było żadnego worywania się w granice majątności młodej dziedziczki; nie przesypywano kopców, nie wycięto cechowanych sosen na rubieżach lasów, nie zajechano pastwisk. Owszem wspomagano zasobną samę przez się dziedziczkę, czem która „okolia” mogła. Więc Stakjanowie nadrzeczni nadsyłali ryby solonej, z Wołmontowicz od mrukliwych Butrymów przychoǳiły zboża, siano od Gasztowtów, zwierzyna od Domaszewiczów myśliwych, smoła i dzegie od Gościewiczów Dymnych. O pannie Aleksandrze nikt inaczej w zaścią- kach nie mówił, jak „nasza panna”, a piękne pacunelki wyglądały pana Kmicica bogdaj tak samo nie- cierpliwie, jak ona.

Tymczasem przyszły wieści zwołujące szlachtę — więc poczęto ruszać się na Laudzie. Kto z pacholejca wyrosł na męża, kogo nie pochylili wiek, ten na koni siadać musiał. Jan Kazimierz przybył do Grodna i tam miejsce generalnego zboru naznaczył. Tam też cią- gnieło. Ruszyli w milczeniu pierwsi Butrymowie, za nimi inni, a Gasztowtowie naostatku, jak zawsze czy- nili, bo im od pacunek żal było odjeżdżać. Szlachta z innych stron kraju w małej tylko stawiła się liczbie i kraj pozostał bez obrony, ale Lauda pobożna sta- nęła w całości.
Pan Wołodyjowski nie ruszył, bo nie mógł jeszcze ręką władać, więc właśnie jako wojski między pacu
nelkami pozostał. Opustoszały „okolice“ i jeno starcy z białogłowami zasiadali wieczorem przy ogniskach.
Cicho było w Poniewieżu i Upicie — czekano wszędys
na nowiny.

Panna Aleksandra również zamknęła się w Wodo-
ktach, nikogo prócz sług i swych opiekunów laudan-
skich nie widząc.
ROZDZIAŁ I.

Przyszedł nowy rok 1652. Styczeń był mroźny, ale suchy; zima tego przykryła Żmudź świątę grubym na łokieć, białym kożuchem; lasy gięły się i łamały pod obfitą okişcią, śnieg ośniewał oczy w dzień przy słońcu, a nocą przy księżycu migotały jakoby iskry niknące po stężałą od mrozu powierzchni; zwierz zbliżał się do mieszkań ludzkich, a ubogie szare ptactwo stukało dziobem do szyb, szedzą i śnieżnemi kwiatami okrytych.

Pewnego wieczora siedziałam panna Aleksandra w izbie czeladnej, wraz z dziewczętami dworskimi. Dawnyto był zwyczaj Bilewiczów, że gdy gości nie było, to z czeladzi spędzali wieczory, śpiewając pieśni pobożne i przykładem swym prostactwo budując. Tak też czyniła i panna Aleksandra, a to tem łatwiej, że między jej dziewczkami dworskimi same były prawie szlachcianki, sieroty bardzo ubogie. Te robotę wszelką, choćby najgrubszą, spełniały i przy paniach służebnemi były, a wzamian za to ćwiczyły się w obyczajności, lepszego doznając od prostych dziewczek traktowania. Były jednak między niemi i chłopki, mowę głównie się różniące, bo wiele z nich popolsku nie umiało.
Panna Aleksandra wraz z krewną swoją panną Kulwiecówną siedziały wprostoku, a dziewczęta po bokach na ławach; wszystkie kądziel przedły. Na potężnym kominie, ze zwieszonym okapem, paliły się kłody sosnowe i karpy, to przygasając, to znów strzelając jasnym, wielkim płomieniem lub iskrami, w miarę jak stojący wedle komina wyrostek przyruzcał drobniejszych brzeźniaków i łączywa. Gdy płomień strzelił jaśniej, widać było ciemne, drewniane ściany ogromnej izby z nadzwyczaj niskim, belkowanym sufitem. U belek wisiąły na niciach różnokolorowe gwiazdki, uczynione z opłatków, trzesące się w ciepłe, a zza belek wyglądały motki czesanego lnu, zwieszające się na obie strony, jakby tureckie zdobywane buńczuki. Cały niemal pułap był niemi założony. Po ścianach ciemnych błyszczły, jakoby gwiazdy, statki cynowe, większe i mniejsze, stojące lub poopierane na długich półkach dębowych.

W głębi przy drzwiach kudłaty Żmudzin huczał gwałtownie żarnami, mrucząc pod nosem pieśń monotonną, panna Aleksandra przesuwała w milczeniu paciorki różańca, prządki przedły, nic jedna do drugiej nie mówiąc.

Światło płomienia padało na ich młode, rumiane twarze, one zaś z rękoma wzniesionemi ku kądzielom, lewą podszczypując len mięksii, prawą kręcząc wrzeciona, przedły gorliwie, jakby na wyścigi, surowemi spojrzeniami panny Kulwiecówny podniecane. Czasem też spojglądały na się bystremi oczkami, a czasem na pannę Aleksandrę, jakby w oczekiwaniu, rychło Żmudzinowi mleć zakaże i pieść pobożną rozpocznie; ale z robotą nie ustawały i przedły, przedły; wiły się nici, warczały
wrzeciona, migotały druty w ręku panny Kulwiecówny, a kudłaty Żmudzin w żarnu huczał.

Chwilami jednak przerywał robotę, widocznie coś się w żarnach psuło, bo jednocześnie rozlegał się jego gniewny głos:

— Padłas!

Panna Aleksandra podnosiła głowę, jakby rozbudzona ciszą, która następowała po okrzykach Żmudzina; wówczas płomień oświecał jej twarz i poważne błękite oczy, patrzące zpod brwi czarnych.

Była to urodziwa panna o płowych włosach, bladowej cerze i delikatnych rysach. Miała piękność białego kwiatu. Żałobna suknia dodawała jej powagi. Siedząc przed tym kominem, była tak w myślach pogrążona, jak w śnie; zapewne nad dolą własną rozmyślała, gdyż losy jej były w zawieszeniu.

Testament przeznaczał ją na żonę człowieka, którego nie widziała od lat dziesięciu, a że dobiegała dopiero dwudziestu, więc pozostało jej tylko niejasne wspomnienie dziecięce jakiegoś burzliwego wyrostka, który za czasu swego pobytu z ojcem w Wodoktach, więcej z rusznicą po bagnoch latał, niż na nią patrzył.

— Gdzie on jest i jaki on jest teraz? — oto pytania, które cisnęły się na myśl poważnej pannie.

Znała go wprawdzie jeszcze z opowiadania nieboszczyka podkomorzęgo, który na cztery lata przed śmiercią przedsięwziął być daleką podróż do Orszy. Otóż, wedle tych opowiadania, miał to być „wielkiej fantazji kawaler, choć gorączka okrutny“. Po owym układzie o małżeństwo dzieci, zawartym między starym Bilewiczem a Kmiceicem ojcem, miał ów kawaler przyjechać zaraz do Wodoktów akomodować się pannie; tym-
czasem wybuchła wielka wojna i kawaler zamiast do panny, pociągnął na pole beresteckie. Tam postrzelony, leczył się w domu; potem ojca schorzałego i bliskiego śmierci pilnował; potem znowu była wojna — i tak zeszły owe cztery lata. Teraz od śmierci starego pułkownika upłynął już kawał czasu, a o Kmiciucie słuch przepadł.

Miała tedy o czem rozmyślać panna Aleksandra, a może tęskniła do nieznanego. W sercu czystym, właściwie dlatego, że jeszcze miłości nie zaznało, nosiła wielką gotowość do kochania. Iskry tylko trzeba było, żeby na tem ognisku rozpalił się płomień spokojny, ale jasny, równy i jak znizc litewski niegasnący.

Więc niepokój ogarniał ją, czasem luby, a czasem przykry i dusza jej ciągle zadawała sobie pytania, na które nie było odpowiedzi, a raczej dopiero miała nadzieję z pół dalekich. Więc pierwsze pytanie było: zali on z dobrej woli ją zaślubił i gotowością na jej gotowość odpowiedź? W owych czasach układy rodzicielskie o małżeństwo dzieci bywały rzeczą zwykłą, a dzieci, choćby po śmierci rodziców, związane pod błogosławieństwem, dotrzymywały najczęściej układu. W samem więc zeswataniu jej nie widziała panienka nic nadzwyczajnego, ale że dobra wola nie zawsze z obowiązkiem chodzi w parze, więc i ta troska obciążała płową główkę panny: „Czy on mnie pokocha?“ I potem już stado myśli padło ją, jak stado ptastwa opada drzewa, samotnie na rozległych polach stojące. Ktoś ty jest? jakieś jest? żyw chodzisz po świecie? czy może już gdzie tam polecłeś?.. Dalekoś ty, czy blisko?... Otwarte serce panny, jak drzwi otwarte na przyjęcie miłego gościa, mimowoli wołało ku dalekim stronom, ku lasom i polom śnieżnym,
nocą przykrytym: „Bywaj junaku! bo niemasz nic gorszego w świecie nad oczekiwaniem!“

Wtem, jakby w odpowiedzi na wołanie, z zewnątrz, właśnie z owych śnieżnych dalekości nocą pokrytych, doszedł głos dzwonka.

Panna drgnęła, lecz oprzytomniawszy, wnet przypomniała sobie, że to z Pacunelów przesyłano każdego prawie wieczora do apteczki po leki dla młodego pułkownika, myśl tę potwierdziła panna Kulwieczówna, mówiąc:

— To od Gasztowtów po dryjakiew.

Nieregularny głos dzwonka, tgaranego przy dyszlu, brzmił coraz wyraźniej; nakonieć ucichł nagle, widocznie sanki zatrzymały się przed domem.

— Obacz, kto przyjechał — rzekła panna Kulwieczówna do obracającego żarna Żmudzina.

Żmudzin wyszedł z czeladnej, lecz po małej chwili pojawił się z powrotem i biorąc znów za drąg od żarren, rzekł z flegmą:

— Panas Kmitas.

— A słowo stało się ciałem! — wykrzyknęła panna Kulwieczówna.

Prządki zerwały się na równe nogi; kądziele i wrzeciona pospadały na ziemię.

Panna Aleksandra wstała także; serce jej biło jak młotem, na twarz występowały rumieńce, a po nich bladość; ale odwróciła się umyslnie od komina, żeby wzruszenia nie okazać.

Wtem, we drzwiach, pojawiła się wyniosła jakaś postać, w szubie i czapce futrzanej na głowie. Młody mężczyzna postąpił na środek izby i poznawszy, że się znajduje w czeladnej, spytał dźwięcznym głosem, nie zdejmując czapki:
— Hej! a gdzie to wasza panna?
— Jestem — odpowiedziała dość pewnym głosem Billewiczówna.

Usłyszawszy to przybyły, zdjął czapkę, rzucił ją na ziemię i skłoniwszy się rzekł:
— Jam jest Andrzejk Kmicić.

Oczy panny Aleksandrę spoczęły błyskawicą na twarzy Kmicića, a potem znów wbiły się w ziemię; przez ten czas jednak zdołała panienka dojrzeć płową jak żyto, mocno podgoloną czuprynę, smagłą cerę, siwe oczy, bestro przed się patrzące, ciemny wąs i twarz młodą, orlikową, a wesołą i junacką.

On się zaś w bok ujął lewą ręką, prawą do wąsa podniósł i tak mówił:
— Jeszczem w Lubiczu nie był, jeno tu ptakiem spieszyłem do nóg panny łowczanki się pokłonić. Prosto z obozu mnie tu wiatr przywiał, daj Boże, szczęśliwy.
— Waępan wiedziałeś o śmierci dziadusia podkomorzego? — spytała panna.

— Nie wiedziałem, alem go łzami rzewnemi opłakał, dobrodzieja mojego, gdym się o jego zgonie od owych szaraków dowiedział, którzy z tych stron do mnie przybyli. Szczery to był przyjaciel, nieledwie brat mego nieboszczyka rodzica. Pewnie waępannie wiadomo dobrze, że przed czterema laty aż pod Orszę do nas przybył. Wtedy mi to waępannę obiecał i konterfekt pokazał, do którego po nocach wzdykałem. Byłbym tu wcześniej przyjechał, ale wojna nie matka: ze śmiercią jeno ludzi swata.

Zmieszala nieco panienkę ta śmiała mowa, więc chcąc ją na co innego odwrócić, rzekła.
— To waępan jeszcze swojego Lubicza nie widział?
— Czas na to będzie. Tu pierwsze służby i droższy legat, który najprzód chciałbym odziedziczyć. Jeno mi się waćpanna tak od komina odwracasz, żem dotać i w oczy spojrzeć nie mógł. Ot! tak! odwrócić się waćpanna, ja od komina zajdę! — ot — tak!

To rzekłszy, śmiały żołnierzchwycił niespodziewającą się takiego postępu Oleńkę za ręce i ku ognisku odwrócił, tak nią jak frygą zakręciwszy.

Ona zaś zmieszała się jeszcze bardziej i nakrywszy oczy długimi rzęsami, stała tak światłem i własną pięknością zawstydzona. Kmiec puścił ją wreszcie i uderzył się po kontuszu.

— Jak mi Bóg miły, rarytet! Dam na sto mszy po moim dobrodzieju, że mi cię zapisał. Kiedy ślub?

— Jeszcze nie prędko, jeszcze nie waćpana — odrzekła Oleńka.

— Ale będziesz, choćbym ten dom miał podpalic! Na Boga! myślałem, że konterfekt pochlebiony, ale tu, widzę, malarz wysoko mierzył, a chybił. Sto bizunów takiemu i piece mu malować, nie one specyaly, którymi oczy pasę Miloż to taki legat dostać, niech mię kule bĳą!

— Dobrze nieboszczyk dziaduś mi powiedział, żeś waćpan gorączka.

— Tacy u nas wszyscy w Smoleńskiem, nie jak wasi Żmudzini. Raz, dwa! i musi być, jak chcemy, a nie, to śmierć!

Oleńka uśmiechnęła się i rzekła już pewniejszym głosem, podnosząc na kawalera oczy:

— Ej! to chyba Tatarzy u was mieszkają?

— Wszystko jedno! a waćpanna moją jesteś z woli rodziców i po sercu.

Potop T. I.
— Po sercu, to jeszcze nie wiem.
— Niechbyś nie była, tobym się nożem pchnął!
— Śmiejący się to wałpan mówisz, ale i my to jeszcze w czeladnej! Proszę do komnat. Po długiej drodze pewnie się i wieczerza przygodzi, proszę!
Tu Oleńka zwróciła się do panny Kulwiecówny:
— Ciotuchna pójdzie z nami?
Młody chorąży spojrzał ostrze:
— Ciotuchna? — spytał — jaka ciotuchna?
— Moja, panna Kulwiecówna,
— A to i moja! — odpart, zabierając się do rąk całowania. — Dla Boga! toż ja mam w chorągwi towarzyszący, który się zowie Kulwiec-Hippocentaurus. Czy nie krewniak, proszę?
— To z tych samych! — odrzekła dygając stara panna.
— Dobry chłop, ale wicher, jak i ja! — dodał Kmicic.
Tymczasem wyrośćek ukazał się ze światłem, więc przeszli do sieni, gdzie pan Andrzej szubę z siebie zrzucił, a potem na drugą stronę, do komnat goscinnych.
Zaraz po ich odejściu, prządkę zbiły się w ciasną gromadkę i nuż jedna przez drugą gadać a uwagi czynić. Strojny młodzian podobał się im bardzo, więc i nie szczędziły mu słów, wzajemnie się w pochwałach przesadzając.
— Łuna od niego bije; — mówiła jedna — kiedy wszedł, myślałam, że królewicz.
— A oczy ma jak ryś, aż niemi kłoje: — odrzekła druga — takiemu się nie przeciwi!
- Najgorzej się przeciwić! — odpowiedziała trzecia.
- Panną, jak wrzecionem okręcił! Ale już to znać, że mu się udała bardzo, bo i komużby się ona nie udała?
- Ale i on nie gorszy, nie bój się! Żeby ci się taki zdarzył, poszłabyś i do Orszy, choć to podobno na końcu świata.
- Szczęśliwa panna!
- Bogatym zawsze lepiej na świecie. Ej, ej! złotoż to, nie rycerz.
- Mówiły pacunelki, że i ten rotmistrz, który jest u pacunelek, u Starego Pakosza, piękny kawaler.
- Nie widziałam ja go, ale gdzie jemu do pana Kmicica! Już takiego chyba na świecie niema!
- Padłs! — zawołał nagle Żmudzin, któremu znów się coś w żarnach popsuło.
- A nie pójdziesz ty kudłaty ze swojemi wymysłami! Dajże już pokój, bo się i dosłyszeć nie można!... Tak, tak! trudno lepszego, jak pan Kmicic, na całym świecie znaleźć! Pewnie i w Kiejdanach takiego niema!
- Taki to się i przyśni!
- Niechby się ono i przyśnił....

W takito sposób rozprawiały ze sobą szlachcianki w czeladnej. Tymczasem nakrywano co duch w izbie stołowej, a w gościnnej mówiła panna Aleksandra sam-nasam z Kmicicem, bo ciotka Kulwiecówna posła krzątać się wedle wieczerzy.

Pan Andrzej nie zdejmował wzroku z Oleńki i oczy iskrzyły mu się coraz bardziej, nakoniec rzekł:
- Są ludzie, którym majątność nad wszystko mil-
sza, inni za zdobyczą na wojnie gonią, inni się w ko-
niach kochają, ale jabym waępanny za żadne skarby nie
oddał! Dalibóg, im więcej patrzę, tem większa ochota
do żeniaczki, żeby choć i jutro! Już tę brew, to chyba
waępanna korkiem przypalonym malujesz?
— Słyszałam, że tak płoche czynią, ale jam nie
taka.
— A oczy jakoby z nieba! Od konfuzyi słów mnie
brakuje.
— Nie hardzoś waępan skonfundowany, gdy tak
obcesem na mnie nastajesz, aż mnie i dziwno.
— To też obyczaj nasz smoleński: do niewiast,
czy w ogień,ámara iść. Musisz, królowo, do tego przy-
wynąć, bo tak zawsze będzie.
— Musisz waępan odwyknąć, bo nie może tak być.
— Może się i poddam, niech mnie usieką!
Wierz, waępanna, nie wierz, a radbym ci nieba przy-
chylić! Dla ciebie, mój królu, gotówem się i obyczajów
innych uczyć, bo wiem to do siebie, żem żołnierz pro-
stak i w obozie więcej bywał, niżli na pokojach
dworskich.
— Ejże, nic do szkodzi, bo i mój dziaduś żoł-
nierzem był, ale dziękuję za dobrą chęć! — odrzekła
Oleńka i oczy jej spojrzały tak słodko na pana An-
drzeja, że mu od razu serce jak wosk stopniało, i odr-
rekł:
— Waępanna mnie na nitce będziesz wodzić!
— Oj, niepodobny waępan do takich, których na
nitce wodzą! Najtrudniej to z niestatecznymi.
Kmicic ukazał białe, jakoby wilce zęby, w uśmie-
chu.
— Jakto! — rzekł — małożto ojcowie nałąmali
na mnie róże w konwencie, abym do statku przyszedł i różne piękne maksymy spamiętał, przewodniczki żywota....

— A którąś najlepiej spamiętał?
— „Kiedy Kochasz, padaj do nóg” ot tak!
To rzekłszy, pan Kmiec już był na kolanach, panienka zaś wołała, chowając nogi pod stołek:
— Dla Boga! tego w konwencie nie uczyli! Daj wąćpan pokój, bo się rozgniewam... i ciotka zaraz przyjdzie....

On zaś, klęcząc ciągle, podniósł głowę w górę i w oczy jej patrzył.
— A niech i cała chorągiew ciotek nadciągnie, nie zaprę się ochoty!
— Wstańże wąćpan.
— Już wstaję.
— Siadaj wąćpan.
— Już siedzę.
— Zdajca z wąćpana, Judasz!
— A, nieprawda, bo jak całuję, to szczere!...
Chcesz się przekonać?
— Ani się wąćpan waż!

Panna Aleksandra śmiała się jednak, a od niego aż luna biła młodości i wesołości. Nozdrza mu latały, jak młodemu źrebcowi szlachetnej krwi.
— Aj! aj! — mówił — coto za oczki, jakie liczko!
Ratujciez mnie wszyscy święci, bo nie usiedzę!
— Nie trzeba wszystkich świętych wzywać. Siedząłeś wąćpan cztery lata, aniś tu zjazrał, to siedź i teraz!
— Ba! znałem jeno konterfekt. Każę tego malarza w smołę a potem w pierze wsadzić i po rynku

— Lepiej nie pozwólę.

— Tedy nie będę pytał. U nas w Orszańskim mówią: proś, a nie dają, to sam weź!

Tu pan Andrzej przypiął się do rączki panienki i całować ją począł, a panienka nie wzbraniała zanadto, żeby nieżyczliwości nie okazać.

Wtem weszła panna Kulwiecówna i widząc, co się dzieje, podniosła oczy do góry. Nie zdała jej się ta konfidencja, ale nie miała strofować, natomiast zaprosiła na wieczerzę.

Poszli tedy oboje, wzięwszy się pod ręce, jakby rodzeństwo, do jadalnej izby, w której stał stół nakryty, a na nim wszelkich potraw obficie, zwłaszcza wędlin wybornych i omszały gąsiorek wina, moc dającego. Dobrze było ze sobą młodym, razno i wesłoło. Panna już była po wieczerzy, więc tylko pan Kmicic zasiadł i Jeść począł z tą samą żywością, z jaką przedtem rozmawiał.

Oleńka spoglądała nań z boku, rada, że je i pije,
potem zaś, gdy nasycił pierwszy głód, zaczęła znów wypytywać:

— To waćpan nie zpod Orszy jedziesz?
— Bo ja wiem ząd!... Dziś tu bywałem, jutro tam! Takem pod nieprzyjaciela podchodził, jako wilk pod owce i co tam można było urwać, tom urwał.
— A żeś się to waćpan ważył takiej potędze opowaować, przed którą sam hetman wielki musiał ustąpić?
— Żem się ważył? Jam na wszystko gotów, taka we mnie natura!
— Mówił to i nieboszczyk dziaduś... Szczęście, żeś waćpan nie zginął.
— E! nakrywali mnie tam czapkę i ręką, jako ptaka w gnieździe, ale co nakryli, tom uskoczył i gdzie-indziej ukąsił. Naprzykrzyłem się tak, że jest cena na moją głowę... Wyborny półgęsek!
— W imię Ojca i Syna! — zawołała z nieudanem przerażeniem Oleńka, spoglądając jednocześnie z uchwylanieniem na tego młodziarza, który razem mówił o cenie na swą głowę i o półgęsku.
— Chybaś miał waćpan potęgę wielką do obrony?
— Miałem oczywiście swoich dragoników. bardzo przednich, ale mi się w miesiąc wykruszyli. Potem z wolentarzami chodziłem, których zbierałem, gdzie mi mógł, nie przebierając. Dobrze pachołkowie do bitwy, ale lotry nad lotrami! Ci, co nie pognęli, prędzej czy później pójdą wronom na frykasy...

To rzekłszy, pan Andrzej znów się rozśmiał, wychylił kielich wina i dodał:

— Takich drapichorstów jeszcze waćpana nie widziała. Niech im kat święci! Oficerowie, wszystko szlachta z naszych stron, familianci, godni ludzie, ale
prawie na każdym jest kondemnatka. Siedzę teraz w Lubiczu, bo co miałem innego z niemi robić?
— To waćpan z całą chorągwią do nas przyciągnął?...
— Tak jest. Nieprzyjaciel zamknął się w mia-stach, bo zima okrutna! Moi ludzie też się zdarli, jako miotły od ciągłego zamiatań, więc mi książę wojewoda hiberny w Poniewieżu naznaczył. Dalibóg, dobrze to zasłużony wypoczynek!
— Jedz waćpan, proszę.
— Jabym dla waćpanny i truciznę zjadł!... Zostawiłem tedy część mojej hołoty w Poniewieżu, część w Upicie, a godniejszych kompanionów do Lubiczam w gościnę zaprosił... Ci przyjdą waćpannie czołem bić.
— A gdzież waćpana laudańscy ludzie znaleźli?
— Oni mnie znaleźli, gdym i tak już do Poniewieża na hiberny szedł. Byłbym i bez nich tu przyciągnął.
— Pijno waćpan...
— Jabym dla waćpanny i truciznę wypił...
— Ale o śmierci dziadusia i o testamencie, to laudańscy dopiero waćpanu powiedzieli?
— A, o śmierci to oni. Panie, świeć nad duszą mego dobrodzieja! Czy to waćpanna wysłałaś do mnie tych ludzi?
— Tego sobie waćpan nie myśl. O żałobie myślałem i modlitwie, więcej o niczem...
— Oni też to samo mówili... Ho! harde jakieś szaraki!... Chciałem im dać nagrodę za fatygę, to jeszcze się na mnie żachnęli i nuż przymawiać, że to może orszańska szlachta munsztułuki bierze, ale laudańska nie! Bardzo mi szpetnie przymawiali! Co ja
słuchając, myślę sobie tak: nie chcecie pieniędzy, każę wam dać po sto bizunów.

— Na to panna Aleksandra chwyciła się za głowę.
— Jezus Marya! i waćpan to uczynił?
Kmicic spojrzał zdziwiony.
— Nie przestraszaj się waćpana... Nie uczyniłem, choć się dusza zawsze we mnie na takich szlachetków przewraca, którzy równymi nam się być mienią. Ale są sobie pomyślałem, okrągczą mnie niewinnie w okolicy za gwałtownika i jeszcze przed waćpanną obmówią.
— Wielkie to szczęście! — rzekła oddychając głęboko Oleńka — bo inaczej na oczybym waćpana widzieć nie mogła.
— A to jakim sposobem?
— Mała to szlachta, ale starożytna i sławna. Dziaduś nieboszczyk zawsze się w niej kochał i na wojnę z niemi chodził. Wiek życia razem przesłużyli, a czasu pokoju w dom ich przyjmował. Stara to domu naszego przyjaciół, którą waćpan szanować musisz, Masz przecież serce i nie popsujesz tej świętej zgody, w której żyliśmy dotąd!
— To ja o niczem nie wiedziałem! niech mnie usieka, jeśli wiedział! A przyznaję, że ta bosa szlachetczyzna jakoś mi nie idzie do głowy. U nas, kto chłop, to chłop, a szlachta wszystko familianci, którzy po dwóch na jednę kobyłę nie siadają... Dalibóg! że takim szerepetkiem nic do Kmiciców, ani do Billewiczów, jak piskorzom nic do szczuk, choć i to, i to ryba
— Dziaduś powiadał, że substancya nic nie stanowi, jeno krew i poczciwość, a to poczciwi ludzie, inaczejby ich dziaduś opiekunami moimi nie czynił. Pan Andrzej zdumiał i otworzył szeroko oczy.
— Ich? opiekunami waćpanny dziaduś uczynił? wszystką szlachtę laudańską?...
— Tak jest. Waćpan się nie marszcz, bo nieboszczyka wola święta. Dziwno mi to, że wysłańcy tego waćpanu nie powiedzieli?
— Byłbym ich... ale nie może to być! Przecie tu jest kilkanaście zaścianków... wszyscyż to oni nad waćpanną sejmują? zali i nade mną będą sejmikować, czym po ich myśli, czy nie?... E! nie żartujno, waćpanna, bo się we mnie krew burzy!
— Panie Andrzeju, ja nie żartuję... święta i szczegą prawdę mówię. Nie będą oni sejmikowali nad waćpanem, ale jeśli ich nie odepchniesz, pychy nie okażesz, to nietykło ich, ale i mnie za serce ujmiesz. Będę razem z nimi waćpanu dziękowała, całe życie... całe życie, panie Andrzeju...
Głos jej drżał, jak prośba pieściwa, ale on nie rozmarszczał brwi i chmurny był. Gniewem wprawdzie nie wybuchnął, choć chwilami przelatywały mu jakby błyskawice po twarzy, ale odrzekł z wyniosłością i dumą:
— Tegom się nie spodziewał! Szanuję wolę nieboszczyka i tak myślę, że pan podkomorzy mógł ten drobiazg szlachecki do czasu mego przybycia opiekunami waćpanny uczynić, ale gdym tu już raz nogą stanął, nikt inny, prócz mnie, opiekunem nic będzie. Nietyklo owe szaraki, ale i sami Radziwiłłowie birżańscy nic tu do opieki nie mają.
Panna Aleksandra spoważniała i odrzekła po krótkiej chwili milczenia:
— Żle waćpan czynisz, że się dumą unosisz. Kon-
dycye dziadzia nieboszczyka albo trzeba wszystkie przy-
jąć, albo wszystkie odrzucić — rady innej nie widzę. Laudanńcy nie będą się przykrzyć, ani też narzucać, bo to godni ludzie i spokojni. Tego waępnanie nie przypuszczać, żeby oni ci ciężyły byli. Gdyby tu jakieś nieśmaki powstały, tedyby mogli słowo rzec, ale tak mnie-mam, że wszystko pójdzie zgodnie i spokojnie, a wtedy taka to będzie opieka, jakby jej nie było...

On pomilczał jeszcze chwilę, potem ręką kiwnął i rzekł:

— Prawdać to, że ślub wszystko zakończy. Nie ma się o co spierać, niech jeno siedzą spokojnie i nie wtrącają się do mnie, bo dalibóg, nie dam sobie w wąsy dmuchać; zresztą, mniejsza o nich! Przyzwól waępnaną na ślub prędk, to będzie najlepiej!

— Nie wypada teraz o tem mówić w czasie żałoby...

— Aj! a długo będę musiał czekać?

— Sam dziaduś napisał, żeby nie długo, jak pół roku.

— Wyschnę do tego czasu, jak trzaska. Ale się już nie gniewajmy. Jużeś waępanna tak zaczęła na mnie surowie spoglądać, jak na winowajcę. Bogdajże cię, mój królu złoty! Com ja winien, kiedy natura we mnie taka: gdy mnie gniew na kogo uchwyci, tobym go rozdarł, a gdy przejdzie, tobym zszył!

— Strach z takim żyć — odrzekła już weselej Oleńka.

— No! zdrowie waępanny! Dobre to wino, a u mnie szabla i wino, to grunt. Jaki tam strach ze mną żyć? Waępanna to mnie usidlisz swojemi oczkami i w nie wolnika obrócz, mnie, którym nikogo nad sobą znosić nie chciał. Ot, i teraz! wolałem z chorągiewką
na własną rękę chodzić, niż panom hetmanom się kla-nciać... Mój królu złoty! jeśli ci się co we mnie nie spodoba, to i przebacz, bom się manier pod harmatami uczył, nie we fraucymerach — w zgiełku żołnierskim, nie przy lutni. U nas tam niespokojna strona, szabli z ręki nie popuść. To też, choć tam i kondemnatka jaka na kim cięży, choć go i wyrokami ś cigają — nic to! Ludzie go szanują, byle fantazją miał kawalerską. Exemplum: moi kompanionowie, którzy gdzieindziej dawnoby w wieżach siedzieli... swoją drogą godni kawalerowie! Nawet białogłowy u nas w bótach i przy szabli chodzą i partyom hetmanią, jako pani Kokosiń- ska, stryjna mego porucznika czyniła, która teraz kawalerską śmiercią poległa, a synowiec pod moją komendą za nią się mścił, choć jej za życia nie kochał. Gdzie nam dworności się uczyć, choćby największym familiantom? Ale to rozumiemy: wojna — to stawać, sejmik — gardłować, a mało języka — to dalejże szablą! Ot, co jest! takiego mnie nieboszczyk podkomorzy poznal i takiego dla waćpanny wybrał!

— Jam zawsze za wolą dziadusia szła chętnie — odparła, spuszczając oczy, panienka.

— A dajże jeszcze rzeczy ucałować, moja słodka dziewczyno! Dalibóg, okrutnieś mi do serca przypadła! Tak mnie sentyment rozebrał, że nie wiem, jak do owego Lubicza trafię, któregoż jeszcze nie widział.

— Dam waćpanu przewodnika...

— Ej, obejdzie się. Już ja przywykłem tłóc się po nocach. Mam pachołka z Poniewieża, który powinien drogę znać. A tam mnie Kokosiński z kompanami czeka... wielcy to familianci u nas Kokosińscy, który się Pypką pieczują... Tego niewinnie bezecnym
ogłoszono, że panu Orpiszewskiemu dom spalił i dziewczę porwał, a ludzi wyciął... Godny towarzysz!... Dajże jeszcze ręczyny. Czas, widzę, jechać! Wtem północ poczęła bić zwolna na wielkim gdańskim zegarze, w jadalnej izbie stojącym.

— Dla Boga! czas! czas! — zawołał Kmicic. — Nic tu już nie wskóram! Miłujeszć mnie choć na obwinienie palca?

— Kiedyindziej odpowiem. Przecie będziesz mnie waćpan odwiedzał?

— Codzień! chybaby się ziemia pode mną rozpadła. Niech mnie usięką!...

To rzekłszy, Kmicic wstał i wyszli oboje do sieni. Sanki czekały już przed gankiem, więc ubrał się w szubę i żegna ją począł, prosząc, by do komnat wróciła, bo z ganku zimno leci.

— Dobranoc, królowa miła, — mówił — śpij smaczno, bo ja, to chyba oka nie zmrużę, o twojej gładkości rozmyślając!

— Byłeś waćpan czego szpetnego nie upatrzył. Ale lepiej dam waćpanu człowieka z kagankiem, bo to i wilków pod Wołmontowiczami nie brak.

— A cóżta ja koza, żebym się wilków miał bać? Wilk żołnierzowi przyjaciel, bo często się z jego ręki pożywi. Wzięto się też i bandolecik do sanek. Dobranoc, najmilsza, dobranoc!

— Z Bogiem!

To rzekłszy, Oleńka cofnęła się, a pan Kmicic ruszył ku gankowi. Ale po drodze, w szparze uchylonych drzwi do czeladnej, dojrzał kilka par oczu dziecięcych, które spać się nie pokładyły, aby go ujrzieć raz jeszcze. Tym posłał pan Andrzej żołnierskim obyczajem
całusa od ust ręką i wyszedł. Po chwili zabrzękał dzwonek i jął brzęczeć zrazu głośno, potem coraz bardziej mdlejącym dźwiękiem, coraz słabiej, wreszcie ustał.

Cicho się zrobiło w Wodektach, aż ta cisza zdziwiła pannę Aleksandrę; w uszach jej jeszcze brzmiały słowa pana Andrzeja, słyszała jeszcze jego śmiech szczerzy, wesoły, w oczach stała bujna postać młodeńca, a teraz po tej burzy słów, śmiechu i wesołości, takie dzienne nastało milczenie. Panienka nadstawiła uszu, czy nie dosłyszy jeszcze choć tego dzwonka od sanek. Ale nie! już on tam dzwonił gdzieś w lasach, pod Wołmontowiczami. Więc mocna tęsknota ogarnęła dziewczynę — i nigdy nie czuła się tak samotną na świecie.

Zwolna wzięwszy świecę, przeszła do izby sypialnej i klękła do pacierzy. Zaczynała je z pięć razy, nim wszystkie z należytą powagą odmówiła. Ale potem jej myśli, jakby na skrzydłach, pognały do tych sanek i do tej postaci w nich siedzącej... Bór z jednej strony, bór z drugiej, w środku szeroka droga, a on sobie jedzie... pan Andrzej! Tu Oleńce wydało się, że widzi, jak na jawie, płową czuprynę, siwe oczy i śmiejące się usta, w których błyszcząły białe, jak u młodego psiaka, zęby. Trudno bowiem chciała przed sobą zapierać się poważna panna, że jej się okrutnie podobał ów rozhukaný kawaler. Zaniepokoił ją trochę, trochę przestraszyl, ale jakże pociągnął zarazem właśnie tą fantazją, tą wesołą swobodą i szczerością. Aż się wstydziła, że jej się podobał nawet ze swojej pychy, kiedy to na wzmiankę o opiekunach, głowę jakby turecki dzianet podniósł i mówił: „Sami nawet Radziwiłłowie birżańscy nic tu do opieki nie mają... To nie niewieściuch, to mąż prawdziwy! — mówiła
sobie panna. Żołnierz jest, jakich dziadaś najwięcej miłował... Bo i warto!

Tak rozmyślała panienka — i to ją ogarniała błogość niczem niezmacona, to niepokój, ale i ten niepokój był jakiś luby. Potem zaczęła się rozbierać, gdy drzwi skrzypnęły i weszła ciotka Kulwiecówna ze świecą w ręku.

— Strasznieście długo siedzieli! — rzekła. — Nie chciałam młodym przeszkadzać, żebyście się sami pierwszym razem nagadali. Grzeczny wydaje się kawajer. A tobie jak się udał?

Panna Aleksandra zrazu nic nie odpowiedziała, jeno bosemi już nóżkami przybiegła do ciotki, zarzuciła jej rękę na szyję, a złożywszy swą jasną głowę na jej piersią, rzekła pieczotliwym głosem:

— Ciotuchna, aj, ciotuchna!
— Oho! — mrknęła stara panna, podnosząc w górę oczy i świecę.
ROZDZIAŁ II.

We dworze w Lubiczu, gdy przedeń pan Andrzej zajechał, okna gorzały i gwar dochodził aż na podwórze. Czeladź, usłyszawszy dzwonek, wypadła przed sień, by pana witać, bo wiedziano od kompanionów, że przyjedzie. Witano go zatem pokornie, całując po rękach i podejmując pod nogi. Stary włośarz Znikis stał w sieni z chlebem i solą i bił pokłony czołem; wszyscy poglądali z niepokojem i ciekawością, jak też przyszły pan wygląda. On zaś kieskę z talarami na tacę rzucił i o towarzyszów pytał, zdziwiony, że żaden naprzeciw jego gospodarskiej mości nie wyszedł.

Ale oni nie mogli wyjść, bo już ze trzy godziny byli za stołem, zabawiając się kielichami i może nawet nie zauważyli brzęczenia dzwonków za oknem. Gdy jednak wszedł do izby, ze wszystkich piersi wyrwał się gromki okrzyk: „hares! hares przyjechał!“ i wszyscy kompanionowie, zerwawszy się z miejsca, poczęli iść do niego z kielichami. On zaś wziął się pod boki i śmiał się, poznawszy, jako sobie już dali rady w jego domu i zdążyli podpisać, nim przyjechał. Śmiał się coraz mocniej, widząc, że przewracają zydle po drodze i słaniają się i idą z powagą pijacką. Przed innymi szedł olbrzymi

Potop T. I.
Ci tedy otoczyli śmiejącego się pana Andrzeja; Kokosiński podniósł uszniajk do góry i zaintonował:

Wypije z nami, gospodarzu mily,
gospodarzu mily!
Byś pić mógł z nami, aże do mogły,
ąże do mogły!...

Inni powtórzyli chórem, poczem pan Kokosiński wręczył Kmicicowi uszniajk, a jemu samemu podał zaraz inny puharek pan Zend.

Kmicic podniósł w górę roztruchan i zakrzyknął:
— Zdrowie mojej dziewczyny!
— Vivat! Vivat! — krzyknęły wszystkie głosy, aż szyby poczęły drzeć w ołowianych oprawach.
— Vivat! Przejdzie żałoba, będzie weselisko!
Pytania poczęły się sypać:
— W Orszańskim? — zawołał Kmicic — kominy przy niej naszemi orszańskimi pannami zatykać!... Do stu piorunów! niemasz takiej drugiej na świecie!
— Tegośmy dla cię chcieli! — odpowiedział pan Ranicki. — A no, kiedy wesele?
— Jak się żałoba skończy.
— Furda żałoba! dzieci się czarne nie rodzą, jeno białe!
— Jak będzie wesele, to nie będzie żałoby. Ostro Jędrusiu!
— Ostro Jędrusiu! — poczęli wołać wszyscy razem.
— Już tam chorążetom orszańskim tęskno z nieba na ziemię! — krzyknął Kokosiński.
Nie daj czekać niebożetom!
Mości panowie! — rzekł cienkim głosem Rekuć-Leliwa — popijem się na weselu, jak nieboskie stworzenia!
Moi mili barankowie — odpowiedział Kmicic — pofolgujcie mi, albo lepiej mówiąc: idźcie do stu dyabłów, niechże się po moim domu obejrzę!
Na nic to! — odparł Uhlik. — Jutro oględziny, a teraz pospołu do stołu: jeszcze tam parę gąsiorków z pełnemi brzuchami stoi.
Stajnia dobra! — wykrzyknął Zend — jest dwa bachmaty, dwa husarskie przednie, para żmudzinów i para kałmuków i wszystkiego po parze, jak oczu w głowie. Stadninę jutro obejrzym.
Tu Zend zarządził jak koń, a oni się dziwili, że tak doskonale udaję i śmieли się.
Także tu porządki? — spytał uradowany Kmicic.
I piwniczka jako się patrzy — zapiszczał Rekuć — ankary smoliste i gąsiorzy spleśniałe, jakoby chorągwie w ordynku stoją.
To chwała Bogu! siadajmy do stołu!
Do stołu! do stołu!
Ale zaledwie siedli i ponalewali kielichy, gdy Ranicki znów zerwał się.
Zdrowie podkomorzęgo Billewicza!
Głupi! — odparł Kmicic. — Jakżeto? niebo-szczyka zdrowie pijesz?
Głupi! — powtórzyli inni. — Zdrowie gospodarskie!
— Wasze zdrowie!...
— By nam się w tych komnatach dobrze działo!
Kmicic rzucił mimowoli okiem po izbie jadalnej
i ujrzał na poczerniałej ze starości modrzewiowej ścia-
nie rząd oczu surowych, w siebie utkwionych. Oczy te
patrzyły ze starych portretów Billewiczowskich, wiszą-
cych nisko, na dwa łokcie od ziemi, bo i ściana była
niska. Nad obrazami, długim, jednostajnym szeregiem,
wisiały czaszki żubrza, jelenie, losie, w koronach z ro-
gów, niektóre już zczerwiałe, widocznie bardzo stare,
ine połyskujące białością. Wszystkie cztery ściany
były niemi ubrane.
— Łowy tu muszą być przednie, bo widzę i zwie-
rza dostatek! — rzekł Kmicic.
— Jutro zaraz pojedziemy, albo pojutrze. Trzeba
i okolicę poznać — odparł Kokosinski. — Szczęśliwys-
ty Jędrusiu, że masz gdzie głowę przytulić!
— Nie tak jak my! — jęknął Ranicki.
— Wypijemy na pocieszenie! — rzekł Rekuć.
— Nie! nie na pocieszenie! — odpowiedział Kul-
wiec-Hippocentaurus — ale jeszcze raz za zdrowie Ję-
drusia, naszego rotmistrza kochanego! Ono, moj
mości panowie, przytulił nas tu w Lubiczu, nas bied-
dnych exulów, bez dachu nad głową.
— Słusznie mówi! — zawołało kilka głosów. —
Nie taki głupi Kulwiec, jak się wydaje.
— Ciężka nasza dola! — piszał Rekuć. — W to-
bie cała nadzieja, że nas za wrota, sierot biednych,
nie wygonisz.
— Dajcie pokój! — mówił Kmicic — co moje,
to i wasze!
Na to powstali wszyscy ze swych miejsc i poczęli
go w ramiona brać. Łzy rozczulenia płynęły po tych twarzach srogich i pijackich.

— W tobie cała nadzieja, Jędrusiu! — wołał Kokosiński — choć na grochowinach pozwól się przespać, nie wyganiaj!

— Dajcie spokój! — powtarzał Kmicic.

— Nie wyganiaj, i tak nas wygnali, nas szlachtę i familiantów! — wołał załośnie Uhlik.

— Do stu kaduków! któr was wygania: jedzcie, pijcie, czego u dyabła chcecie?

— Nie przecz Jędrusiu — mówił Ranicki, na którego twarz wystąpiły cętki, jak na skórze rysia — nie przecz Jędrusiu, przepadliśmy z kretesem...

Tu się zaczął, przyłożył palec do czoła, jakby głowę wysilał i nagle rzekł, spojrzał z baraniem oczyma na obecnych:

— Chyba, że się fortuna odmieni!

A wszyscy zawrześli zaraz chórem;

— Co się nie ma odmienić!

— Jeszcze za swoje zapłacimy.

— I do fortun dojdziem.

— I do godności!

— Bóg niewinnym błogosławi. Dobra nasza, mości panowie!

— Zdrowie wasze! — zawołał Kmicic.

— Święte twoje słowa, Jędrusiu! — odparł Kokosiński, nadstawiając mu swe pucołowate policzki. — Bodaj nam się lepiej działo!

Zdrowia zaczęły krążyć, czupryny dymić. Gadali wszyscy jeden przez drugiego, a każdy siebie tylko słuchał, z wyjątkiem pana Rekucia, bo ten głowę spuścił na piersi i przestał. Po chwili Kokosiński jął śpiewać:
„Len mądrą na mądrą!“ — co widząc pan Uhlik, dobył z zanadrza czekanka i nuż wtórować, a pan Ranicki, wielki fechtmistrz, fechtował się gołą ręką z niewidzialnym przeciwnikiem, powtarzając półgłośem:
— Ty tak, ja tak! ty tniesz, ja mach! raz! dwa! trzy! — szach!

Obrzymi Kulwiec - Hippocentaurus wytrzeszczał oczy i przypatrywał się pilnie czas jakiś Ranickiemu, nakoniec kiwnął ręką i rzekł:
— Kiep z ciebie! Machaj zdrów, a taki Kmiciecowi na szable nie dotrzymasz.
— Bo jemu nikt nie dotrzyma, ale ty się spróbuj!

— I ze mną na pistolety nie wygrasz.
— O dukat strzał.
— O dukat! A gdzie i do czego?

Ranicki powlokł wzrokiem naokoło, nakoniec wykrzyknął, wskazując na czaszki:
— Międy rogi! o dukat!
— O co? — spytał Kmiciec.
— Międy rogi! o dwa dukaty! o trzy! dawajcie pistolety!

— Zgoda! — krzyknął pan Andrzej. — Niech idzie o trzy. Zend! po pistolety!

Poczęli krzyczeć wszyscy coraz głośniej i targować się ze sobą; tymczasem Zend wyszedł do sieni i po małej chwili wrócił z pistoletami, workiem kul i rogiem z prochem.

Ranicki chwycił za pistolet.
— Nabity? — spytał.
— Nabity!
— O trzy! cztery! pięć dukatów! — wrzeszczał pijany Kmiec.
— Cicho! Chybisz, chybisz!
— Trafię, patrzcie!... at! do tej czaszki, między rogę... raz, dwa...
Wszyscy zwrócił oczy na potężną czaszkę łosią, wiszącą wprost Ranickiego; on zaś wyciągnął rękę. Pistolet chwiał mu się w dłoni.
— Trzy! — wykrzyknął Kmiec.
Strzał huknął, izba napełniła się dymem prochowym.
— Chybiił, chybił! ot, gdzie dziura! — wołał Kmiec, wskazując ręką na ciemną ścianę, z której kula odłąpała wiór jaśniejszy.
— Do dwóch razy sztuka!
— Nie! dawaj mnie! — wołał Kulwiec.
W tej chwili wpadła na odgłos strzału przerażona czeładź.
— Precz! precz! — krzyknął Kmiec. — Raz! dwa! trzy!...
Znow huknął strzał, tym razem drzazgi posypały się z kości.
— A dajcie i nam pistolety! — zakrzyknęli wszyscy naraz.

I zerwawszy się, poczęli grzmocić pięściami po karkach pachołków, chcąc ich do pośpiechu zachęcić. Nim upłynął kwadrans, cała izba grzmiała wystrzałami. Dym przesłonił światło świc i postacie strzelających. Hukom wystrzałów towarzyszył głos Zenda, który krakał jak kruk, kwilił jak sokół, wył jak wilk, ryczał jak tur. Co chwila przerywał mu świst kul; drzazgi leciały z czaszek, wióry ze ścian i z ram por-
tretów; w zamieszaniu postrzelono i Billewiczów, a Ranicki wpadłszy w furyą, siekł ich szablą.

Zdumiona i wylekła czeladź, stała jakby w obłąkaniu, пглядząc wytrzeszczeniami oczyma na tę zabawę, która do napadu tatarskiego była podobną. Psy poczęły wyć i szczekać. Cały dom zerwał się na nogi. Na podwórzu zebraly się kupki ludzi. Dziewki dworskie biegiły pod okna i przyglądając twarze do szyb, płaszcząc nosy, spoglądały co się dzieje w środku.

Dojrzał je nakoniec pan Zend; świsnął tak przeraźliwie, że aż w uszach wszystkim zadzwoniło i krzyknął:

— Mości panowie! sikorki pod oknami! sikorki!
— Sikorki! sikorki!
— Dalejże w płasy! — wrzeszczały niesborne głosy.

Pijana czereda skoczyła przez sień na ganek. Mróz nie otrzymańśłów dymiących. Dziewczęta krzycząc w niebogłosy, rozbiegły się po całem podwórzu; oni zaś gonili je i każdą schwytaną odprowadzali do izby. Po chwili poczęły się płasy wśród dymu, złamków kości, wiórów, wkoło stołu, na którym porozlewane wino utworzyło całe jeziora.

Takto bawili się w Lubiczu pan Kiniczic i jego dzika kompania.
ROZDZIAŁ III.

Przez następne dni kilka, codziennie bywał pan Andrzej w Wodoktach i codzień wracał więcej rozko- chany i coraz bardziej podziwiał swoją Oleńkę Przed kompanionami też ją pod niebiosa wychwalał, aż pe- wnego dnia rzekł im:

— Moi mili barankowie, pojedziecie dziś zdołem bić, potem zaś umówiliśmy się z dziewczyną, że do Mitrunów wszyscy wyruszymy, aby sanny w lasach zażyć i tę trzecią majętność obaczyć. Ona też nas tam podejmować będzie gościnnie, a wy się przystojnie zachowajcie, bo na bigos posiekam, którymby jej w czemkolwiek uchybił...

Kawalerowie chętnie skoczyli się ubierać i wkrótce cztery pary sań wiozło ochoczą młodych do Wodoktów. Pan Kmicic siedział w pierwszych, bardzo ozdobnych, kształt niedźwiedzia srebrzystego mających. Ciagnęły je trzy kałmuki zdobyczne, w pstrą uprząż przybrane, we wstąpiki i pióra pawie, wedle mody w Smoleńskiem, którą od dalszych sąsiadów Smoleńszczanie przyjęli. Powoził parobek, siedzący w szyi niedźwiedziej. Pan Andrzej, przybrany w zieloną aksamitną bekeszę, spi naną na złote pętlice, a podbitą sobolami i w soboli
kołpaczek z czaplem piórem, wesoł był, ochoczy i tak mówił do siedzącego obok pana Kokosińskiego:
— Słuchaj Kokoszko! Podswawoliśmy pono przez te dwa wieczory nad miarę, a zwłaszcza pierwszego, gdy się to czaszkom i portretom dostało. Ba, dziewczęta były jeszcze gorsze. Zawsze dyabel Zenda podnieci, a potem na kim się skrupi! — na mnie! Boję się, żeby ludzie nie rozgadali, bo tu chodzi o moją reputację.
— Powieśże się na twojej reputacyi, bo na nic innego nie zdatna, tak jak i nasze.
— A kto temu winien, jeśli nie wy? Pamiętaj, Kokoszko, że to i w Orszańskim mieli mnie przez was za niespokojnego ducha i języki na mnie ostrzyli, jak noże na osełce.
— A kto pana Tumgrata na mrozie przy koniu prowadził? Kto owego koroniarza usiekił, który się pytał, czy w Orszańskim, już na dwóch nogach chodzią, czyli jeszcze na czterech? Kto panów Wyzińskich ojca i syna poszczerbił? Kto sejmik ostatni rozpadł?
— Sejmik rozpadł tym w Orszańskim, nie gdzie indziej, to domowa rzecz. Pan Tumgrat odpuścił mi umierając, a co reszty, to nie wymawiaj, gdyż poje dynek najniewinniejszemu się zarzy.
— Jam ci też wszystkich nie wymienił, o inkwizycyach wojskowych także nie wspomniałem, których dwie cię w obozie czeka.
— Nie mnie, ale was, bom ja tyle jeno winien, żem wam obywatelów rabować dozwolił. Ale mniejsza z tem. Stulże psyk, Kokoszko, i nie powiadaj o niczem Oleńce, ani o pojedynkach, ani zwłaszcza o owem strzelaniu do portretów i o dziewczętach. Gdyby się wy-
dało, na was winę złożyć. Czeladzi już wspomniałem i dziewczom, że niechby które słowem wspomniało, każę pasy drzeć.

— Każ się podkuć, Jędrusiu, kiedy się tak dziewczyny boisz. Inny ty byłś w Orszańskim. Widzę to już, widzę, że będziesz na pasku chodził, a to na nic! Któryś filozof starożytny powiada: „Jak nie ty Kachnę, to Kachna ciebie!“ Dajeś się już we wszystkim usędzić.

— Głupiś Kokoszko! A co do Oleńki, będziesz i ty z nogi na nogę przestępować, jak ją zobaczysz, bo białogłowy z tak grzecznym umysłem drugiej nie znaleziesz. Co dobre, to ona zaraz pochwali, a co złe, tego zganić nie omiesza, bo wedle cnoty sądzi i w niej ma gotową miarę. Tak ją już nieboszczyk podkomorzy wychował. Zechcesz przed nią fantazyą kawalerską okazać i pochvalisz się, żeś prawo zdeptał, to ci po-tem jeszcze wstyd: bo zaraz rzeknie, że zacny obywatel tego czynić nie powinien, gdyż to jest przeciw ojczyźnie... Tak ona rzeknie, a tobie jakby w pysk dał i aż ci dziwno, żeś wprzódy sam tego nie rozumiał... Tfu! wstyd! warcholiliśmy się okrutnie, a teraz trzeba przed cnotą i niewinnością oczami świecić... Najgor- sze były te dziewczęta!...

— Wcale nie były najgorsze. Słyszałem, że tu po zaściankach szlachcianki, jako krew z mlekiem i podobno zgoła nie oporne.

— Kto ci to powiadał? — spytał żywo Knicic.

— Kto powiadał? Kto, jeśli nie Zend. Wczoraj dzianeta dereszowatego próbując, pojechał do Wolmontowicz; przejechał jeno drogą, ale widział siła sikorek, bo z nieszporów wracały. „Myślałem (powiada), że z konia zleć, tak chętnie i gładkie“. A co na którą
spojrzał, to mu zaraz zęby pokazała. I nie dziw! Co tęższe chłopy między szlachtą, to do Rosień poszli, a sikorkom przykrzy się samym.

Kmicic trząsł kułakiem w bok towarzysza:
— Pojedzio, Kokoszko, kiedy wieczorem, niby zbłędziwszy — co?
— A twoja reputacja?
— O do dyabła! Stulże gębę. Jedźcie sami, kiedy tak; albo lepiej zaniechajcie i wy! Nie obeszłoby się bez hałasów, a z tutejszą szlachtą chcę zgodnie żyć, bo ich opiekunami Oleński nieboszczyk podkomořzy wyznaczył.
— Mówiłeś o tem, alem nie chciał wierzyć. Zkąd mu taka konfidencya z szarakami?
— Bo na wojnę z niemi chadzał i to słyszałem jeszcze w Orszy, jak mawiał, że cnotliwa krew w tych laudańskich. Ale, żeby ci prawdę, Kokoszko, powiedzieć, to i mnie zrazu dziwno było, bo to tak, jakoby ich stróżami nade mną uczynił.
— Musisz się im akomodować i do wiechciorów w botach klaniać.
— Wpierw ich powietrze wyduś! Cicho bądź, bo mi gniewno! Oni to będą mi się klaniali i służyli. Chorągiew to gotowa na każde zawołanie.
— Już tam kto inny będzie tej chorągwi rotmistrzował. Powiadał Zend, że tu jest jakiś pułkownik między niemi... Zapomniałem przezwiska... Wołodyjowski, czy kto? On pod Szkłowem im przywodził. Dobrze podobno stawali, ale ich tam i wyczesano!
— Słyszałem ja o jakimś Wołodyjowskim, sławnym żołnierz... Ale oto Wodokty już widać.
— Hej, dobrze tu ludziom na tej Żmudzi, bo
wszędys okrutne porządki. Stary musiał być zawołany gospodarz... I dwór, widzę, jak się patrzy. Ich tu rzadziej nieprzyjaciół pali, to się i budować mogą.
— Myślę, że o tej swawoli w Lubiczu nie może ona jeszcze wiedzieć — rzekł, jakby do siebie samego, Kmicic.

Poczem zwrócił się do towarzysza:
— Moja Kokoszko, zapowiadam tobie, a ty powtórz jeszcze raz innym, że tu musicie się przystojnie zachować, a niech który sobie w czemkolwiek pofolguje, jak mi Bóg miły, na sieczkę potnę.
— No! ależ cię osiodłali!
— Osiodłali, nie osiodłali — tobie zasię!
— Nie patrz mi na Kasię, bo ci do niej zasię! — rzekł legmatycznie Kokosiński.
— Pal z bata! — krzyknął na woźnicę Kmicic.

Pachołek, stojący w szyi srebrzystego niedźwieđza, zakręcił batem i wystrzelił bardzo sprawnie, inni woźnice poszli za jego przykładem i zajechali wśród trzaskania, raźno, wesoło, jakoby kulig.

Wysiadłszy z sanek, wszli najprzód do sieni ogromnej jak spichlerz, niebiałej, a zając prowadził pan Kmicic do jadalnej izby, przybranej jak w Lubiczu, w czaszki pobitych zwierząt. Tu się zatrzymali, poglądając pilnie i ciekawie na drzwi do sąsiedniej komnaty, z których wyjść miała panna Aleksandra. Tymczasem, mając widocznie w pamięci ostrzeżenie pana Kmicica, rozmawiali ze sobą tak cicho, jak w kościele.
— Tyś chłop mowny: — szeptał pan Uhlik do Kokosińskiego — ty ją powitasz od nas wszystkich.
— Układalem sobie przez drogę — odrzekł pan
Kokosiński, — ale nie wiem czyli będzie dość gładko, bo mi Jędrus do konceptu przeszkadzał.

— Byłe z fantazją! co ma być, niech będzie! Ot, idzie już!...

Panna Aleksandra weszła rzeczywiście i zatrzymała się trochę u progu, jakby zdziwiona tak liczną kompanią, a i pan Kmicic stał przez chwilę jak wryty od podziwu nad jej urodą, bo ją dotąd tylko wieczorami widywał, a przy dniu wydawała się jeszcze piękniejsza. Oczy jej miały barwę chabru, czarna brew nad niemi odbijała od białego czoła jak heban, a płowy włos lśnił się jakby korona na główie królowej, i patrzyła śmiało, oczu nie spuszczając, jako pani w swoim domu gości przyjmująca, z jasną twarzą, odbijającą jeszcze jaśniej od czarnej jubki, obramowanej gronostajami. Tak poważnej i wyniosłej panny nie widzieli jeszcze ci wojakowie, przywykli do innego pokroju niewiast, to też stali szeregiem, jakoby na popisie chorągwi i szurgając nogami, kłaniali się także szeregiem, a pan Kmicic sunął naprzód i ucałowawszy kilkanaście razy rękę panienki, rzekł:

— Otom ci przywiózł, mój klejnecie, kommilitonów moich, z którymi ostatnią wojnę odbywałem.

— Honor to dla mnie niemały — odrzekła Billewiczówna — przyjmować w domu tak godnych kawalerów, o których cnocie i wybornych obyczajach już od pana chorążego słyszałam.

To powiedziawszy, uchwyciła się koniuszczkami palców za suknię i podnosząc ją nieco, dygnęła z nadvyczajną powagą, a pan Kmicic wargi przygryzł, ale jednocześnie aż pokraśniał, że tak jego dziewczyna mówiła śmiało.
Godni kawalerowie, szurgając wciąż nogami, trącali jednocześnie pana Kokosińskiego.
— Hajda! wystąp!
Pan Kokosiński posunął się krok naprzód, chrząknął i tak rozpoczął:
— Jaśnie wielmożna panno podkomorzanko...
— Łowczanko — poprawił Kmicic.
— Jaśnie wielmożna panno łowczanko, a nam wielce miłościwa dobrodziko! — powtórzył zmieszany pan Jaromir — wybacz waępanna, jeżeliśm się w godności pomylił...
— Niewinna to omyłka — odrzekła panna Aleksandra — i nic ona tak wymownemu kawalerowi nie ujmie...
— Jaśnie wielmożna panno łowczanko dobrodziko, a nam wielce miłościwa pani!... Nie wiem, co mi w imieniu całego Orszańskiego więcej wystawiać przystoi, czy nadzwyczajną waępanny dobrodziki urodę i cnotę, czy niewypowiedzaną szczęśliwość rotmistrza i kommilitona naszego, pana Kmicica, bo chociażbym się wzbił pod obłoki, chociażbym samych obłoków dośięgnął... samych, mówię, obłoków...
— A zleżże już raz z tych obłoków! — zakrzyknął Kmicic.
Na to kawalerowie parsnęli jednym ogromnym śmiechem i nagle, wspomnialiśmy na przykaz Kmicica, chwycili się rękoma za wąsy.
Pan Kokosiński zmeszał się do najwyższego stopnia, zaczernieli rzeźka:
— Witajcieże sami, poganie, kiedy mnie konfundujecie!
Wtem panna Aleksandra ujęła się znowu koniuszczkami palców za suknię.

— Nie sprostałabym ja waćpanom w wymowie — rzekła — ale to wiem, żem niegodna tych hołdów, które mi w imieniu całego Orszańskiego składacze.

I znowu dygnęła z nadzwyczajną powagą, a orszańskim zabijakom jakoś nieswojsko było wobec tej dwornej panny. Starali się pokazać jak ludzie grzeczni i nie szło im w ład. Więc poczęli się ciągnąć za wąsy, mruczeć, kłaść ręce na szable, aż Kmiec rzekł:

— Przyjechaliśmy tu niby kuligiem, w tej myśli, żeby waćpannę zabrać i do Mitrunów przez lasy przezwieź, jako wczoraj była ugoda. Sanna okrutna a i pogodę zdarzył Bóg mrożną.

— Jużem ja ciotkę Kulwieównę do Mitrunów wysłała, żeby nam posiłek przyrzadziła. A teraz małeczko waćpanowie poczekacie, jeno się nieco cieplej przyodzieję.

To rzekłszy, zawróciła się i wyszła, a Kmiec skoczył do towarzyszy.

— A co, mili barankowie? nie księżna?... A co Kokoszko? to mnie, mówiłeś, osiodłać, a czemu to jako żak przed nią staleś?... Gdzieś taką widział?

— Nie trzeba mi było w gębę dmuchać, choć nie neguję, żem się do takiej persony móc nie spodziewał.

— Nieboszczyk podkomorzy — rzekł Kmiec — więcej z nią w Kiejdanach, na dworze księcia wojewody, albo u państwa Hlebowiczów przesiadywał i tamto tych górnych manier nabrała. A uroda — co?... Pary jeszcze nie umiecie z gęby puścić!

— Pokazaliśmy się jak kpy! — rzekł ze złością Ranicki — ale największy kiep Kokosiński!
— O zdrajco! mnieсто łokciem pchał, trzeba ci było samemu ze swoją cętkowaną gębą wystąpić!
— Zgoda, barankowie, zgoda! — rzekł Kmicic. — Dziwić się wam wolno, ale nie kłócic.
— Jabym za nią w ogień skoczył! — zawołał Rekuć. — Zetnij Jędrus, ale tego nie zaprę!
Kmicic jednak nie myślał ścinać, owszem kontent był, wąsa pokręcił i tryumfalnie na towarzyszów poglądał. Tymczasem weszła panna Aleksandra, ubrana już w kuni kołpaczek, pod którym jasna jej twarz wydawała się jeszcze jaśniejszą. Wyszli na ganek.
— To temi saniami pojedziem? — pytała panienka, ukazując na srebrzystego niedźwiedzia — jeszcze też słuszniejszych sani w życiu nie widziała.
— Nie wiem, kto tam niemi przedtem jeździł, bo zdobyczne. Teraz my we dwoje będziemy jeździeli i bardz po nadadzą, gdyż i u mnie w herbie panna na niedźwiedziu się prezentuje. Są inni Kmicicowie, który się Chorągwiami pieczętują, ale ci idą od Filona Kmity Czarnobyłskiego, a ten zaś nie był z tego domu, z którego wielcy Kmityowie się wywodzili.
— A onego niedźwiedka kiedyżeś wacpan zdo-był?
— A teraz, w tej już wojnie. My biedni exules, którzyśmy od fortun odpadli, to jeno mamy, co wojna łupem da. A żem tej pani wiernie służył, więc i nagrażnila.
— Dałby Bóg szczęśliwszą, bo ta jednego nagrań, a całej ojczyźnie miłej łzy wyciska.
— Bóg to odmieni i hetmani.
To mówiąc, Kmicic otulał panienkę fartuchem od sani, pięknym, z białego sukna i białemi wilkami pod-

Potop. T. 1.
szyłym; potem sam siadł, krzyknął na woźnicę: „ruszaj!” i konie zerwały się z miejsca do biegu.

Zimne powietrze pędem uderzyło o ich twarze, więc zaniemówili i słychać było tylko świst zamarłego śniegu pod płozami, parskanie koni, tężent i krzyk woźnicy.

Wreszcie pan Andrzej pochylił się ku Oleńce:
— Dobrze wątpannie?
— Dobrze — odrzekła, podnosząc zarękawek i przytulając go do ust, by pęd powietrza zatamować.

Sanie gnały jak wicher. Dzień był jasny, mroźny. Śnieg migotał, jakby kto nań iskry sypał; z białych dachów chat, podobnych do kup śnieżnych, strzelały wysokiemi kolumnami dymy różowe. Stada wron polatywały przed saniami wśród bezlistnych drzew przydrożnych, z krakaniem dołośnem. O dwie staje za Wodoktami wpadli na szeroką drogę, w ciemny bór, który stał głuchy, sędziwy i cichy, jakby spał pod obfitą okiścą. Drzewa, migotając w oczach, zdawały się uciekać gdzieś w tył za sanie, a oni lecili coraz prędrzej i prędrzej, jak gdyby rumaki skrzydła miały. Od takiej jazdy głowa się zawraca i upojenie ogarnia, więc ogarnęło i pannę Aleksandrę. Przechyliwszy się w tył, zamknęła oczy, całkiem pędowi się oddając. Poczuła słodką niemoc i zdała jej się, że ten bojarzyn orszański porwał ją i pędzi w icharem, a ona mdlejąca nie ma siły się oprzeć, ani krzyknąć... I lecą, lecą coraz szybciej... Oleńka czuje, że obejmują ją jakieś ręce... czuje wreszcie na wargach jakoby pieczęć rozpaloną i palącą... oczy się jej nie chcą odemknąć, jakoby w śnie. I lecą — lecą! Senną pannę zbudził dopiero głos pytający:
Miłujesz mnie?
Otworzyła oczy:
— Jako duszę własną!
— A ja na śmierć i żywoć!
I znowu soboli kołpak Kmicica pochylił się nad kunim Oleńki. Sama teraz nie wiedziała, co ją upaja więcej, poczucia czy ta jazda zaczarowana?
I lecieli dalej, a ciągle borem, borem! Drzewa uciekały w tył całymi pułkami. Śnieg szumiał, konie parskały, a oni byli szczęśliwi.
— Chciałbym do końca świata tak jechać! — zawołał Kmicic.
— Co my czynimy? to grzech! — szepnęła Oleńka.
— Jaki tam grzech! Daj jeszcze grzeszyć.
— Nie można. Mitruny już niedaleko.
— Daleko czy blisko, wszystko jedno!
I Kmicic podniósł się w saniach, wyciągnął ręce dogóry i począł krzyczeć, jakoby w pełnej piersi radości nie mógł pomieścić:
— Hej — ha! hej — ha!
— Hej! a hop! hoop! ha! — odezwali się towarzysze z tylnych sani.
— Czego waćpanowie tak pokrykujecie? — pytał panna.
— A ot, tak! z radości! A zakrzyknijno i waćpanna!
— Hej — ha! — rozległ się dźwięczny, cieniutki głosik.
— Mojaż ty królowo! Do nóg ci padnę!
Kompania się będą śmiały.
Po upojeniu ogarnęła ich wesołość szumna, szalona, jako i jazda była szalona. Kmicic począł śpiewać:
Patrzy dziewczyna, patrzy ze dworu,
Na bujne pola!
Matus! rycerze idą od boru,
Oj mojaż dola!
Guroń nie patrzaj — rączkami oczy
Zatknij białemi,
Bo ci serdusko z piersi wyskoczy
Na wojnę z niemi.

— Kto waćpana wyuczył tak wdzięcznych pieśni? — pytała panna Aleksandra.
— Wojna, Oleńko. W obozie my to sobie z tęskności śpiewali.

Dalszą rozmowę przerwało gwałtowne wołanie z tylnych sani: „Stój! stój! hej tam — stój!”

Pan Andrzej odwrócił się gniewny i zdziwiony, zkażd towarzyszom przyszło do głowy wołać na nich i wstrzymywać, gdy w tem o kilkuzdesięciu kroków za saniami dojrzał jeźdca, zbliżającego się co koń wyskoczy.

— Na Boga! to mój wachmistrz Soroka; coś się musiało tam stać! — rzekł pan Andrzej.

Tymczasem wachmistrz zbliżywszy się, osadził konia tak, że ten aż przysiadł na zadzie, i począł mówić zdyszanym głosem:
— Panie rotmistrzu!...
— Co tam, Soroka?
— Upita się pali; biją się!
— Jezus Maryja! — zakrzyknęła Oleńka.
— Nie bój się waćpanna... kto się bieje?
— Żołnierz z mieszczanami. W rynku pożar! Mieszczanie się zaciekle i po prezydym do Poniewieża posłali, a jam tu skoczył do waszej miłości. Ledwie tchu mogę złapać...
Przez czas tej rozmowy, sanie idące z tyłu nad-jechały; Kokosiński, Ranicki, Kulwiec-Hippocentaurus, Uhlík, Rekuć i Zend, wysokoczywszy na śnieg, otoczycy kołem rozmawiających.
— O co poszło? — pytał Kmicic.
— Mieszczanie nie chcieli obroków dawać, ani koniom, ani ludziom, że to asygnacyi nie było; żołnierze poczęli gwałtem brać. Oblęgliśmy burmistrza i tych, którzy się w rynku zatarasowali. Poczęto ognia dawać i zapaliliśmy dwa domy; teraz gwałt okrutny i we dzwony biją...
Oczy Kmicica poczęły świecić gniewem.
— To i nam trzeba na ratunek! — zakrzyknął Kokosiński.
— Wojsko łyżekowie oprymuję! — wołał Ranicki, któremu plamy czerwone, białe i ciemne całą twarz zaraz pokryły. — Szach, szach! mości panowie!
Zend zaśmietał się zupełnie tak, jak śmieje się puszczyk, aż się konie zestrasyły, a Rekuć podniósł oczy w górę i piszał:
— Bij! kto w Boga wierzy! z dymem łyków!
— Milczeć! — huknął Kmicic, aż las odegrzmiał, a stojący najbliżej Zend zatoczył się, jak pijany. — Nic tam po was! nie potrzeba tam siekaniny!... Siadać wszyscy w dwoje sani, mnie jedne zostawić i jechać do Lubicza. Tam czekać, chyba tym przysłał po sukurs.
— Jakto? — zaoponował Ranicki.
Ale pan Andrzej położył mu rękę pod szyję i tylko oczyma straszniej jeszcze zaświecił.
— Ni pary z gęby! — rzekł groźnie.
Umilkli; widać się go bali, chociaż tak zwykle byli z nim pufałe.
— Wracał Oleńko do Wodoktów — rzekł Kmicic — albo jedź po ciotkę Kulwiecównę do Mitrunów. Ot! i kulik się nie udał. Wiedziałem, że oni tam spokojnie nie usiedzą... Ale zaraz tam będzie spokojniej, jeno łbów kilka zleci. Bądź waćpanna zdrowa i spokojna, pilno mi będzie z powrotem...

To rzekłszy ucałował jej ręce i otułł ją w wilczurę; potem siadł do innych sani i zakrzyknął na woźnicę:

— Do Upity!
ROZDZIAŁ IV.

Upłynęło kilka dni, a Kmicic nie wracał, ale za to do Wodoktórow przyjechało trzech szlachty laudańskiej, na zwiady do panienki. Przyjechał więc Pakosz Gaśtowt z Pacunelów, ten, który gościł u siebie pana Wołodyjowskiego, patryarcha zaścianka, słynny z bogactw i sześciu córek, z tych trzy były za trzema Butrymami, a dostały każda po sto bitych talarów wiana, prócz wyprawy i inwentarzy. Drugi przyjechał Kassyan Butrym, najstarszy człowiek na Laudzie, dobrze Batorego pamiętający, a z nim zięć Pakosza, Józwa Butrym. Ten, choć w sile wieku, nie miał bowiem więcej jak lat piędziesiąt, a na popis pospolitego ruszenia do Rosień nie poszedł, albowiem w wojnach kozackich kula armatnia stopę mu urwała. Zwano go także z tego powodu kuternogą, albo Józwą Beznogim. Był to straszliwy szlachcic, siły niedźwiedziej i wielkiego rozumu, ale surowy, zgryźliwy, ostro ludzi sądzący. Z tego powodu obawiano się go nieco w stolicach, bo przebaczać ani sobie, ani innym nie miał. Bywał także niebezpieczny, gdy podpił, ale zdarzało mu się to rzadko.

Ci tedy przyjechali do panny, która przyjęła ich wdzięcznie, choć odrazu domyśliła się, że na zwiady
przyjeżdżają i usłyszeć coś od niej o panu Kmiciucu pragną.

— Bo my do niego chcemy jechać z pokłonem, ale to podobno jeszcze z Upiły nie wrócił — mówił Pakosz — tak do ciebie przyjechaliśmy pytać, kochanieńko, kiedy można?

— Myślę, że tylko co go nie widać — odrzekła panna. — Rad on wam, opiekunowie, będzie z całej duszy, bo siła dobrego słyszał o was i dawniej od dziadusia i teraz ode mnie.

— Byłe nas nie chciał przyjąć, jak Domaszewiczów przyjął, gdy do niego z wieścią o śmierci pułkownika przyjechali! — mrknął ponuro Józwa.

Panna dosłyszała i odparła zaraz żywo:

— Wy o to nie bądźcie krzywi. Może i niedość politycznie ich przyjął, ale już tu swoją omyłkę wyznał. Trzeba też pamiętać, że z wojny szedł, na której tyle trudów i zmartwień przebył! Żołnierziowi się nie dziwić, choć i na swego fuknie, bo to u nich humory, jako szable ostre.

Pakosz Gasztowił, który z całym światem zawsze chciał być w zgodzie, kiwnął ręką i rzekł:

— My też się i nie dzwili! Dzik na dzika fuknie, jak go znagla zobaczyć, czemużby człowiek na człowieka nie miał fuknąć! My pojedziem do starego Lubicza pokłonić się panu Kmiciowiu, aby z nami żył, na wojnę i do puszczy chodził, jako nieboszczyk pan podkomorzy.

— Tak już powiedz, kochanieńko, udał ci się, czy nie udał? — pytał Kassyan Butrym. — Tażto nasza powinność pytać?

— Bóg wam zapłaci za troskliwość. Zacny to ka-
walę, pan Kmicic, a choćbyś też co przeciw upatrzyła, nie godziłoby się o tem mówić.
— Aleś nic nie upatrzyła, duszo ty nasza najmilsza?
— Nic! Zresztą nikt go tu nie ma prawa sądzić, a broń Boże, nieufność pokazać! Bogu lepiej dziękujmy!
— Co tu zauwazę dziękować! Jak będziesz za co, to i dziękować, a nie, to nie dziękować — odpowiedział posępny Józwa, który jako prawdziwy Żmudzin, bardzo był ośrożny i przewidujący.
— A o ślubie wy mówili? — pytał znów Kassyan. Oleńka spuściła oczy:
— Pan Kmicic chce jak najpędzej...
— Ot, co! jeszczeby nie kciał! — mruknął Józwa — chyba głupi! A któryżto niedźwiedź nie kće miodu z barci? Ale poko się spieszyć, czyto nie lepiej zobaczyć, co za człowiek jest? Ojcie Kassyanie, taż już powiedzcie, co macie na języku, nie drzemcie jako za- jąc o południu pod skibą!
— Jać nie drzemię, jeno sobie w głowę patrzę, coby rzec — odpowiedział staruszek. — Pan Jezus powiedział tak: jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubię! My też panu Kmicicowi źle nie życzym, aby i on nam nie życzył, co daj Boże, amen!
— Byle był po naszej myśli! — dodał Józwa. Billewiczówna zmarszczyła swe sokole brwi i rzekła z pewną wyniosłością:
— Pamiętajcie asanowie, że nie sługę mamy przyjmować. On tu panem będzie i jego wola ma być, nie nasza. On i w opiece musi wałapanów zastąpić.
— To znaczy, żeby my się już nie wtrącali? — pytał Józwa.
— To znaczy, żebyście mu przyjaciółmi byli, jako on chce być wam przyjacielem. Przecież on tu własnego dobra strzeże, którym każdy wedle upodobania rządzi. Zali nieprawda, ojce Pakoszu?
— Święta prawda! — odrzekł pacunelski starysze-

A Józwa znów zwrócił się do starego Butrymya:
— Nie drzemcie, ojce Kassyanie!
— Jać nie drzemię, jeno w głowę patrzę.
— To mówcie, co widzieć.
— Co widzę? ot co widzę... Familiant to jest pan Kmicic, z wielkiej krwi, a my chudopachówki! Żołnierz przytem sławny; sam on jeden oponował się nie-

przyjacielowi, gdy wszyscy ręce opuścili. Daj Boże ta-
kich jak najwięcej! Ale kompania ma niepotem!... Panie sąsiedzie Pakoszu, cóżeście to od Domaszewi-
czów słyszeli? że to wszystko ludzie bezecki, przeciw
którym infamie są i kondemnaty i protesta i inkwizy-
cye. Katowskie to syny! Ciężcy byli nieprzyjacielowi,
ale i obywatelstwu ciężcy. Palili, rabowali, gwałty czy-
nili! ot, co jest! Żeby to tam kogo usiekił albo zaje-
chali, to się i zacnym zdarza, ale oni podobnoć zgoła
	tatarskim procederem żyli i dawnobym im po wieżach
gnie przyszło, gdyby nie protekcya pana Kmicica, któ-
ren jest można pan! Ten ich miłuje i osłania i przy
nim się wieszają, jak latem baki przy koniu. A teraz

tu przyjechali i już wszystkim wiadomo, co zacz są.
To pierwszego dnia w Lubiczu z bandoletów palili —

i do kogo? — do wizerunków nieboszczyków Billewi-
czów, na co pan Kmicic nie powinien był pozwolić, bo
to jego dobrodzieje.

Oleńka zatkała oczy rękoma.
Nie może być! nie może być!
Może, bo było! Dobrodziejów pozwolił postrzelać, z którymi w pokrewieństwo miał wejść! A potem dziewki dworskie powiągali do izby dla rozputyści!... Tfuf! obraza boska! Tego u nas nie bywało!... Pierwszego dnia zaczęli od strzelania i rozputyści! Pierwszego dnia!
Tu stary Kassyan rozgniewał się i począł stukać kijem w podłogę; na twarz Oleńki biły ciemne ramięcze, a Józwa ozwał się:
A to wojsko pana kmicicowe, które w Upicie zostało, to lepsze? Jacy oficerowie, takie i wojsko! Panu Sołtowych widzę zrabowali jacyś ludzie, mówią że pana Kmicica; chłopów mejzagolskich, którzy smole wieżeli, na gościńcu pobili. Kto? Też oni. Pan Sołtöhub pojechał do pana Hlebowicza po sprawiedliwość, a teraz znów w Upicie gwałt! Wszystko to przeciw Bogu! Spokojnie tu bywało, jak nigdzie, a teraz choć rusznice na noc nabijaj i stróżuj, a czemu, bo pan Kmicic z kompanią przyjechał.
Ojcze Józwo! nie mówcie tak! nie mówcie! zawołała Oleńka.
A jak mam mówić? Jeżeli pan Kmicic nie winien, to poko takich ludzi trzyma, poko z takimi żyje? Wielmożna panna mu powiedz, żeby on ich przepędził, albo katu oddał, bo inaczej nie będzie spokoju. A słychana to rzecz strzelać do wizerunków i rozpuścić jawnie płodzić? Toż cała okolica jeno o tem gada!
Co ja mam czynić? — pytała Oleńka. — Może to i źli ludzie, ale on z nimi wojnę odprawiał. Zali wypędzi ich na moją prośbę?
Jeśli nie wypędzi — mruknął z cicha Józwa — to sam taki!
Wtem w pannie poczęła się krew burzyć przeciw tym towarzyszom, zabijakom i kosterom.
— Zresztą niech tak będzie! Musi ich wypędzić! Niech wybiera mnie albo ich! Jeśli to prawda co mówicie, a dziś jeszcze będę wiedziała, czy prawda, to im tego nie daruję, ani strzelania, ani rozpusty. Jam sama jedna i słaba sierota, ich kupa zbrojna, aleć się nie ulęknę...
— My, ci pomożem! — rzekł Józwa.
— Dla Boga! — mówiła Oleńka, unosząc się coraz bardziej — niech sobie czynią, co chcą, ale nie tu w Lubiczu... Niech będą jacy chcą, ich to rzecz, ich szyje odpowiedzą, ale niech pana Kmiciaca nie podmawiają... do rozpusty... Wstyd! hańba!... Myślałem, że to żołnierze niezgrabni, a to widzę. zdajacy niegodni, którzy i siebie i jego plamią. Tak jest! że im z oczu patrzyło, ale ja głupia nie poznalam się na tem. Dobrze! dziękuję wam, ojcowie, żeście mi oczy na tych judaszów otworzyli... Wiem, co mi czynić przystoi.
— To! to! to! — rzekł stary Kassyan. — Cnota przez cię mówi, a my ci pomożem.
— Wy pana Kmiciaca nie winujcie, bo choćby co i przeciw stateczności uczynił, to młody jest, a oni go kuszą, oni podmawiają, oni zachęcają do rozpusty przykładem i hańbę na jego imię ściągają! Tak jest! pókim żywa nie będzie tego długo!
Gniew wzbierał coraz więcej w sercu Oleńki i zawziętość przeciw towarzyszom pana Kmiciaca wzrastała, jak wzrasta ból w ranie świeżo zadanej. Bo też zraniono w niej okrutnie i miłość własną kobiecą i tę ufność, z jaką całe czyste uczucie oddała panu Andrzejowi.
Wstyd jej było za niego i za siebie, a ów gniew i wstyd wewnętrzny szukał przedewszystkiem winnych.

Szlachta zaś rada była, widząc swoją pułkownikównę tak groźną i do stanowczej wojny warchołów orszańskich wyzywającą.

Ona zaś mówiła dalej z roziskrzonym wzrokiem:
— Tak jest! oni winni i muszą pójść precz, nie tylko z Lubicza, ale z całej okolicy.
— My też pana Kmicica nie winujemy, serce ty nasze — mówił stary Kassyan. — My wiemy, że to oni go kuszą. Nie ze złością my tu i jadem przeciw niemu przyjechali, jeno z żalem, że zbytników przy sobie trzyma. Toż i wiadomo, że młody, głupi. I pan starosta Hlebowicz zamłodu był głupi, a teraz nami wszystkimi rządzi.

— A pies? — mówił wzruszonym głosem pacunelski, łagodny staruszek. — Pójdiesz z młodym w pole, a on durny, zamiast za zwierzem iść, to ci koło nóg, padło, swawoli i za poły cię ciąga.

Oleńka chciała coś mówić, ale nagle zalała się łzami.

— Nie płacz! — rzekł Józwa Butrym.

— Nie płacz, nie płacz!... — powtarzali dwaj starcy.

I tak ją pocieszali, ale nie mogli pocieszyć. Po ich odjeździe została troska, niepokój i jakby uraza i do nich i do pana Andrzejza. Dumną pannę bolało coraz głębiej to, że trzeba było go bronić, usprawiedliwiać i tłomaczyć. A ta kompania! Drobnę ręce panny zaciśkały się na myśl o nich. W oczach jej stawały jakby na jawie twarze pana Kokosińskiego, Uhlika, Zenda, Kulwieca-Hippocentaura i innych i dostrzegała w nich,
czego pierwot nie wiedział: że były to bezcelne twarze, na których błazenstwo, rozpusta i zbrodnia wycisnęły pospolu swe pieczecie. Obce Oleńce uczucie niełoniści poczęto ją opanowywać, jak parzący ogień.

Lecz w tej rozterce wzrastała zarazem z każdą chwilą uraza i do pana Kmicica.

— Wstyd! sromota! — szeptała do się dziewczyna zbladłęmi usty. — Co wieczora wracał ode mnie do dziewek czeladnych!...

I czuła się sama upokorzona. Nieznośnie brzemię tamowało jej oddech w piersiach.

Mroczyło się na dworze. Panna Aleksandra chodziła po izbie pośpiesznym krokiem i w duszy wrzało jej ciągle. Nie była to natura zdolna znosić prześladowania losu i nie bronie się im. Rycerska krew krążyła w tej dziewczynie. Chciałaby natychmiast rozpocząć walkę z tą zagrają zły duchów — natychmiast! Ale co jej pozostaje?.. Nic! jeno łzy i prośba, by pan Andrzej rozpędził na cztery wiatry tych hańbiących kompanionów. A jeśli tego uczynić nie zechce?...

— Jeśli nie zechce...

I nie miała jeszcze myśleć o tem.

Rozmyślania panienki przerwał pachónek, który wniósł narzecz jałowcowych drewek do komina i rzucały je wedle trzonu, począł wygarniać węgle zpod starego popiołu. Nagłe postanowienie przyszło do głowy Oleńce.

— Kostek! — rzekła — siędziesz mi zaraz na koń i pojedziesz do Łubicza. Jeśli pan już wrócił, proś, żeby tu przyjechał, a jeśli go niemasz, to niech wło-darz, stary Znikis, siada z tobą i zaraz do mnie przyniecha, a żywo!
Chłopak rzucił szczepki smolnych na węgle, przy-
sypał je pniakami suchego jałowcu i skoczył ku drzwim.
Jasne płomienie poczęły huczeć i strzelać w ko-
minie. Oleńce stało się zaraz nieco lżej na duszy.
- Może to Pan Bóg jeszcze odmieni! — pomy-
ślała sobie — a może to i nie tak źle było, jak opie-
kunowie mówili...

I po chwili przeszła do czeladnej siedzieć od-
wiecznym obyczajem Billewiczowskim ze służbą, prząd-
dek pilnować, pieśni pobożne śpiewać.
Po dwóch godzinach wszedł zmarznięty Kostek.
- Znikis jest w sieni! — rzekł. — Pana nie-
masz jeszcze w Lubiczu.

Panna zerwała się żywo. Włódarz w sieni schylił
się jej do nóg.
- A jak tobie zdrowie, jasna dziedziczko?...

Bóg daj najlepsze!
Przeszli do izby stołowej; Znikis stanął przy
drwiach.
- Co u was słychać? — pytała panienka.
Chłop kiwnął ręką.
- At! pana niema...
- To wiem, że jest w Upicie. Ale w domu, co
są dzieje?
- At!...
- Słuchaj Znikis, mów śmiele, włos ci z głowy
nie spadnie. Mówią, że pan dobry, jeno kompania swa-
wołniki?
- Żeby to, jasna panienko, swawolniki!
- Mów szczerze.
- Kiedy, panienko, mnie nie wolno... ja się
boję... Mnie zakazali.
— Kto zakazał?
— Pan...
— Tak? — rzekła panna.
Nastała chwila milczenia. Ona chodziła spiesznie po pokoju ze ścisniętymi ustami i namarszczoną brwią, on śledził za nią oczyma.
Nagle stanęła przed nim.
— Czyj ty jesteś?
— A Billewiczowski. Jać z Wodoktów, nie z Lubicza.
— Nie wróćsisz więcej do Lubicza... tu zostaniesz. Teraz rozkazuję ci gadać wszystko, co wiesz!
Chłop jak stał w progu, tak rzucił się na kolana.
— Panienko jasna, ja tam nie kćę wracać, tam sądny dzień!... To panienko zbóje i zbereożniki, tam człowiek dnia i godziny niepewny.
Billewiczówna zakręciła się w miejscu, jakby strzałą ugodzona. Pobładała bardzo, ale spytała spokojnie:
— Prawdali to, że strzelali w izbie do wizerunków?
— Jak nie strzelali! I dziewczki ciągali po komnatach i codzień ta sama rozpusta. We wsi płacz, we dworze Sodoma i Gomora! Woły idą na stół, barany na stół!... Ludzie w ucisku... Stajennego wczoraj niewinnie rozszczepili.
— I stajennego rozszczepili?...
— A jakże! A najgorzej dziewczętom się krzywda dzieje. Już im dworskich niedość i po wsi łowią...
Nastała znowu chwila milczenia. Gorące rumeńce wystąpiły na twarz panny i nie znikały już więcej.
— Kiedy się tam pana spodziewają z powrotem?

— Oni, panienko, nie wiedzą, jeno słyszałem, jak mówili między sobą, że trzeba jutro całej kompanii do Upity ruszyć. Kazali, żeby konie były gotowe. Mają tu wstąpić i panienki o czeladź prosić i o prochy, żeby tam mogły być potrzebne.


— A, żeby tobie Bóg dał zdrowie i szczęście!...

Panna Aleksandra wiedziała, co chciała, ale też wiedziała, jak jej należy postąpić.

Nazajutrz była niedziela. Rankiem, nim panie z Wodoktów wyjechały do kościoła, przybyli panowie Kokosiński, Uhlik, Kulwicz-Hippocentaurus, Ranicki, Rekuć i Zend, a za nimi czeladź lubicka, zbrojno i konno, postanowili bowiem kawalerowie iść w pomoc panu Kmicicowi do Upity.

Panna wyszła przeciw nim spokojna i wyniosła, zupełnie inna od tej, która ich witała po raz pierwszy przed kilku dniami; ledwie głową kiwnęła w odpowiedzi na uniżone ich ukłony; ale oni myśleli, że to nieobecność pana Kmicica czyni ją tak ostrożną i nie poznali się na niczem.

Zaraz tedy wystąpił pan Jarosz Kokosiński, śmieszny już niż za pierwszym razem i rzekł:

— Jaśnie wielomożna panno łowczanko dobrodzieko! My tu po drodze do Upity wstępujemy, aby waćpannie dobrodziece do stópek upaść i o auxilia prosić: jako o prochy, strzelby i żebyś waćpanna czeladzi swej na koń sieść kazała i z nami jechać. Wzięmini szturmian Upitę i łyczkom trochę krwi upuścimy.

Potop. T. I. 5
— Dziwi mnie — odrzekła Billewiczówna — że waępmanowie do Upity jedziecie, gdyż sama słyszałam, jak pan Kmicic wam spokojnie w Lubiczu siedzieć przykaztał, a tak myślę, że jemu przystoi rozkazywać, a waszmościom słuchać, jako podkomendnym.

Kawalerowie, usłyszawszy te słowa, spojrzieli na siebie ze zdumieniem. Żend wysunął wargi, jak gdyby chciał poptasiemu zagwizdać, Kokosiński począł się głaskać szeroką dłonią po głowie:

— Jako żywo! — rzekł — myślałyby kto, że waępanna do ciurów pana Kmicica mówisz. Prawda jest, żeśmy mieli w domu siedzieć, ale gdy czwarty dzień idzie, a Jędrusia niema, przyszliśmy do takowej konwikcyi, że się tam mógł znaczy jakiś tumult uczynić, w którym i nasze szable się przygodzą.

— Pan Kmicic nie na bitwę pojechał, jeno żołnierzy swawolników karać, cóby się i waępanom przytrafić mogło, gdybyście przeciw rozkazowi wystąpili. Zresztą prędzejby się tam tumult i siekanina przy was mogła zdarzyć.

— Trudno nam z waępanną deliberać. Prosim tylko o prochy i ludzi.

— Ludzi i prochów nie dam, słyszyś mnie waępan!


— Co go może najgorszego spotkać, to waępanów kompania!

Tu oczy dziewczyny poczęły ciskać błyskawice, i podniósłszy głowę, postąpiła kilka kroków ku zabi- jakom, a oni cofali się przed nią w zdumieniu.
Zdrajcy! — rzekła — wyto go jak złe duchy do grzechu kusicie, wy go namawiacie! Ale znam już was, waszę rozpustę, wasze bezecze uczynki. Prawo was ści-ga, ludzie się od was odwracają, a ohyda na kogo pada? — na niego — przez was banitów i infamisów!

— Hej! na rany boskie, towarzysze! słyszycie? — zakrzyknął Kokosiński. — Hej! co to jest? zali nie śpi-my, towarzysze?

Billewiczówna postąpiła krok jeszcze i ukazując ręką na drzwi:

— Precz ztąd! — rzekła.

Warchołowie pobledli trupio i żaden z nich nie zdobył się na słowo odpowiedzi. Jeno zęby ich poczęły zgrzytać, ręce drgać ku rękójęściom, a oczy ciskać złe błyskawice. Ale po chwili dusze w nich upadły z trwogi. Toż ten dom był pod opieką potężnego Kmicica, toż ta zuchwała panna była jego narzeczona. Więc zgryżli w milczeniu gniew, a ona ciągle stała z roziskrzonem okiem, ukazująca palcem na drzwi.

Nakoniec pan Kokosiński rzekł przerywonym wściekłością głosem:

— Kiedy nas tu tak wdzięcznie przyjęto... to... nie pozostaje nam nic innego... jak pokłonić się... politycznej gospodyni i pójść... dziękując za gościnę...

To rzekłszy, skłonił się czapką z umyśną uniozo-nością aż do ziemi, a za nim kłaniali się i inni i wycho-dzili kolejno. Gdy drzwi zamknęły się za ostatnim, Oleńka upadła wyczerpana na krzesło, dychając ciężko, bo nie miała tyle sił, ile odwagi.

Oni zaś zgromadzili się na radę przed gankiem, naokół koni, ale żaden nie chciał pierwszy przemówić. Wreszcie Kokosiński rzekł:
— Cóż milę barankówie?
— A cóż?
— Dobrze wam?
— A tobie dobrze?
— Ej! żeby nie Kmicic! ej, żeby nie Kmicic! — rzekł Ranicki, zacierając konwulsyjnie ręce — pohulali-byśmy tu z panienką ponaszemu!...
— Idź, zadrzuję z Kmicicem! — zapiszczał Re-kuć. — Stań mu!
Ranickiego twarz, jak skóra rysia, cała była już pokryta piętnami.
— I jemu stanę i tobie warchole, gdzie chcesz!
— A to i dobrze! — rzekł Rekuć.
Obaj porwali się do szabel, ale olbrzymi Kulwic-Hippocentaurus wtoczył się pomiędzy nich.
— Na tę pięść! — rzekł, potrząsając jakoby bochnem chleba — na tę pięść! — powtórzył — pierwszemu, który szablę wyciągnie,ilib roztrzaskam!
To rzekłszy, poglądał to na jednego, to na dru-giego, jakoby pytając niemo, który pierwszy zechce po-próbować; ale oni, tak zagadnięci, uspokoił się zaraz.
— Kulwic ma racją! — rzekł Kokosiński. — Moli milę barankowie, potrzeba nam teraz zgody więcej niż kiedykolwiek... Jabym radził ruszać coprędzej do Kmicica, żeby zaś ona go prędzej nie obaczyła, bo opisa-łaby nas jako dyabłów. Dobrze, że tam żaden na nią nie warknął, choć mnie samemu świerzbiały ręce i ję-zyk... Ruszajmy do Kmicica. Ma ona go na nas pod-bechtewić, to lepiej my go wpierw podbechtewić. Nie daj Boże, aby nas opuścił. Zarazby tu obławę na nas, jak na wilków, uczyniono.
— Furda! — rzekł Ranicki. — Nic nam nie uczzy-
nią. Teraz wojna; małoto ludzi po świecie bez dachu
i chleba się włóczy? Zbierzem sobie partyą, towarzysze
mili, i niech nas wszystkie trybunały ścigają. Daj rękę
Rekuć, odpuszczam ci!
— Byłbym ci uszy obciął, — zapiszczał Rekuć —
ale już pogódźmy się! wspólna nas konfuzja spotkała.
— Kazać pójść precz takim jak my kawalerom! —
rzekł Kokosiński.
— I mnie, w którym senatorska krew płynie! —
dodał Ranicki.
— Ludziom godnym! familiantom!
— Żołnierzom zasłużonym!
— I exulom!
— Sierotom niewinnym!
— Mam bóty wyporkiem podszyte, ale już mi
nogi marzną — rzekł Kulwiec. — Co będziemy jak
dziady pod tym domem stali; nie wyniosą nam tu piwa
grzanego! Nic tu po nas! Siadajmy i jedźmy. Czeladź
lepiej odesłać, bo co po nich bez strzelb i broni, a sami
jedźmy.
— Do Upity!
— Do Jędrusia, przyjaciela zacnego! Przed nim
się poskarżym.
— Byleśmy go nie minęli.
— Na koń, towarzysze! na koń!
Siedli i ruszyli stępą, gniew i wstyd przeżuwając.
Za bramą Ranicki, którego złość trzymała jeszcze
jak za gardło, odwrócił się i pogroził pięścią dworowi.
— Ej, krwi mi! ej, krwi!
— Niechby się tylko z Kmicicem pokłócił —
rzekł Kokosiński — przyjechalibyśmy tu jeszcze z hubką.
— Może to być.
— Boże nam pomóż! — dodał Uhlik.
— Pogańska córka, cieciorka zaciekała!...

Tak kłnąc i sierdząc się na pannę, a czasem na siebie samych warcząc, dojechali do lasu. Ledwie minęły pierwsze drzewa, ogromne stado wron zawichrzyło się nad ich głowami. Zend począł zaraz krakać przeraźliwie; tysiące głosów odpowiedziało mu z góry. Stado zniżyło się tak, że aż konie poczęły się lękać szumu skrzydeł.

— Stul gębę! — krzyknął na Zenda Ranicki. — Jeszcze nieszczęście wykraczasz! Krzącą nad nami te wrońska, jakby nad padliną...

Ale inni śmieli się, więc Zend krakał ciągle. Wrony zniżały się coraz bardziej i tak jechali, jak wśród burzy. Głupi! nie umieli odgadnąć zlej wrożby.

Za lasem ukazały się już Wołmontowicze, ku którym kawalerowie ruszyli rysią, bo mróz był śrogi i zmarzli bardzo, a do Upity było dosyć jeszcze daleko. Ale w samej wsi musieli zwolnić. Na szerokiej drodze zaścianku pełno było ludzi, jak zwyczajnie przy niedzieli. Butrymowie i Butrymówny wracali piechotą i saniami z Mitrunów, z odpustu. Szlachta poglądała na nieznanych jedźców, wpół się domyślając, coto za jedni. Młode szlachcianki słyszały już o rozpuszczeniu w Lubiczu i o sławnących jawnogrzescznikach, których pan Kmicic przyprowadził, więc przypatrywały im się jeszcze ciekawię. Oni zaś jechali dumnie, w pięknych postawach żołnierskich, w zdobycznych aksamitnych fereżyach, w kołpakach rysich i na dzielnych koniach. Znać było jednak, że to żołnierze zawołani: miny rzęśiste i harde, prawe ręce wparte w boki, głowy podniesione. Nie ustępowali też nikomu, jadąc szeregiem i pokrzykując od
czasu do czasu: „Z drogi!” Jaki taki z Butrymów spojrzał z pode łba, ale ustąpił; oni zaś gwarzyli między sobą o zaścianku.

— Uważcie, mości panowie,— mówił Kokosiński— jakietu chłopy rosłe; jeden w drugiego jak tur, a każdy wilkiem patrzy.

— Żeby nie ten wzrost i żeby nie szabliska, možnaby ich wziąć za chamów — rzekł Uhlik.

— Obaczczeno te szablce! czyste powyrki, jak mi Bóg miły! — zauważył Ranicki. — Chciałbym się z któ-

·rym popróbować!

Tu pan Ranicki począł gołą dłonią szermować.

— Onby tak, jabym tak! Onby tak, jabym tak — i szach!

— Łatwo sobie możesz owe gaudium uczynić — zauważył Rekuć. — Z nimi nie trzeba wiele.

— Wolałbym się ja z temi oto dziewczetami po-

próbować! — rzekł nagle Zend.

— Świece nie panny! — wykrzyknął z zapalem

Rekuć.

— Co waść mówisz: świece? — sosny! A pyski

u każdej, jakoby krokoszem malowane.

— Ciężko i na szkapie usiedzieć na taki widok!

Tak rozmawiając, wyjechali z zaścianka i znów
ruszyli rysią. Po pół godziny drogi przybyli do karczmy
zwanej Doły, która leżała na pół drogi między Woł-

montowiczami i Mitrunami. Butrymi i Butrymówny
zatrzymyvali się w niej zwykle, idąc i wracając z ko-

ścioła, aby odpocząć i rozgrzać się w czasie mrozów.

To też przed zajazdem spostrzegli kawalerowie kilka-

naście sani, wysłanych grochowinami i tyleż koni po-

siodłanych.
— Napijmy się gorzałki, bo zimno! — rzekł Kokosiński.

— Nie zadowdzi! — odparł chór jednogłośny.

Zsiedli z koni, zostawili je u słupów, a sami weszli do szynkownej izby, ogromnej i ciemnej. Zastali tu moc ludzi. Szlachta siedząc na ławach lub stojąc gromadami przed szynkwasem, popijała piwo grzane, a niektórzy krupniczek warzony z masła, miodu, wódki i korzeni. Sami to byli Butrymowie, chłopy duże, ponure i tak małomówne, że w izbie prawie nie było słychać gwaru. Wszyscy ubrani w szare kaputy z samodzielnego pakłaku, podbite baranami, w pasy skórzane, przy szablach w czarnych żelaznych pochwach; przez tę jednostajność ubioru czynili pozór wojska. Ale byli to po części ludzie starzy od lat sześciadzięciu lub wyrostkowie do dwudziestu. Ci dla omotów zimowych w domach zostali; reszta, mężczyźni w sile wieku, ruszyli do Rosień.

Ujrzałszy orszańskich kawalerów, odsunęli się od szynkwasu i poczęli im się przypatrywać. Piękny modernek żołnierski podobał się tej wojowniczej szlachcie; czasem też który słowo puścił: „To z Lubicza?“ — „Tak, pana Kmicicowa kompania!“ — „To ci?“ — „A jakże!“

Kawalerowie pili gorzałkę, ale krupniczek zbyt pachniał. Zwierzył go pierwszy Kokosiński i kazał dać. Obsiedli tedy stół, a gdy przyniesiono dymiący sąganek, poczęli pić, spoglądając na izbę, na szlachtę i przymrużając oczy, bo w izbie było ciemnawo. Okna śnieg zasuł, a długi, niski otwór gruby, w której palił się ogień, pozasłaniały całkiem jakieś figury plecami ku izbie odwrócone.

Kiedy już krupnik począł krążyć w żyłach kawa-
lerów, roznosząc po ich ciałach ciepło przyjemne, oży-wiły im się zaraz humory, strapione po przyjęciu w Wo-doktach i Zend począł nagle krakać jak wrona, tak dokładnie, że wszystkie twarze zwróciły się ku niemu.

Kawalerowie śmieли się, szlachta poczęła się zbli-żać rozwoeselona, zwłaszcza młodzi, potężni wyrostkowie o szerokich barach i puczołowatych policzkach. Siedzące przy grubie przed ogniem postacie odwróciły się ku izbie i Rekuć pierwszy dostrzegł, iż były to niewiasty.

A Zend zamknął oczy i krakał, krakał — nagle przestał i po chwili obecni usłyszeli głos duszonego przez psy zająca; zając beczał w ostatniej agonii, coraz słabiej, ciszej, potem zawrzasnął rozpaczliwie i zamilkł na wieki — a na jego miejsce rogacz odezwał się potę-żnie, jak z rykowiska.

Butrymowie stali zdumieni, chociaż Zend już prze-stał. Spodziewali się jeszcze co usłyszeć, ale tymcza-sem usłyszeli tylko piskliwy głos Rekucia:
— Sikorki siedzą wedle gruby!
— A prawda! — rzekł Kokosiński, przysłaniając oczy ręką.
— Jako żywo! — powtórzył Uhlik — jeno w izbie tak ciemno, żem nie mógł rozезжаć.
— Ciekaw jestem, co one tam robią?
— Może na tańce przychodzą.
— A poczekajcie, spytam! — rzekł Kokosiński. I podniósłszy głos, pytał:
— Miłe niewiasty, a cóże tam czynicie wedle gruby?
— Nogi grzejem! — ozwały się cienkie głosy.

Wówczas kawalerowie wstali i zbliżyli się do ogni- ska. Siedziało przy niem na długiej ławie z dziesięć nie-
wiast, starszych i młodszych, trzymających bose nogi na klocu, leżącym wedle ognia. Z drugiej strony kloca suszyły się przemokłe od śniegu bóty.

— To waćpanny nogi grzejecie? — pytał Koko-
siński.

— Bo zamarzły.

— Bardzo grzeczne nóżki! — zapiszczał Rekuć, pochylając się ku klocowi.

— At! odczep się waszmość! — rzekła jedna z szlachcianek.

— Radbym ja się przyczepić, nie odczepić, ile że mam sposób pewny, lepszy od ognia na zmarzłe nóżki, którego sposób jest następujący: jeno potańcować z ocho-
tą, a zamróz pójdzie precz!

— Kiedy potańcować, to potańcować! — rzekł pan Uhlik. — Nie potrzeba ni skrzypków, ni basetli, bo ja wam zagram na czekaniku.

I wyдобyzłyszy ze skórzanej pochewki, wiszącej przy szabli, nieodstępny instrument, grać począł, a ka-
walerowie sunęli w podrygach do dziewcząt i tuż je ściągać z ławy. One niby się bronili, ale więcej krzy-
kiem, niż rękoma, bo naprawdę nie były bardzo od tego. Może i szlachta rozochociliaby się zkolei, bo przeciw potańcowańiu w niedzielę, po mszy i w zapusty, niktby bardzo nie protestował, ale reputacja „kompanii” była już zbyt znana w Wołmontowiczach, więc pierwszy ob-
hrzymi Józwa Butrym, ten, który stopy nie miał, wstał z ławicy i zbliżywszy się do Kulwieca-Hippocentaura, chwycił go za pierś, zatrzymał i rzekł ponuro:

— Jeśli się waszmości chce tańca, to może ze mną?...
Kulwieg-Hippocentaurus oczy przymrużył i począł wąsami ruszać gwałtownie.

— Wolę z dziewczyną — odrzekł — a z waścią to chyba potem...

Wtem nadbiegł Ranicki, z twarzą już poczętkowo-waną plamami, bo już burdę poczuł.

— Coś za jeden, zawalidrogo? — pytał, chwytać za szablę.

Uhlik przestał grać, a Kokosiński zakrzyknął:

— Hej, towarzysze! do kupy! do kupy!

Ale już za Józwą sypnęli się Butrymowicie, starcy potężni i wyrostki ogromne; poczęli się także skupiać, pomrukując, jak niedźwiedzie.


— At! co gadać! poszli precz! — rzekł z flegmą Józwa.

Na to Ranicki, któremu chodziło o to, aby czasem nie obyło się bez bójkii, uderzył Józwę rękokieścią w pier-si, aż się rozległo w całej izbie i krzyknął:

— Bij!

Rapiery zabłysły, rozległ się wrzask niewiast, szczęk szabel, zgiełk i zamieszanie. Wtem olbrzymi Józwa wycofał się z potyczki, porwał stojącą wedle stołu z gruba ciosaną ławę i podniósłszy ją, jakby leciuchną deseczkę, zakrzyknął:

— Rum! rum!

Kurz wstał z podłogi i przesłonił walczących, jeno w zamęcie język poczęły się odzywać...
ROZDZIAŁ V.

takich, którzy usłuchali uniwersałów, ci zaś nawet, co poszli za głosem obowiązku, ściągali się tak opieszale, że tymczasem naprawdę nikt oporu nie dawał, prócz pana Kmicica, który czynił to na własną rękę, pobudzany więcej fantazją rycerską, niż patryotyzmem. Latwo jednak zrozumieć, że w braku wojsk regularnych i szlachty, brał ludzi, jakich mógł znaleźć — więc takich, których obowiązek do hetmanów nie ciągnął i którzy nie mieli nic do stracenia. Nagarnięto się tedy do niego zawalidrogów bez dachu i domu, ludzi niskiego stanu, zbiegłej z wojska czeladzi, zdziczałych borowych, pachołóków miejskich lub łotrzyków prawem ściganych. Ci pod chorągwią spodziewali się znaleźć ochronę, a przytem łupami się pożywić. W żelaznych rękach Kmicicowych zmienili się oni w śmiertelnych żołnierzy, śmiertelnych aż do szaleństwa i gdyby sam Kmicic był statecznym człowiekiem, mogli byli znaczne Rzeczypospolitej oddać przysługi. Ale Kmicic był sam swawolnikiem, w którym dusza kipiała ustawicznie; zresztą skąd miał brać prowiant i broń i konie, gdy jako wolenterz, nie posiadający nawet listów zapowiednich, nie mógł ze skarbu Rzeczypospolitej żadnej spodziewać się pomocy. Brał więc gwałtem, często na nieprzyjacielu, często i na swoich. Oporu nie znosił i za najmniejszy karał srodze.

W ustawicznych podjazdach, walkach i napadach zdziczał, przyzwyczaił się do krwi przelewu, tak, że niełada co mogło poruszyć w nim, dobre zresztą z natury, serce. Zakochał się w ludziach gotowych na wszystko i niepohamowanych. Imię jego zasłynęło wkrótce złowrogo. Mniejsze oddziały nieprzyjacielskie nie śmiały się wychylać z miast i obozów w stronach, w których straszliwy partyzant grasował. Ale i miejscowe obywa-
telstwo, zniszczone przez wojnę, bało się jego ludzi mało mniej, niż nieprzyjaciół. Zwłaszcza gdzie oko Kmicica osobiście nie spoczywało nad nimi, gdzie komendę brali jego oficerowie: Kokosiński, Uhlik, Kulwiec, Zend, a szczególnie najdzikszyszy i najokrutniejszy, lubo z wysokiej krwi pochodzący Ranicki — tam zawsze można było pytać: obroncyli to, czy napastnicy? Kmicic karał czasem i swoich ludzi, gdy mu nie pod humor co przyszło, bez miłosierdzia; ale częściej stawał po ich stronie, nie dbając na prawa, na łzy i życie ludzkie.

Kompanionowie, prócz Rekucia, na którym krew niewinnna nie ciężyła, jeszcze podmawiali młodego woźdza, by coraz bardziej cugłów swej bujnej naturze popuszczał.

Takie to było Kmicicowe wojsko.

Teraz właśnie zabrał on swą hołotę z Upity, by ją do Kiejdan odesłać. Gdy się tedy zatrzymali przed dworem w Wodoktach, panna Aleksandra aż przerażała się, ujrzawszy ich przez okno; tak byli do hajdamaków podobni. Każdy inaczej zbrojny, jedni w hełmach pobra-nych na nieprzyjaciela, drudzy w czapkach kozackich, w kapuzach, w kapturach, niektórzy w wypłówekch ferezyach, inni w kożuchach, z rusznicami, spisami, łukami i berdyszami, na chudych, poszerszeniach ko- niach, ubranych w rzędziki polskie, moskiewskie, ture- ckie. Uspokoiła się dopiero Oleńka, gdy pan Andrzej, hoży i wesoły jak zawsze, wpadł do izby i zaraz z niezmierną żywością do rąk jej przypadł.

Ona zaś, choć poprzednio postanowiła przyjąć go z powagą i zimno, jednak nie mogła zapanować nad ra- dością, którą jej sprawiło jego przybycie. Przytem może i chytrość niewieścia grała w tem pewną rolę, bo trzeba
było powiedzieć panu Andrzejowi o wypędzeniu za drzwi kompanii, więc chciała go sobie przebiegłą dziewczynę najprzód zjednać. A zresztą, tak ją witał szczęrze, z taką miłością, że resztki urazy stopniały jak śnieg przy płomieniu.

— Miło mi! niemasz wątpliwości! — pomyślała.

A on mówił:

— Jam też była niespokojna, żeby tam do bitwy nie przyszło. Chwała Bogu, żeś waćpan przyjechał.

— I! co za bitwa! Żołnierze poczeli trochę łyczków tarmosić...

— Aleś to waćpan uspokoił?

— Zaraz ci powiem wszystko, jak się zdarzyło, mój klejnocie, jeno sobie usiedę trochę, bom się straudił. Eł! ciepło tu, ej! miło w tych Wodoktach, jako właśnie w raju. Radby tu człowiek po wiek siedział i w one śliczne oczy patrzył i nigdy nie wyjeżdżał... Ale napić się czego ciepłego nie zawadziłoby także, bo na dworze mróz okrutny.

— Zaraz każe waćpanu wina z jajami zgrzać i sama przyniosę.

— A dajże i moim wisielcom jaką baryłczynę gorzałki i kaź ich do obory puścić, żeby się jeno od paru bydlęcego nieco rozgrzali. Tołuby mają wiatrem podszyte i srodce pokostnieli.

— Niczego im nie pożałuję, bo to waćpańscy żołnierze.

To rzekłszy, uśmiechnęła się tak, aż Kmicicowi
w oczach pojaśniało i wysunęła się jak kotka cicho, by w czeladnej wszystko zarządzić.

Kmicie chodził po izbie i po czuprynie się głaskał, to znów wąsa młodego pokręcał, namiślając się: jak jej opowiedzieć, co się w Upicie zdarzyło.

— Trzeba szczerą prawdę wyznać — mruczał pod nosem — niema rady, choćby kompania mieli się śmiać, że mnie tu już na pasku wodzą...

I znów chodził i znów czuprynę na czoło nagarniał, wreszcie zniecierpliwił się, że dziewczyna długo nie wraca.

Tymczasem pacholik wniósł światło, pokłonił się w pas i wyszedł, a potem zaraz weszła wdzięczna gospośia, niosąc sama w obu rękach błyszczącą cynową tacę, na niej garnuszek, z którego wychodziła wonna para zagranego węgrzyna i puharek, rzucone ze szkła, z herbem Kmiciców. Stary Bilewicz dostał go w swoim czasie od ojca pana Andrzeja, gdy u niego w gościnie bawił.

Pan Andrzej, ujrzański gospośię, poskoczył ku niej.

— Hej! — zawałał — rączyny obydwie zajęte, nie wymkniesz mi się!

I przechylił się przez tacę, a ona cofała swoją jasną główkę, bronioną tylko przez opar, wychodzący z garnuszka.

— Zdrajca! dajże waćpan spokój, bo upuszcę polewkę...

Ale on się grożby nie uląkł, poczecm zakrzyknął:

— Jak Bóg w niebie, od takich delicyj rozum może się pomieszać!
— Waćpanu dawno się już pomieszkał... Siadaj, siadaj.

Usiadł posłusznie; ona zaś naleła mu polewki w puharek.
— Mówże teraz, jakeśto w Upicie winnych sądził?
— W Upicie? Jako Salomon!
— To i chwała Bogu!... Na sercu mi to, żeby wszyscy w okolicy mieli waćpana za statecznego i sprawiedliwego człowieka. Jakże to tedy było?

Kmicic pociągnął dobrze polewki, odetchnął i rzekł:
— Muszę opowiadać od początku. Było tak: Upominali się łyckowie z burmistrzem o asygnacjy na prowianty od hetmana wielkiego, albo od pana podskarbiego. „Waćpanowie (mówili żołnierzom) jesteście wolerantarzami i egzakcyi nie możecie czynić. Kwatery dajem z łaski, a prowianty damy wtedy, gdy się okaże, że nas zapłacą“.
— Mieli słuszność, czy nie mieli?
— Słuszność wedle prawa mieli, ale żołnierze mieli szable, a postarem, kto ma szablę, ten ma wąsze lepszą racyą. Powiadają tedy łyckom: „Zaraz my tu na waszej skórce wypiszemy asygnacje!“ I wnet stał się tumult. Burmistrz z łyckami zatarasowali się w ulicy, a moi ich dobywali; nie obeszło się bez strzelaniny. Zapalili niebożęta żołnierze dla postrachu parę stodoł, kilku też łyczków uspokoili...
— Jakto uspokoili?
— Kto weźmie szablę po łbie, to spokojny jak trusia.
— Dla Boga! toż to zabójstwo!

Potop. T. I.
Właścim na to przyjechał. Żołnierze zaraz do mnie z narzekaniami i skargami na opresy, w jakiej żyją, że to ich niewinnie prześlądują. „Brzuchy mamy puste — mówili — co nam czynić?” Kazałem burmistrzowi, by się stawił. Namyślał się długo, ale wreszcie przyszedł z trzema innymi. Kiedy to nie zaczną płakać: „Niezby już i asygnacyj nie dawali — prawią — ale czemu biją, czemu miasto palą? Jeśli i pić bylibyśmy dali za dobre słowo, ale oni chcieli słoniny, miodów, specytałów, a my sami ubodzy ludzie, tego nie mamy. Prawem się będziem bronić, a wasza mość przed sądem za swoich żołnierzów odpowiesz.”

— Bóg waćpana będzie błogośławili — zawołała Oleńka — jeśli sprawiedliwość, jako się godzi uczynił!
— Jeśli uczynił?...

Tu pan Andrzej skrzywił się jak student, który ma się do winy przyznać i czuprynę począł ręką na czoło nagarniać.

— Mój królu! — zawołał wreszcie żałosnym głosem — mój klejnacie!... nie gniewaj się na mnie...

— Kazałem dać po sto batożków burmistrzowi i radnym! — wyrecytował jednym tchem pan Andrzej. Oleńka nie odrzekła nic, jeno ręce wsparła na kolanach, głowę spuściła na piersi i pogrążyła się w milczeniu.

— Zetnij szyję! — wołał Kmicic — ale nie gniewaj się!... Jeszczej wszystkiego nie wyznał...
— Bo to oni potem posłali do Poniewieża o pomoc. Przyszło sto głupich pachołków z oficerami.
Tych przepłoszyłem, a oficerów... na Boga, nie gniewaj się!... kazałem gołych pognać kańczugami po śniegu, tak, jakem raz panu Tumgratiowi w Orszańskim uczynił...

Billewiczówna podniosła głowę; surowe jej oczy pałały gniewem, a purpura wystąpiła na policzki.
— Właści nie masz wstydu i sumienia! — rzekła. Kmiec spojrzał zdziwiony, zamilkł na chwilę, po czem spytał zmienionym głosem:
— Prawdę mówisz, czy udajesz?
— Prawdę mówię, że hajdamaki godny to uczynek, nie kawalera!... Prawdę mówię, bo mi reputacja waćpana na sercu leży, bo mi wstyd, żeś ledwo przyjechał, już cię całe obywatelstwo ma za gwałtownika i palcami ukazuje!...
— Co mi tam wasze obywatelstwo! Dziesięciu chałup jeden pies strzeże i jeszcze niewiele ma roboty.
— Ale niemasz infamii na tych chudpachołkach, niemasz hańby na niczyjem imieniu. Nikogo tu sądy ścigać nie będą, prócz waćpana!
— Ej, niechże cię o to głowa nie boli. Każdy sobie pan w naszej Rzeczypospolitej, kto jeno ma szablę w garści i ladajką partą zebrać potrafi. Co mi uczynią, kogo ja się tu boję?
— Jeśli waćpan nikogo się nie boisz, to wiedz o tem, że ja się boję gniewu Bożego... i też ludzkich się boję, i krzywd! A hańbą z nikim dzielić się nie chcę; chociażem niewiasta słaba, przecie mi miła cześć imienia może więcej, niż niejednemu, który się kawalerem powiada.
— Na Boga: nie groźże mi rekuzą, bo mnie jeszcze nie znasz...

8*
— O, wierzę, że i mój dziad waćpana nie знаł! Oczy Kmicica poczęły iskry sypać, ale i w niej się rozиграła krew billewiczowska.

— Rzucaj się waćpan, zgrzytaj! — mówiła śmiało dalej — jać się nie ulęknę, chociażem sama, a waść masz całą chorągiew rozbójników pod sobą; niewinność moja mnie broni!... Myślisz, że nie wiem, iżeście w Lubiczu wizerunki postrzelali i że dziewczęta na rozpustę ciągacie?... Waść to mnie nie znasz, jeśli myślisz, że zmilczę pokornie. Chcę poczciwości od waćpana i tego wymagać żaden mi testament nie zabroni... Owszem, wola mojego dziada jest, żebym tylko poczciwego żoną była...

Kmicic widocznie zawstydził się tych sprawek lubickich, bo spuściwszy głowę, spytał cichszym już głosem:

— Kto ci o owem strzelaniu mówił?
— Wszystka szlachta z okolicy o tem mówi.
— Zapłacę ja tym szarakom, zdrajcom, za życzliwość! — odparł posępnie Kmicic. — Ale to stało się popijanemu... w kompanii... jako, że żołnierze po-hamować się nie umieją. A co do dziewcząt, to jać ich nie ciągał.

— Wiem, że to owi bezwstydniczy, owi zbóje do wszystkiego waćpana podmawiają...
— To nie zbóje, to moi oficerowie...
— Ja tym waćpana oficerom kazała pójść precz z mego domu!

Oleńka spodziewała się wybuchu, tymczasem z największym zdziwieniem spostrzegła, że wiadomość o wypędzeniu kompanionów żadnego na Kmicicu nie
uczyniła wrażenia, a nawet przeciwnie, zdawała mu się humor poprawiać.

— Kazałaś im pójść precz? — spytał.
— Tak jest.
— A oni poszli?
— Tak jest.
— Dalibóg, kawalerska w tobie fantazya! Okrutnie mi się to podoba, bo niebezpieczna rzecz z takimi ludźmi zadrzeć. Niejeden już ciężko za to zapłacił. Ale i oni znają mores przed Kmiciem!... Widzisz! wynieśli się pokornie jak barankowie — widzisz! a czemu? bo się mnie boją!

Tu pan Andrzej spojrzał chełpliwie na Oleńkę i wąsa począł pokręcać; ją zaś rozgniewała do reszty ta zmienność humoru i ta niewczasna chełpliwość, więc rzekła wyniośle i z naciskiem:

— Waćpan musisz wybrać między mną a nimi, inaczej być nie może!

Kmicic zdawał się nie spostrzegać tej stanowczości, z jaką Oleńka mówiła i odpowiedział niedbale, prawie wesoło:

— A poko mnie wybierać, kiedy ja i ciebie mam i ich mam! Waćpanna możesz sobie w Wodoktach czynić, co się podoba; ale jeżeli moi kompanionowie żadnej tu krzywdy, ani swawoli się nie dopuścił, to zacóż mam ich wyganiać? Waćpanna tego nie rozumiesz, co to jest służyć pod jedną chorągwią i wojnę razem odbywać... Żadne krewieństwo tak nie związuje, jak wspólna służba. Wiedz o tem, że oni mało tysiąc razy ratowali mi życie; że ich prawo ściga, to tembardziej muszę im dać przytułek. Szlachta to prawie wszystko i familiarci, za wyjątkiem Zenda, którego
jest niepewnego pochodzenia, ale takiego kalwakatora niemasz w całej Rzeczypospolitej. Prócz tego, gdybyś go waćpanna słyszała, jak zwierza i ptastwo wszelakie udaje, samabyś go polubiła.

Tu pan Andrzej roześmiał się, jakby żaden gniew, żadne nieporozumienie nie miało nigdy miejsca między nimi, a ona aż załamała ręce, widząc, jak z rąk jej się wymyka ta wchrowata natura. To wszystko, co mówiła mu o opinii ludzkiej, o potrzebie statku, o nieśławie, ześlizgiwało się po nim, jak grot po pancerzu. Nierozbudzone sumienie tego żołnierza nie umiało odczuć jej oburzenia na każdą niesprawiedliwość, na każdą bezecną swawolę. Jakże tu do niego trafić, jak przemówić?

— Niech się dzieje wola Boża! — rzekła wreszcie. — Skoro się mnie waćpan wyrzekasz, to idź twoją drogą! Bóg zostanie nad sierotą!


— Tak jest! jeśli nie słowy, to uczynkami; jeśli nie ty mnie, to ja ciebie... Bo nie pójdę za człowieka, na którym ciężą łzy ludzkie i krew ludzka, którego palcami wytykają, bannitem, rozbójnikiem zowią i za zdrajęcą mają!

— Za jakiego zdrajęcę?... Nie przywodźże mnie do szaleństwa, abym zaś czego nie uczynił, czegobym potem żałował. Niechże we mnie piorun zaraz trzaśnie, niech mnie czarci dziś obłuszczą, jeślim ja zdrajca, ja, którym przy ojczyźnie wtedy stawał, kiedy wszyscy ręce opuścili!

— Waćpan przy niej stajesz, a czynisz to, co i nieprzyjaciel, bo ją depcesz, bo ludzi w niej katu-
jesz, bo na prawa boskie i ludzkie nie dbasz. Nie! choćby mi się i serce rozdarło, nie chcę cię mieć takiego, nie chcę!...

— Nie gadaj mi o rekuzie, bo się wścieknę! Ratujcie mnie aniel! Nie zechcesz mnie po dobrej woli, to cię i tak wezmę, choćby tu wszystka hołota z zaścianków, choćby sami Radziwiłłowie, sam nawet król i wszyscy dyabli rogami przystępu bronili, a choćbym miał duszę czartu zaprzedać...

— Nie wzywajże złych duchów, bo cię usłyszą!— zakrzyknęła Oleńka, wyciągając przed siebie ręce.

— Czego ode mnie chcesz?
— Bądź uczciwy!...


— Bądź zdrowa! — rzekł nagle Kmicic.
— Jedź wędkar i niech cię Bóg natchnie inaczej! — odrzekła Oleńka.
— Pojadę! Gorzki mi był twój napitek, gorzki chleb! Żółcią i octem mnie tu napojono!
— A waćpan to myślisz, żeś mnie słodyczą napoił? — odrzekła głosem, w którym drgały tzy.
— Bądź zdrowa!
— Bądź zdrow...!

Kmicic postąpił ku drzwiom, nagle zwrócił się, i poskoczywszy ku niej, chwycił ją za obie ręce i rzekł:
— Na rany Chrystusa! czy ty chcesz, żebym trupem w drodze z konia spadł?
Wówczas Oleńka wybuchnęła płaczem; on objął ją i trzymał w ramionach całą dygocącą, powtarzając przez zacisnięte zęby:
— Bijże mnie, kto w Boga wierzy! bij, nie żałuj!
Nakojec wybuchnął:
— Nie płacz, Oleńko! Dla Boga, nie płacz! Com ci winien! Uczynię wszystko, co chesz. Tamtych wyprawię... w Upicie załagodzę... będę żył inaczej... bo cię miłuję... Dla Boga! serce mi się rozpęknie... uczynię wszystko... jeno nie płacz... i miłuj mnie jeszcze...
Tak on ją uspokajał i pieścił; ona zaś, wypłakawszy się, rzekła:
— Jedź już waćpan. Bóg zgodę między nami uczyny Ja nie mam urazy, jeno ból w sercu...
Księżyc wytoczył się już wysoko nad białe pola, gdy pan Andrzej ruszył z powrotem do Lubicza, a za nim pocłapali żołnierze, rozciągająwszy się wężem po szerokim gościńcu. Jechali przez Wołmontowice, ale krótką drogą, bo mróz popętał bagna i można było po nich przejeżdżać bezpiecznie.
Wachmistrz Soroka przybliżył się do pana Andrzeja.
— Panię rotmistrzu, — spytał — a gdzie nam stanąć w Lubiczu?
— Ruszaj precz! — odpowiedział Kmiec.
I jechał na przodzie, nic do nikogo nie mówiąc. W sercu nurtował mu żal, chwilami gniew, ale przede wszystkim złość na samego siebie. Pierwszato była noc w jego życiu, w której czynił rachunek sumienia
i rachunek ten ciężał mu gorzej od najcięższego pancerza. Oto przyjechał w te strony z nadszarpiętą reputacją i coż uczynił, aby ją poprawić? Pierwszego dnia pozwolił na strzelanie i rozpustę w Lubiczu i zmysł, że do niej nie należał, bo należał; potem pozwałał każdego dnia. Dalej: żołnierze skrzywdzili mieszkańców, a on tej krzywdy dopełnił. Gorzej! rzucił się na przyzwydum poniewieskie, pobił ludzi, puścił gołych oficerów na śniegi. Uczynią mu proces — przeegra. Skażę go na utratę majątku, czci, może i gardła. A przecież nie będzie mógł, jak dawniej, zebrawszy partą zbrojnej hołoty, drwić sobie z praw, bo zamierza się ożenić, osiąść w Wodoktach, służyć nie na własną rękę, ale w kompucie; tam prawo go znajdzie i dosięgnie. Prócz tego, choćby mu uszło bezkarnie, jest coś szpetnego w tych postępkach, jest coś niegodnego rycerza. Może swawola da się załagodzić, ale pamiętać jej zostanie i w sercach ludzkich i w jego własnym sumieniu i w sercu Oleński...

Tu, gdy wspomniał, że ona jednak nie odepchnęła go jeszcze, że wyjeżdżając, czytał w jej oczach przebaczenie, wydała mu się tak dobrą, jak anieli niebiescy. I oty! brała go ochota wrócić nie jutro, ale zaraz wrócić, co koń wyskoczy, i paść jej do nóg, i prosić o zapomnienie, i całować te słodkie oczy, które łzami zrosły dzisiają twarz jego.

Chciało mu się samemu ryknąć płaczem i czuł, że tak miłuje tę dziewczynę, jak nigdy w życiu nikogo nie miłował. „Na Pannę Najświętszą! — myślał w duszy — uczynię, co ona zechce; opatrzę kompanów suto i wyprawię na kraj świata, bo prawda jest, że oni mnie do złego podniecają."
Tu przyszło mu do głowy, że przybywszy do Lubica, zastanie ich najpewniej pijanych, albo z dziewcękami i chwyciła go taka złość, że mu się chciało szabłą uderzyć na kogokolwiek, choćby na tych żołnierz, których prowadził i siec ich bez miłosierdzia.
— Dam ja im! — mruczał, targając wąs — jeszcze mnie takim nie widzieli, jak zobaczę...
Tu zaczął konia z szaleństwa ostrogami bóść i za trenzłę targać i szarpać, aż rumak rozhukał się, a Soroka widząc to, mruczał do żołnierzy:
— Rotmistrz się zbiesił. Nie daj Bóg wpasać mu pod rękę...
Jakoż pan Andrzej biesił się rzeczywiście. Naokoło był wielki spokój. Książęc świecił pogodnie, niebo iskryło się tysiącami gwiazd, najmniejszy wiatr nie poruszał gałęzi na drzewach — jeno w sercu rycerza wrzała burza. Droga do Lubica wydała mu się tak długa, jak nigdy. Jakaś nieznana dotąd trwoga zaczęła nań nadlatywać z mroku, z głębin leśnych i z pól zalanych zielonawem światłem księżyca. Wreszcie zmęczenie ogarnęło pana Andrzeja, gdyż zresztą, co prawda, całą zeszłą noc spędził w Upicie, na pijatyce i hulance. Ale chciał trud trudem zabić, otrząsnąć się z niepokoju szybką jazdą, zwrócił się więc do żołnierzy i za-komenderował:
— W konie!...
Pomknął, jak strzała, a za nim cały oddział. I w tych lasach i na pustych polach lecieli, jak ów orszak piekielny rycerzy krzyżackich, o których lud powiada na Żmudzi, iż czasami, wśród jasnych nocy miesięcznych, zjawiają się i pędzą przez powietrze, zwiastując wojnę i klęski nadzwyczajne. Tętent leciał
przed nimi i za nimi; z koni zaczęła para buchać i dopiero, gdy śniegiem pokryte dachy lubickie ukazały się na zawrócie, zwolnili biegu.

Kołowrot zastali otwarty szeroko. Kmicic zdziwiło, że gdy podwórzek zarożł się ludźmi i konmi, nikt nie wyszedł zobaczyć, ani spytać, co są za jedni. Spodziewał się zastać okna błyszczące od światła, usłyszeć głos uhiłkowego czekanika, skrzypków, albo wesołe okrzyki biesiady; tymczasem w dwóch tylko oknach izby jadalnej migotało niepewne światko, zresztą było ciemno, cicho, głucho. Wachmistrz Soroka zeskoczył pierwszy z konia, by potrzymać strzemien rotmistrzowi.

— Iść spać! — rzekł Kmicic — kto się zmieści w czeladnej, niech śpi w czeladnej, a inni w stajniach. Konie wstawić do obór, stodół i przynieść im siana z odryny.

— Słucham! — odpowiedział wachmistrz.

Kmicic zlał z konia. Drzwi od sieni otwarte były na rozcież, a sień wyżebiona.


— Hej tam! powtórzył głośniej.

Milczenie.

— Popili się! — mruknął pan Andrzej.

I ogarnęła go taka wściekłość, że począł zębami zgrzytać. Jadąc, wstrząsał się z gniewu na myśl, że zastanie pijatykę i rozpuszę, teraz ta cisza drażniła go jeszcze bardziej.

Wszedł do izby jadalnej. Na ogromnym stole palił się kaganek łożowy czerwonom, dymiącym świątłem. Pęd powietrza, które wpadło z sieni, chwiał płomieniem, tak, iż przez chwilę nie mógł pan Andrzej...
nic dojrzeć. Dopiero, gdy migotanie uspokoiło się, dojrzał szereg postaci, leżących równo pod ścianą.

— Popili się na umor, czy co? — mruknął niezrównoważony.

Następnie zbliżył się niecierpliwie do pierwszej postaci z brzegu. Twarzy jej nie mógł widzieć, bo była pogrążona w cieniu, ale po białym skórzanym pasie i po białej pochwie na czekanik poznał pana Uhlika i począł go trącać bez ceremonii nogą.

— Wstawajcie tacy synowie! wstawajcie!...

Ale pan Uhlik leżał nieruchomo, z rękoma opadłymi bezwładnie po bokach ciała, a za nim leżeli inni; żaden nie ziewnął, nie drgnął, nie przebudził się, nie mruknął. W tejże chwili pan Kmicic spochrzegł, że wszyscy leżą na wznak, w jednakowej pozycji i jakieś straszne przeczucie chwyciło go za serce.

Poskoczywszy do stołu, porwał drżącą ręką kaganek i przysunął go ku twarzom leżących.

Włosy powstały mu na głowie, tak straszny widok uderzył jego oczy... Uhlika wyłącznie mógł poznalać po białym pasie, bo twarz i głowa przedstawiały jedną bezkształtną masę, krwawą, ohydną, bez oczu, nosa i ust — tylko wąsy ogromne sterczały z tej okropnej kałuży. Pan Kmicic świecił dalej... Drugi z kolei leżał Zenel z wyszczerzonemi zębami i wyszłymi na wierzch oczyma, w których zeskliło się przed śmiercią przerażenie. Trzeci z kolei Ranicki, oczy miał przymknięte, a po całej twarzy cętki białe, krwawe i ciemne. Pan Kmicic świecił dalej... Czwarty leżał pan Kokosiński, najmilszy Kmicicowi ze wszystkich towarzyszów, bo dwany sąsiad bliski. Ten zdawał się spać spokojnie, jeno z boku, w szyi, widać mu było dużą ranę, zape-
wne sztychem zadaną. Piąty z kolei leżał olbrzymi pan Kulwiec-Hippocentaurus z żupanem podartym na pierścach i posiekaną gęstym razami twarzą. Pan Kmieczyk przybliżał kaganek do każdej twarzy, a gdy wreszcie szóstemu, Rekućowi, w oczy zaświecił, zdało mu się, że powieki nieszczęsnego zadrgały trochę od blasku.

Więc postawił na ziemi kaganek i zaczął wstrząsać zlekką rannym.

— Rekuć, Rekuć! — wołał — to ja, Kmieczyk!...

Za powiekami poczęła drgać i twarz, oczy i usta otwierały się i zamykały naprzemiennie.

— To ja! — rzekł Kmieczyk.

Oczy Rekucia otwarły się na chwilę zupełnie — poznali twarz przyjaciela i jęknął znieczuluł:

— Jędrusi!... ksiedza!...

— Kto was pobił?! — krzyczał Kmieczyk, chwytając się za włosy.

— Bu-try-my... — ozwał się głos tak cichy, że ledwie dosłyszał.

Poczem Rekuć wyprzężył się, zeszytuniał, otwarte oczy stanęły mu w słup — i skonał.

Kmieczyk poszedł w milczeniu do stołu, postawił na nim kaganek — sam siadł na krześle i począł rękoma wodzić po twarzy, jak człowiek, który ze snu się zbudziwszy, sam nie wie, czy już się rozbudził, czy widzi jeszcze senne obrazy przed oczyma.

Następnie znów spojrzał na leżące w mroku ciała. Zimny pot wystąpił mu na czoło, włosy zjeżyły się na głowie i nagle krzyknął tak strasznie, że aż szyby zadrgały w oknach:

— Bywaj kto żyw! bywaj!...

Żołnierze, którzy roztańcowali się w czeladnej,
posłyszeli ów krzyk i pędem wpadli do izby. Kmiec ukazał im ręką na leżące pod ścianą trupy.
— Pobici! pobici! — powtarzał chraptliwym głosem.

Oni rzucili się patrzeć; niektórzy nadbiegli z łęczywem i poczęli w oczy świecić nieboszczykom. Po pierwszej chwili zdumienia wszczął się gwar i zamieszanie. Przylecieli i ci, którzy już się byli pokładli w stajniach i oborach. Dom cały zajaśniał światłem, zarośał się ludźmi, a wśród tego zamętu, nawoływań, pytań, jedni tylko pobici leżeli pod ścianą równo i cicho, obojętni na wszystko i — przeciw swej naturze — spokojni. Dusze z nich wyszły, a ciało nie mogły rozbudzić ani surmy do bitwy, ani brzęk kieliachów do uczty.

Tymczasem w gwarze żołnierskim coraz bardziej przemagały okrzyki groźby i wściekłości. Kmiec, który dotąd był jakby nieprzytomny, zerwał się nagle i za-krzyknął:
— Na koń!...

Ruszyło się, co żyło, ku drzwiom. Nie upłynęło i pół godziny, już stu przeszło jeźdźców leciało na złamanie karku po szerokiej, śnieżnej drodze, a na ich czele leciał pan Andrzej, jakby go zły duch opętał, bez czapki, z gołą szablą w ręku. W ciszy nocnej rozlegały się dzikie okrzyki:
— Bij! morduj!...

Księżyc dosięgnął właśnie najwyższej wysokości w swej drodze niebieskiej, gdy nagle blask jego począł się mieszać i zlewać z różowem światłem, wychodzącym jakby zpod ziemi; stopniowo niebo czerwieniało coraz bardziej, rzekł byś od zorzy wstającej, aż wreszcie krwawa czerwona luna oblała całą okolicę. Jedno mo-
rze ognia szalało nad olbrzymim zaściankiem Butrymów, a dziki żołnierz Kmiecowy, wśród dymu, pożogi i iskier buchających słupami do góry, mordował w pień przerażoną i zleşłą z trwogi ludność...

Zerwali się ze snu mieszkańcy pobliskich zaścianków. Większe i mniejsze gromady Gościewiczów i Dyminych, Stakjanów, Gasztotów i Domaszewiczów, zbierały się po drogach, przed domami i poglądarkając w stronę pożaru, podawały sobie z ust do ust trwożliwe więści: „Chyba nieprzyjaciel wtargnął i pali Butrymów... To niezwyczajny pożar!“

Huk rusznic, dochodzący od czasu do czasu z od-dali, potwierdzał te przypuszczenia.
— Pójdźmy na pomoc! — wołali śmieśli — nie dajmy braciom ginąć...

A gdy tak mówili starsi, już młodzi, którzy dla omłotów zimowych nie poszli do Rosień, siadali na końcu. W Krakinowie i w Upicie poczęto bić w dzwony po kościołach.

W Wodoktach ciche pukanie do drzwi zbudziło pannę Aleksandrę.
— Oleńko! wstawaj! — wołała panna Franciszka Kulwiećówna.
— Niech ciotunia wejdzie! Co tam się dzieje?
— Wołmontowicze się palą!
— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!
— Strzały aż tu słychać, tam bitwa! Boże zmie-łują się nad nami!

Oleńka krzyknęła strasznie, poczem wyskoczyła z łóżka i poczęła śpiesznie szaty narzucąć. Ciało jej dygotało, jak we febrze. Ona jedna domyślała się odrazu, coto za nieprzyjaciel napadł nieszczęsnym Butrymów.
Po chwili wpadły rozbudzone niewiasty z całego domu z płaczem i szlochaniem. Oleńka rzuciła się na kolana przed obrazem, one poszły za jej przykładem i wszystkie poczęły odmawiać głośno litanią za konających.

Były zaledwie w połowie, gdy gwałtowne kołatanie wstrząsnęło drzwiami od sieni. Niewiasty zerwały się na równe nogi, okrzyk trwogi wyrwał się im z piersi.

— Nie otwierać! nie otwierać!
Kołatanie ozwało się z podwójną siłą, rzekłbyś: drzwi wyskoką z zawias. Tymczasem, między zgrumadzone niewiasty, wpadł pacholik Kostek.

— Panienko! — wołał — jakiś człek stuka, otwierać, czy nie?
— Sami jest?
— Sam.
— Idź, otwórz!
Pachołek skoczył, ona zaś chwyciwysz świecę, przyszła do izby jadalnej, za nią panna Franciszka i wszystkie prządki.

Zaledwie zdołała postawić świecę na stole, gdy w sieni dał się słyszeć szczęk żelaznej zapory, skrzyпienie otwieranych drzwi i przed oczyma niewiast ukazał się pan Kmicic, straszny, czarny od dymu, krwawy, zadyszany i z obłąkaniem w oczach.

— Koń mi pod lasem padł! — krzyknął — ściągaj mnie!...
Panna Aleksandra utknęła weń oczy:
— Waś spaliłeś Wołmontowicze?
— Ja!... ja!...
Chciał coś dalej mówić, gdy wtem od strony drogi
i lasu doszedł odgłos okrzyków i tętent koni, który zbliżał się z nadzwyczajną szybkością.
— Dyabli po mą duszę!... dobrze! — krzyknął jakby w gorączce Kmicic.
Pańsa Aleksandra w tejże chwili zwróciła się do prządek:
— Jeśli będą pytać, powiedzieć, iż niemasz tu nikogo, a teraz do czeladnej i ze światłem tu przyjść!...
Poczem do Kmicica:
— Waść tam! — rzekła ukazując na przyległą izbę.
I prawie przemocą wepchnąwszy go przez otwarte drzwi, zamknęła je natychmiast.

Tymczasem zbrojni ludzie zapełnili podwórzac i w mgnieniu oka Butrymi, Gośćciewicze, Domaszewicze i inni wpadli do domu. Ujrzałwszy pannę, wstrzymali się w izbie jadalnej — ona zaś stojąc ze świecą w ręku, zamykała sobą drogę do dalszych drzwi.
— Ludzie! co się dzieje? czego tu chcecie? — pytała, nie mrugając oczu przed groźnymi spojrzeniami i złowrogim błyskiem gołęcych szabel.
— Kmicic spalił Wołmontowicze! — krzyknęła chórem szlachta. — Pomordował mężów, niewiasty, dzieci! Kmicic to uczynił!...
— My ludzi jego wybili! — rozległ się głos Butryma Józwy — a teraz jego głowy chcemy!...
— Jego głowy! krwi! Rozsiekać zbojęć!
— Gońcie go! — zawołała panna. — Czegoż tu stoicie? gońcie!
— Zali nie tu się schronił? My konia pod lasem znaleźli...
— Nie tu! Dom był zawarty! Szukajcie w stajniach i oborach.
— W las uszedł! — zawołał jakiś szlachcic. — Hajże, panowie bracia!
— Milczeć! — huknął potężnym głosem Józefa Butrym. — Panno! — rzekł. — Nie ukrywaj go!... To czek przeklęty!

Oleńka podniosła obie ręce nad głową:
— Przeklinam go wraz z wami!...
— Amen! — krzyknęła szlachta. — Do zabudowań i w las! Odnajdziego! Hajże na zbójca!
— Hajże! Hajże!

Szczerb szabel i stapanie rozległo się nanowe. Szlachta wypadła przed ganek i siadła coprędzej na kon. Część jej szukała jeszcze czas jakiś w zabudowaniach, w stajniach, oborach, w odrynne — potem głosy poczęły się oddalać w stronę lasu.

Panna Aleksandra nadsłuchiwała, dopóki zupełnie nie znikły, poczemu zapukała gorączkowo do drzwi komnaty, w której ukryła pana Andrzeja:
— Niema już nikogo! wychodź maść!
Pan Kmicic wytoczył się z izby, jak pijany.
— Oleńka! — zaczął.

Ona wstrząsnęło rozpuszczonem włosami, które pokrywały niby płaszczem jej plecy.
— Nie chcę cię widzieć, znać! Bierz konia, i uchodź ztąd!...
— Oleńka! — jęknął Kmicic, wyciągając ręce.
— Krew na wac’pana ręku, jako na Kainowem! — krzyknęła, odskakując jakby na widok węża. — Precz, na wieki!...
ROZDZIAŁ VI.

do Chowańskiego zbiegnie i nieprzyjaciciel naprawdę prowadzi, ale były to, co najmniej, obawy przedwczesne.

Tymczasem niedobitki Butrymów pociągnęły do Wodoktów i stanęły tam jakby obozem. Dom pełen był niewiast i dzieci. Co się nie zmieściło, poszło do Mitrunów, które panna Aleksandra całe pogorzeliom oddała. Prócz tego około stu zbrojnych ludzi, którzy się zmieniali kolejno, stanęło w Wodoktach do obrony; spodziewano się bowiem, że pan Kmicic nie da za wygraną i lada dzień o pannę zbrojno może się pokusić. Przysłały i znaczniejsze w okolicy domy, jako Schelingowie, Sołtoshuby i inni, kozaczków nadwornych i hajduków. Wodokty wyglądały jakby miasto, spodziewające się oblężenia. A zaś pomiędzy zbrojnymi ludźmi, pomiędzy szlachtą, między gromadami niewiast, chodziła załobna panna Aleksandra, blada, bolesna, słuchając ludzkiego płaczu i ludzkich przekleństw na pana Kmicica, które jakby mieczami przeszywały jej serce, bo przecież ona była pośrednią przy- czyną wszelkich nieszczęść. Dla niejto przybył w te okolice ów mąż szalony, który zburzył spokój i krwawą pamięć po sobie zostawił, prawa podeptał, ludzi pobit, wsie jak bisurmanin nawiedził ogniem i mieczem. Aż dziw było, że jeden człowiek mógł tyle złego w tak krótkim przeciagu czasu uczynić i to człowiek ani zły zupełnie, ani zupełnie zepsuty. Jeśli kto, to panna Aleksandra, która go najbliżej poznala, wiedziała o tem najlepiej. Była cała przepasa śród zmyśnym panem Kmicicem a jego uczynkami. Ale właśnie dlatego jakiś ból sprawiała pannie Aleksandrze myśl, że ten człowiek, którego pokochała całym pierwszym impetem młodego serca, mógł być inny; że miał w sobie takie przymioty,
które mogły go uczynić wzorem rycerza, kawalera, sąsiada; że mógł zyskać zamiast wzgardy, podziw i miłość ludzką — zamiast przekleństw, błogosławieństwa.

Więc chwilami zdawało się pannie, że to jakieś nieszczęście, jakaś siła wielka a nieczysta popchnęła go do tych wszystkich gwałtów, które spełnił, a wówczas chytał ją żal prawdziwie niezmierzony nad tym nieszczęsnikiem i niewygasła miłość nurtowała nanowo w sercu, podsycana świeżem wspomnieniem jego postaci rycerskiej, słów, zakłęć, kochania.

Tymczasem sto protestów oblatowano przeciw niemu w grodzie, sto procesów mu groziło, a pan starosta Hlebowicz wysłał pachołków dla chwytania przestępcy. Prawo musiało go potępić.

Jednakże od wyroków do ich wykonania było jeszcze daleko, bo bezład wzrastał coraz bardziej w Rzeczypospolitej. Wojna straszliwa zawisła nad krajem i zbliżała się krwawemi kroki ku Żmudzi. Potężny Radziwiłł birzański, który sam jeden mógł prawo zbrojno poprzeć, zbyt był sprawami publicznemi zabjęty, a jeszcze bardziej pogrążony w wielkich zamyślach, tyczących się domu własnego, który chciał wynieść nad wszystkie inne w kraju, choćby kosztem dobra publicznego. Inni też magnaci więcej o sobie niż o Rzeczypospolitej myśleli. Pękąły już bowiem od czasów wojny kozackiej wszystkie spojenia w potężnej budo wie tej Rzeczypospolitej.

Kraj ludny, bogaty, pełen dzielnego rycerstwa, stawał się łupem postronnym, a natomiast samowola i swawola podnosiły coraz bardziej głowę i mogły urągać prawu, tyle siły czuły za sobą.
Uciśnieni przeciw uciskającym najlepszą i niemal jedyną we własneysznych szablach mogli znaleźć obronę; więc też i Lauda cała, protestując przeciw Kmicicowi w grodach, długo jeszcze nie zsiadła z konia, gotowa przemoc przemocą odeprzeć.

Ale upłynął miesiąc, a o Kmicicu nie było wieści. Ludzie gdy lżej oddychać. Możnajsza szlachta odwołała zbrojną czeladź, którą na straż do Wodoktów była wysłała. Drobniejszej braci tęskno było do robót i wczesień po zaściankach, więc także poczęła się zwolna rozjeżdżać. A gdy wojenne humory uspokajały się w miarę jak czas płynął, coraz większa przychodziła owej ubogiej szlachcie ochota prawem nieobecnego nękać i w trybunałach swoich krzywd dochodzić. Bo choć samego Kmicica nie mogły wyroki dosięgnąć, pozostał przecie Lubicz, wielka i piękna majętność, gotowa za poniesione szkody nagroda i zapłata. Ochotę do procesów podtrzymywała przytem w laudańskiej braci bardzo gorliwie panna Aleksandra. Dwakroć zjeżdżali się do niej na narady starsi laudańscy, a ona w owych naradach nietylko brała udział, ale przewodniczyła im, zadziwiając wszystkich zgoła nie niewieścim umysłem i sądem tak trafnym, iż mógł jej go niejeden palestrant pozazdrościć. Chcieli tedy starsi laudańscy Lubicz zbrojno zająć i Butrymom go oddać, ale „panienka“ odradziła stanowczo.

— Nie płaćcie gwałtem za gwałt, — mówiła — bo i wasza sprawa zła będzie; niechaj cała niewinność stanie po waszej stronie. On, człowiek moźny i skoli-gacony, znajdzie i w trybunałach poplecników, a gdy najmniejszy pozór dacie, możecie nową krzywdę ponieść. Niechże wasza racja będzie tak jasna, aby każdy
sąd, choćby z braci jego złożony, nie mógł inaczej, jeno na waszę stronę przysądzić. Mówcie Butrymom, by ani statków, ani bydła nie braли i całkiem Lubicz w spokoju zostawili. Co im potrzeba, to im z Mitrunów dam, gdzie więcej jest wszelkiego dobra, niż kiedykolwiek było w Wołmontowiczach. A jeśliby pan Kmicic napewną się tu zjawił, niechże i jego zostawią w spokoju, póki wyroków nie będzie, ani niech na jego zdrowie nie godzą. Pominjcie, że póty tylko, póki on żyw, macie na kim krzywd waszych poszukiwać.

Tak mówiła mądra panna ze statecznym umysłem, a oni sławili jej mądrość, nie zważając, że odwłoka może wyjść także i na korzyść pana Andrzeja, a przynajmniej, że mu życie zabezpiecza. Może też i chciała Oleńka to życie niefortunne przed nagłą przygodą zabezpieczyć? Ale szlachta usłuchała jej, bo przywykła z dawnymi, przedawnymi czasów, wszystko, co wychodzi z ust Biliewiczowskich za ewangelią uważać — i Lubicz pozostał nietknięty — i pan Andrzej, gdyby się był zjawił, mógłby być do czasu spokojnie w Lubiczu osiąść.

Lecz on się nie zjawił. Natomiast w półtora miesiąca później przyszedł do panienki posłaniec z listem, jakiś obcy człowiek, nikomu nieznany. List był od Kmicica, pisany w następujące słowa:

„Sercem ukochana, najdroższa, nieodzadowana Oleńko! Wszelkiemu to jest przyrodzone stworzeniu, a zwłaszcza człowiekowi, choćby i najliczszemu, że za krzywdy swoje mścić się musi, a któryby mu co złego uczynił, tedy on mu tem samem rad płaci. A że ja wyciąłem tę hardą szlachtę, to Bóg widzi, iż nie stało się to z żadnego okrucieństwa, ale dlatego, że towa-
rzyszów moich — wbrew prawom boskim i ludzkim — bez uwagi na ich młodość i wysokie urodzenie, tak nielitościwą śmiercią pomordowali, jakaby ich nigdzie, nawet u Kozaków lub Tatarów, spotkać nie mogła. Nie będę zaprzeczał, że i gniew mnie prawie nadludzki opanował, ale ktoś będzie się dziwił gniewowi, który w krwi przyjacielskiej rozlanej początek bierze? Duchy to ś. p. Kokosińskiego, Ranickiego, Uhlika, Rekucia, Kulwieca i Zenda, w kwietniu wieku i sławy niewinnie posięzionych, uzbioriły ramię moje, wtedy właśnie, gdym — świadczę się Bogiem! — o zgodzie jeno i przyjaźni ze wszystką szlachtą laudańską zamyślał, chcąc żywot mój całe odmienić, wedle słodkich rad twoich. Słuchając skarg przeciw mnie, nie odrzucaj i mojej obrony i osąd sprawiedliwie. Źał mi teraz tych ludzi w zaścianku, bo może i niewinnym się dostało, ale żołnierz, mszcząc się krwi bratniej, niewinnych od winnych odróżnić nie umie i nikogo nie respectuje. Bogdajby się to nie stało, co mi w twoich oczach zaszkodzić mogło. Za cudze grzechy i winy, za gniew sprawiedliwy, najcięższa dla mnie pokuta, bo straciwszy ciebie, w desperacy wypłynię w desperację się budzę, niemogąc ciebie, ani kochania zapomnieć. Niechże mnie nieszczęsnego trybunały osądzą, niech sejmy wyroki potwierdzą, niech włożą mnie do trąby, do infamii, niech ziemia rozstąpi się mi pod nogami, wszystko zniosę, wszystko przecierpię, jeno ty, na Boga! nie wyrzucaj mnie z serca. Uczynię wszystko, co zechcę, oddam Lubicz, oddam po ewakuacy nieprzyjaścielskiej i mająności orszańskie; mam ruble zdobyczne w lasach zakopane, i te niech biorą, byłeś mi rzekła, że mi wiary dotrzymasz, jako ci dzia nieboszczyk
z tamtego świata nakazuje. Ocaliłaś mi życie, ocalże
i duszę moję, daj krzywdy nagrodzić, pozwól żywot
na lepsze odmienić, bo już to widzę, że gdy ty mnie
opuścisz, to mnie Pan Bóg opuści i desperacya po-
pchnie mnie do gorszych jeszcze uczynków..."

Ile tam głosów litośnych podniosło się w duszy
Oleńki na obronę pana Andrzeja, który zgodnie, który
wypisać potrafi! Miłość, jako nasionko leśne z wia-
trem szybko leci, ale gdy drzewem w sercu wyrosnie,
to chyba razem z sercem wyrwać ją można. Billewe-
czówna była z tych, co sercem uczciwem mocno ko-
chają, więc łzami oblała ten list Kmiciów. Ale nie
mogła przecież za pierwszym słowem o wszystkim
zapomnieć, wszystkiego przebaczyć. Skrucha Kmica
była zapewne szczerą, ale dusza pozostała dziką i na-
tura niepohamowana pewno nie zmieniła się tak przez
owe wypadki, aby o przyszłości można było myśleć
bez trwogi. Nie słów, ale uczynków trzeba było na
przyszłość ze strony pana Andrzeja. Zresztą, jakżeto
mogła powiedzieć człowiekowi, który okrwał całą
okolicę, którego imienia nikt po obu brzegach Laudy
nie wymawiał bez przekleństwa: „przybywaj, za trupy,
pożogę, krew i łzy ludzkie, oddaję ci swą miłość i swoją
rękę”.

Więc odpisała mu inaczej:

„Jakom waćpanu rzekła, że nie chcę cię znać
i widzieć, tak wytrzymam w tem, choćby mi się serce
miało rozedrzeć. Krzywd takich, jakie tu waćpan lu-
dziom wyrządził, nie płaci się ni majętnością, ni
pieniędzmi, bo umarłych wskrzesić nie można. Nie
majętność też waćpan utraciłeś, ale sławę. Niechże ci
ta szlachta, którąś popalił i pomordował, przebaczy,
to ci i ja przebaczę; niech ona cię przyjmie, to i ja cię przyjmę; niech ona pierwsza za tobą się wstawi, tedy jej orędownictwa wysłucham. A jako się to n nigdy stać nie może, tak i wapanic szukaj gdzieindziej szczęścia, najpierw zaś boskiego, nie ludzkiego przebaczenia, bo ci boskie potrzebniejsze...

Panna Aleksandra polała łzami każde słowo listu, potem zapieczętowała go Billewiczowskim sygnetem i sama wyniosła go posłańcowi.

— Z lasu, panoczko.
— A gdzie twój pan?
— Tego mi niewolno powiedzieć... Ale on zjad daleko; ja pięć dni jechał i szkape zmordował.
— Masz talara! — rzekła Oleńka. — A twój pan nie w chorobie?
— Zdrowy on junak, jak tur.
— A nie w głodzie? nie w ubóstwie?
— On bogaty pan.
— Idź z Bogiem.
— Kłaniać do nóg.
— Powiedz panu... czekaj... powiedz panu...
niedergo Bóg wspomaga...

Chłop odszedł — i znowu zaczęły płynąć dnie, tygodnie bez wieści o Kmiciu; przychodziły zato publiczne, jedna od drugiej nieszczęśliwsze. Wojska moskiewskie Chowańskiego coraz szerzej zalewały Rzeczpospolitą. Nie licząc ziem ukraińskich, w samem Wielkim Księstwie województwa połočkie, smoleńskie, witebskie, mścisławskie, mińskie i nowogródzkie były zajęte; jeno część wileńskiego, brzesko-litewskie, trockie
i starostwo żmudzkie oddychały jeszcze wolną piersią, ale i te z dnia na dzień spodziewały się gości.

Na ostatni widać szczębel niemocy zesła Rzeczpospolita, gdy nie mogła dać oporu tym właśnie siłom, które lekceważono aż dotąd i z którymi zawsze rozprawiano się zwycięsko. Prawda, że siły te wspomagał nieugaszony i odradzający się ciągle bunt Chmielnickiego, prawdziwa hydra stopowa; pomimo jednak buntu, pomimo wyczerpania sił w poprzednich wojnach, i statyści i wojownicy zaręczali, że samo tylko Wielkie Księstwo mogło i było w stanie nietykio napór odeprzeć, ale jeszcze chorągwie swe zwycięsko poza własne granice przenieść. Na nieszczęście, niezgoda wewnętrzna stawała owej możliwości na przeszkode, paralizując usiłowania tych nawet obywateli, którzy życie i mienie w ofierze nieść byli gotowi.

Tymczasem w ziemniach jeszcze niezajętych chroniły się tysiące zbiegów, tak że szlachty, jak ludu prostego. Miasta, miasteczka i wsie na Żmudzi pełne były ludzi przywiedzionych klęskami wojny do nędy i rozpaczy. Miejscowa ludność nie mogła ani pomieścić wszystkich, ani dać im dostatecznego pożywienia — więc nieraz marli z głodu, mianowicie ludzie niskiego stanu; nieraz przemocą brali to, czego im odmawiano, ztąd zamieszki, bitwy i rozbój stawały się coraz częstsze.

Zima była nadzwyczajna w swej surowości. Przeszedł wreszcie kwiecień, a śniegi leżały grubo, nietykio w lasach, ale i na polach. Gdy zeszłoroczne zapasy wyczerpały się, a nowych jeszcze nie było, począł graować głód, brat wojny. I rozpościerał swe panowanie coraz szerzej. Wyjechawszy z domu nietrudno było
spotkać trupy ludzkie, leżące po polach, przy drogach, skosiniałe, ogryzione przez wilki, które rozmnóżyszy się nadzwyczajnie, całemi stadami podchodziły pod wieś i zaścianki. Wycie ich mieszało się z wołaniem ludzkiem o litość; po lasach bowiem, po polach i tuż koło wsi licznych półoskiwały nocami ogniska, przy których nędzarze rozgrzewali przemarzłe członki, a gdy kto przejeżdżał, tedy biegli za nim, prosząc o grosz, o chleb, o miłosierdzie, jęcząc, przeklinając i grożąc zarazem. Strach zabobonny zdążył umysły ludzkie. Wielu mówiło, że te wojny tak niepomyślne i te nieszczęścia dotąd niebywałe, do imienia królewskiego są przywiązane. Tłumaczone chętnie, że litery: J. C. R. wybite na pieniążkach, znaczą nietykalno Joannes Casimirus Rex, ale i Initium Calamitatis Regni. A jeśli w prowincjach, jeszcze przez wojnę niezajętych, powstawał taki przestrach i bezład, łatwo się domyśleć, co działało się w tych, które już deptała ognista stopa wojny. Cała Rzeczpospolita była rozprężona, targana przez partye, chora i w gorączce, jak człowiek przed śmiercią. Przepowiadano także nowe wojny zewnętrzne i domowe. Jakoż powodów nie brakło. Różne potężne w Rzeczypospolitej domy, ogarnięte wichrem niezgody, pogłębiały na się, jakby nieprzyjacielskie państwa, a za niemi całe ziemie i powiaty tworzyły przeciwowne obozy. Tak właśnie było na Litwie, gdzie waś śroga między Januszem Radziwiłłem, hetmanem wielkim, a Gosiewskim, hetmanem polnym, a zarazem podskarbiem W. Ks. L., prawie w otwartą zmieniła się wojnę. Po stronie podskarbiego stanęli możni Sapiehowie, którym oddawna była solą w oku potęga Radziwiłłowskiego domu. Tych stronnicy ciężkiem zaiste w. hetmana
obarczali zarzutami: iż pragnąc tylko sławy dla siebie, wojsko pod Szkłowem wytracił i kraj na łup wydał; że więcej, niż szczęścia Rzeczypospolitej, pożądał dla swego domu prawa zasiadania w sejmach cesarstwa niemieckiego; że nawet o udzielnej koronie zamyślał, że katolików prześladował...

I przychodziło nieraz już do bitew między partyzantami stron obu, niby bez wiedzy patronów, patronowie zaś stali na się skargi do Warszawy, waśń ich odbijała się i na sejmach — na miejscu zaś rozpręgała swawolę i zapewniała bezkarność, bo taki Kmicic pewny mógł być opieki jednego z tych potentatów, skoro by po jego stronie przeciwi drugiemu stanął.

A tymczasem nieprzyjaciel szedł naprzód, gdzie nieiegdzie się tylko o zamki odbijając, zresztą swobodnie i bez oporu.

W takich okolicznościach wszyscy w laudańskiej stronie musieli żyć w czujności i pod bronią, zwłaszcza, że hetmanów nie było w pobliżu, obaj bowiem uciekali się z wojskami nieprzyjacielskimi, niewiele wprawdzie wskórąć mogące, ale przynajmniej podjazdami go szarpiąc i przystępując do wolnych jeszcze województw tamujących. Osobno i Paweł Sapieha odpór dawał i sławę zyskiwał. Janusz Radziwiłł, wojownik wsławiony, którego imię samo aż do Szkłowskiej przeegranej groźne było nieprzyjacielowi, odniósł nawet kilka znacznieszych korzyści. Gosiewski, to bił się, to układami próbował napór wstrzymywać; obaj wodzowie ściągali wojska z leżą zimowych i z kwąd mogli, wiedząc, że z wiosną wojna rozgorzeje nanowo. Ale wojsk było mało, skarb pusty, a pospolite ruszenie z województw już zajętych ściągać się nie mogło, bo je nieprzyjaciel
hamował. „Trzeba było o tem przed Szkłowską po-
trzebą pomyśleć — mówili Gosiewszczycy — teraz za-
późno”. I istotnie było zapóźn. Koronne wojska przyjść
z pomocą nie mogły, bo wszystkie były na Ukrainie
i w ciężkiej pracy przeciw Chmielnickiemu, Szereme-
towi i Buturlinowi.

Wieści tylko o walkach bohaterkich, dochodzące
z Ukrainy, o miastach zdobytych, o pochodach nieby-
wałych, krzepiły nieco upadłe serca i do obrony za-
chęcały. Brzmiały też głośną sławą imiona hetmanów
koronnych, a obok nich imię pana Stefana Czarne-
ckiego coraz się częściej na ustach ludzkich zjawiało,
alże sława za wojska, ani za pomoc starczyć nie mo-
gła, więc hetmani litewscy ustępowali zwolna, nie
przestając klócić się ze sobą po drodze.

Wreszcie Radziwiłł stanął na Żmudzi. Wraz z nim
powrócił chwilowy spokój w stronie laudańskiej. Jeno
kalwini ośmielieli bliskością swego naczelnika, podno-
sili po miastach głowy, krzywdy czyniąc i na kościoły
napadając, ale zato przywódcy rozmaitych watah wo-
lentarskich i partyj niewiadomo czym, którzy pod
barwą Radziwiłła, Gosiewskiego lub Sapiehów kraj
niszczyli, pokryli się w lasy, rozpuścili swych łotrzy-
ków — i ludzie spokojni lżej odetchnęli.

A ponieważ od zwaćpienia łatwe jest przejście
do nadziei, więc znagła lepszy duch zapanował na
Laudzie. Panna Aleksandra siedziała spokojnie w Wo-
doktach. Pan Wołodyjowski, który wciąż mieszkał
w Pacunelach, a teraz właśnie zwolna do zdrowia po-
wrać począł, rozpuszczał wieści, że król na wiosnę
przyjedzie z zaciężnemi chorągwiami, poczern wnet cała
wojna inny obrót weźmie. Pokrzepiona szlachta po-
częła wychodzić z pługami w pola. Śniegi też potajały, i na brzezinie ukazały się pierwsze pędy. Lauda rozłała szeroko. Pogodniejsze niebo jaśniało nad okolicą. Lepszy duch wstępował w ludzi.

Wtem zaszedł wypadek, który znów zamącił laudańską ciszę, ręce oderwał od lemieszów i nie pozwolił szablom pokryć się rdzą czerwoną.
ROZDZIAŁ VII.

Pan Wołodyjowski, sławny i stary żołnierz, choć człowiek młody, siedział, jako się rzekło, w Pacunelach u Pakosza Gasztowta, patryarchy pacunelskiego, który miał reputację najbogatszego szlachcica między wszystką drobną bracią laudańską! Jakoż trzy córki, które były za Butrymami, wyposażał hojnie dobrem srebrem, dawszy każdej po talarów sto, prócz inwentarzy i wyprawy tak pięknej, że i niejedna szlachcianka fамиliantka lepszej nie miała. Inne trzy córki były w domu pannami i te pilnowały pana Wołodyjowskiego, którego ręka to przychoǳiła do zdrowia, to martwiała znowu, gdy zdarzyły się złoty na świecie. Wszyscy laudańscy zajmowali się wielce tą ręką, bo ją widzieli przy robocie pod Szkłowem i Sepielowem i ogólne było mniemanie, że lepszej trudno było znaleźć na całej Litwie. Otaczano też młodego pułkownika we wszystkich okolicach czcią nadzwyczajną. Gasztowtowie, Dobmaszewicze, Gościewicze i Stakjanowie, a za nimi inni, dosyłali wiernie do Pacunelów ryby, grzyby i zwierzynę, i siano dla koni, i smołę do kałamaszek, aby rycerzowi i jego czeladzi na niczem nie zbywało. Ilekoć
czuł się słabszym, jeździł na wyścigi po cyrulika do Poniwieża, słowem, wszyscy przesadzali się w usługach.

Paniu Wołodyjowskimu tak też było dobrze, że choć w Kiejdanach mógł mieć i wygody lepsze i medyka sławnego na zawołanie, przecież w Pacunelach siedział, a stary Gasztwort rad go podejmował i prawie prochy przed nim zdumiewał, bo podnosiło to nadzwyczajnie jego znaczenie w całej Laudzie, iż tak znamienitego ma gościa, któryby i samemu Radziwiłłowi honoru mógł przymnożyć.

Po pobiciu i wypędzeniu Kmicica, poszła rozmiotowana w panu Wołodyjowskim szlachta po rozum do głowy i uczyniła projekt ożenienia go z panną Aleksandrą. „Co będziemy dla niej męża po świecie szukać! — mówili starzy na umyślnie sesyi, na której onę sprawę roztrząsano. — Gdy tamten zdrajca bezecznymi uczynkami tak się splamił, iż jeśli jest żyw, katu oddany być powinien, tedy i panna musiała go już z serca wyrzucić, bo tak było i w testamencie, w osobnej klauzuli przewidziane. Niechże pan Wołodyjowski się z nią żeni. Jako opiekunowie możemy na to pozwolić, a tak i ona zacnego kawalera i my sąsiada i wodza dostaniemy“.

Gdy zdanie to jednogłośnie zawotowane zostało, pojechali starsi najprzód do pana Wołodyjowskiego, który niewiele myślać, na wszystko się zgodził, a potem do „panienki“, która jeszcze mniej myślać, stanowczo się sprzeciwiła. — „Lubiczem — rzekła — jeden tylko nieboszczyk miał prawo rozporządzić i majętność nie prędzej może być panu Kmicicowi odjęta, aż sądy na utratę gardła go skażą, a co się tyczy mego zamążpójścia, nawet o tem nie wspominać. Zadużo mam w sobie bolesti, żebym o czemś podobnym myśleć mogła...
Tamtego z serca wyrzucałam, a tego, choćby był naj-
godniejszy, nie przywoźcie, bo wcale do niego nie wyjdę".

Nie było co rzec na tak stanowczą odmowę i szlach-
ta wróciła do domów wielce zmartwiona: mniej zmar-
twił się pan Wołodyjowski, a najmniej młode Gasztow-
tówny: Terka, Maryśka i Zonia. Rosłe to były dziew-
częta i rumiane, miały włosy jak len, oczy jak niezabud-
ki, a plecy szerokie. Pacunelki w ogóle słynęły z pię-
kności; gdy szły kupą do kościoła, rzekłbyś: kwiaty na
łące! Do tego stary Gasztotw i na edukacją nie żało-
wał. Organista z Mitrunów nauczył je sztuki czytania,
pieśni kościelnych, a najstarszą Terkę i gry na lutni.
Mając dobre serca, tkliwie opiekowały się panem Wo-
łodyjowskim, jedna starając się ubiec drugą w czujno-
ści i staraniach. O Maryśce mówiono, że zakochana
w młodym rycerzu; wszelako nie było w tej gadaninie
całej prawdy, gdyż wszystkie trzy, nie ona jedna, były
na zabój zakochane. On też lubił je bez miary, szczę-
gólnie Maryskę i Zonię, bo Terka na zdradliwość
męską zbytnio miała zwyczaj narzekać.

Nieraz bywało długimi wieczorami zimowemi,
stary Gasztotw, podpivszys krupniczkiem, spać idzie,
a one z panem Wołodyjowskim siędą wedle komina:
milutka Terka kądziel przędzie, słodka Marysia dar-
ciem kwapiu się zabawia, a Zonia nici z wrzecion na
motki nawija. Lecz gdy pan Wołodyjowski zacznie
opowiadać o wojnach, które przebył, albo o dziwach,
które widział w różnych magnackich domach, to robota
ustanie, dziewczęta w niego jak w tęczę patrzą i coraz
to któraś wykrzyknę z podziwu: „Ach! ja nie żyję na
świecie! Kochanieńcyż wy mo!" — a druga odpowie:
„Cała noc oka nie zmrużę!"
Pan Wołodyjowski zaś, w miarę jak do zdrowia przychodził i szablą już chwilami zupełnie swobodnie zaczął władać, coraz był weselszy i coraz chętniej opowiadał. Pewnego tedy wieczora, zasiedli jak zwykle po wieczerzy przed okapem, zpod którego raźne światło padało na całą ciemną izbę, ale zразу zaczęli się przekomarzać. Chciały dziewczęta opowiadania, a pan Wołodyjowski prosił Terkę, żeby mu też coś zaśpiewała przy lutni.

— Sam waszmość zaśpiewaj! — odpowiedziała, odpychając instrument, który jej pan Wołodyjowski podawał — ja mam robota. Bywając po świecie, musiałeś się różnych pieśni wyczyć.

— Pewnie, żem się wyuczył. Ale już dziś niech tak będzie: ja zaśpiewam najprzód, a waćpanna po mnie. Robota nie przepadnie. Żeby tak białogłow a jaka prosiła, pewniebyś się nie przeciwiła, mężczyźnie zawsze oporna.

— Bo warto.
— Zali i mną tak waćpanna pogardzasz?
— Aty, gdzie tam! Śpiewaj już wasza mość.

Pan Wołodyjowski zabrzdąkał w lutnię, nastroił pocieszną minę i zaintonował fałszywym głosem:

Przyjechałem w takie miejsce,
Gdzie mnie żadna panna niej-chce!...

— Ot! to niesprawiedliwość! — przerwała Marysia, zarumieniwszy się jak malina.
— To jest żołnierska piosenka — rzekł pan Wołodyjowski — którąśmy śpiewali w hibernach, chcąc, żeby się jaka dobra dusza nad nami użaliła.
— Jabym się pierwsza użaliła.
Dziękuję waępannie. Kiedy tak, to nie mam pocó długość śpiewać i lutnię w godniejsze ręce oddaję.

Terka tym razem nie odepchnęła instrumentu, bo ją poruszyła pieść pana Wołodyjowskiego, w której istotnie było więcej chytrości, niż prawdy, więc uderzyła zaraz w struny i złożywszy buzię „w ciupo”, poczęła śpiewać:

Nie kódź do lasu, czypać buz,
I nie wierz kłopcu, jako psu!
Bo każdy kłopiec ma w sobie jad,
Kiedy cię kocha, powiedz mi: „at!”

Pan Wołodyjowski tak się rozweselił, że aż się za boki uchwycił z radości i zakrzyknął:
— Wszyscyżto chłopcy zdrajcy? A wojskowi,
moja dobrodziko?

Panna Terka silniej zesznurowała buzię i odśpiewała z podwójną energią:

Jeszcze gorsze psy, jeszcze gorsze psy!

— Nie uważaj, wasza mość, na Terkę, ona zawsze taka! — rzekła Marysia.
— Jak nie mam uważać — rzeczce pan Wołodyjowski — gdy całemu stanowi wojskowemu tak szpetnie przymówiła, że ze wstydu nie wiem, gdzie oczy podziąd.
— Wasza mość chcesz, zebym śpiewała, a potem sobie ze mnie dworujesz i wy śmiewasz — odpowiedziała nadąsana Terka.
— Nie napadam ja na śpiewanie, jeno na sens dla wojskowych okrutny — odpark rycerz; — co do śpiewania, muszę przyznać, żem i w Warszawie tak wybornych gorgów nie słyszał. Waępannę tylko w pluderki przy-
brać, a mogłabyś u świętego Jana śpiewać, którym kościoł jest katedralny i królestwo mają w nim swój ganeczek.

— A czemużby to ją w pluderki trzeba ubierać? — spytała najmłodsza Zonia, zaciekawiona wzmianką o Warszawie i o królestwie.

— Bo tam w chórze białooglów nie śpiewają, jest no mężczyźni i młode chłopcy; jedni grubemi głosami, jak żaden tur nie zaryczy; inni cienko, że i na skrzypcach cieniej nie można. Słyszałem ich wielokroć, gdyśmy z naszym wielkim i nieodzkałowanym wojewódą ruskim na elekcją teraźniejszego pana naszego miłościwego przyjechali. Cuda to prawdziwe, aż dusza z człowieka ucieka! Siła tam muzykantów: jest Forster, sławný subtelnem gorgami, i Kapuła, i Dźań Batysta, i Elert, przedni do lutni, i Marek, i Mielczewski grzecznie komponujący. Ci wszyscy, kiedy to razem w kościele hukną, to jakobyś chóry serafińskie na jawie słyszał.

— Ot, to i pewno! jako żywo! — rzekła, składając ręce Marysia.

— A króla, wasza mość, często widywać? — pytała Zonia.

— Tak z nim padałem, jak z waćpanną. Po beresteckiej potrzebie za głowę mię ścisnal. Mężny to pan i tak miłościwy, że kto go raz ujrzał, musi go pokochać.

— My go i nie widziawszy kochamy!... A koronę zali zawsze ma na głowie?

— Zaśby tam co dnia w koronie chadzał; żelaznejby na to trzeba głowy. Korona sobie w kościele wypoczywa, od czego i powaga jej rośnie, a król jegomość
kapelusz czarny nosi, brylantami zdobiony, od których światłość na cały zamek bije...

— Powiadamaj, że zamek królewski, to nawet i od kiejdańskiego wspanialszy?
— Od kiejdańskiego? Fraszka przy nim kiejdański! Srogi to budynek, cały murowany, że drzewa i nie upatrzysz. Naokoło są dwa rzędy pokojów, jeden od drugiego zacniejszy. W niceto waćpanny ujrzycie rozmaite wojny i wiktorye, pendzlem na ścianach wyobrażone, jako to: sprawy Zygmunta III i Władysława; napatrzyc się temu nie można, bo wszystko jakoby żywe; dziw, że się nie ręsza i że ci, co się biją, krzyku nie czynią. Ale już tego nikt udać nie potrafi, choćby najlepszy malarz. Niektóre zaś komnaty całe od złota; krzesła i ławy bisiorem albo lamą kryte, stoły z marmuru i alabastru, a co sepetów, puzder, zegarów, w dzień i w nocy czas pokazujących, tegoby na wołowej skórze nie spisać. Dopieroż król z królową po onych komnatach chodzą i dostatkiem się cieszą; a wieczorem mają teatrum, kwoli większej jeszcze rozrywki...

— Cóżto takiego teatrum?
— Jakżeby to waćpannom powiedzieć... To jest takie miejsce, gdzie komedyje grają i skoki włoskie mistere wyprawują. Komnata to tak wielka, jak niejeden kościoł, cała w zacne kolumny. Po jednej stronie siedzą ci, co chcą się dziwować, a po drugiej stronie kunszty są ustawione. Te podnoszą się i schodzą na dół; inne śrubami w rozmaite obracają się strony; raz okazują ciemność z chmurami, znów przyjemną światłość; na wierzchu niebo ze słońcem albo z gwiazdami, spodem ujrzysz czasem piekło okropne...

— O Jezu! — zawołały pacunelki.
...Z dyabłami. Czasem morze niezmierne, na nim okręty i syreny. Jedne persony spuszczają się z nieba, inne wychodzą z ziemi.

— Jenobym piekła widzieć nie chciała — zakończyła Zonia — i dziwno mi to, że ludzie na tak okropny widok nie pouciekają.

— Nietylko nie uciekają, ale jeszcze przyklepują od uciechy, — odrzekł pan Wołodyjowski — bo to wszystko udane, nie prawdziwe, i przeżegnawszy, nie znika. Niemals w tem sprawy złego ducha, jeno ludzka prze-myślność. Nawet i biskupi tam z królestwem przychodzią i rozmaici dygnitarze, którzy potem razem z krölem przed spaniem do uczy siadają.

— A zrana i w dzień co czynią?

— To zależy od humorów. Rano wstawski, łaźni zażywają. Jest tam taka komnata, w której niemals podłogi, jeno cynowy dół, jako srebro błyszczący, a w tym dole woda.

— Woda w komnacie... słyszałyście?

— Tak jest... i przybywa jej albo ubywa, wedle woli; może też być ciepła, albo zgoła zimna, bo tam są rury z kuraskami, taką i owaką niosące. Pokręcisz waćpanną kuraskiem, až tu się leje, że i pływać można w komnacie, jako w jeziorze... Żaden król nie ma takiego zamku, jak nasz pan miłościwy, to wiadoma rzecz, i po słowie zagraniczni toż samo powiadają: żaden też nad tak zacnym narodem nie panuje, bo choć są różne grzeczne nacye na świecie, przecie Bóg naszę szczególnie w miłosierdziu swojom przyzdobił.

— Szczęśliwy nasz król! — westchnęła Terka.

— Pewnie, że byłby on szczęśliwy, gdyby nie sprawy publiczne, gdyby nie wojny niefortunne, które Rzecz-
pospólitą gnębią za grzechy i niezgodę naszę. Wszystko to na barkach królewskich i wymówiki mu jeszcze za nasze winy na sejmach czynią. A co on winien, że go słuchać nie chce? ... Ciężkie czasy nadeszły na ojczyznę i tak ciężkie, jakich jeszcze nie był. Najluchszy nieprzyjaciel już nas lekceważy, nas, którzyśmy z cesarzem tureckim szczęśliwie do niedawna wojowali. Tak-to Bóg pychę karze. Chwałą mu, że mi już ręka chodzi dobrze w zawiasiech... bo, czas, wielki czas za miłą ojczyznę się upomnieć i w pole ruszyć. Grzech w takich terminach próżnować.

— Jeno waćpan o wyjeździe nie wspominaj.

— Trudno ma być inaczej. Dobrze mi tu między waćpannami, ale im mi lepiej, tem mi gorzej. Niech tam mądrzy na sejmach racye dają, a żołnierzowi tęskno w pole. Póki życia, póty służby. Po śmierci Bóg, który w serca patrzy, najlepiej takich nagrody, co nie dla promocyi, ale z afektu dla ojczyzny służą... a podobno coraz mniej takich i dlatego przyszła na nas czarna godzina.

Oczy Marysi poczęły wilgotnieć, aż wkońcu łzami wezbrały, które wypłynęły na rumiane jagody.

— Waćpan pójdziesz i zapomnisz, a my tu już chyba poschniemy. Któż nas tu będzie bronił od napastników.

— Pojade, ale wdzięczność zachowam. Rzadko tak uczciwych ludzi, jak w Pacunelach! ... Waćpanny zawsze się tego Kmicica boicie?

— Pewnie, że się boimy. Dzieci nim tu matki straszą, jak wilkołakiem.

— Nie wróci on już, a choćby i wrócił, nie będzie miał ze sobą tych swawolników, którzy, miarkując z te-
go, co ludzie mówią, gorsi byli od niego. Szkoda to na-wet jest, że tak dobry żołnierz tak się splamił i sławę i majętność utracił.

— I pannę.
— I pannę. Siła o niej dobrego powiadamą.
— Po całych dniach ona nieboga teraz jeno płacze i płacze...
— Hm! — rzekł pan Wołodyjowski — przecież nie po Kmiecicu płacze?
— Ktoto wie! — rzekła Marysia.
— To tem gorzej dla niej, bo on już nie wróci; pan hetman odesłał część laudańskich do domu, to i siły teraz są. Bez sądubyśmy go zaraz rozsiekali. Musi on o tem wiedzieć, że laudańscy wrócili i ani nosa nie pokaże.

— Mają podobno nasi znowu ruszyć,— rzekła Terka — bo jeno na krótko dostali do domu pozwolenie.
— E! — rzecze pan Wołodyjowski — hetman rozpuścił ich, bo picniędy w skarbie niemasz. Desperacyj prawdziwa! Gdy ludzie najpotrzebniejsi, to trzeba ich odsyłać... Ale już dobranoc waćpannom, czas spać. A niech się tam której pan Kmiecic z mieczem ognistym nie przyśni...

To rzekłszy pan Wołodyjowski, wstał z ławy i zahierał się do odejścia, ale zaledwie uczynił krok ku alkierzowi, kiedy nagle uczynił się hałas w sieni i głos jakiś począł krzyczeć za drzwiami przeraźliwie:
— Hej tam! na miłosierdzie Boskie! otwórzcie prędzej, prędzej!...

Dziewczęta przeraziły się okropnie; pan Wołodyjowski skoczył po szablę do alkiera, ale nie zdołał
jeszcze z nią wrócić, gdy Terka odsunęła i do izby wpadł nieznany człek, który rzucił się do nóg rycerza.
— Ratunku, jaśnie pułkowniku!... Panna porwana!...
— Jaka panna?
— W Wodoktach...
— Kmicic! — wykrzyknął pan Wołodyjowski.
— Kmicic! — zawołały dziewczęta.
— Kmicic! — powtórzył posłaniec.
— Ktoś ty jest? — pytał pan Wołodyjowski.
— Włódarz z Wodoktów.
— My jego znamy! — rzekła Terka — on dryjakiew dla waszej mości woził.
Wtem zza pieca wylazł rozespany stary Gasztowt, a we drzwiach ukazało się dwóch czeladników pana Wołodyjowskiego, których hałas zwabił do izby.
— Konie siodłać! — krzyknął pan Wołodyjowski.
— Jeden niech do Butrymów rusza, drugi konia mnie podaje!
— Kiedy panna porwana? — pytał Wołodyjowski.
— Dopieroco... Tam jeszcze czeladź rzną... ja konia dopał.
Stary Gasztowt przetarł oczy.
— Co? panna porwana?
— Tak jest... Kmicic ją porwał! — rzekł pan Wołodyjowski — Jedziem z pomocą!
To rzekłszy, zwrócił się do posłańca:
— Ruszaj do Domaszewiczów, — rzekł — niech z rusznicami przybywają!
Nuże i wy kozy! — krzyknął nagle stary na
córki. — Nuże kozy! ruszać na wieś, budzić szlachtę, niech się szabel imą! Pannę porwać Kmiec... co ?... Boże odpuść! zbój, warchoł... co?

— Pójdźmy i my budzić — rzekł Wołodyjowski — będzie prędzej. Chodź wasze! Konie, słyszę, już są.

Jakże po chwili siedli na koń, z nimi dwóch czeładników: Ogarek i Syruc. Wszyscy puścili się drogą, między chatami zaściankowi, bijąc we drzwi, w okna i krzycząc w niebogłosy:

— Do szabel! do szabel! Panna w Wodoktach porwana! Kmiec w okolicy!...

Słysząc te wołania, jaki taki wypadał z chaty patrzeć, co się dzieje, a zrozumiawszy o co rzecz idzie, po-
czynał sam wrzeszczeć: „Kmiec w okolicy! Panna po-
rwana!“ — i tak wrzeszcząc, ruszał na łeb na szyję ku zabudowaniom konia kułbaczyć, albo do chaty, szabliska po ścianie w ciemności macać. Coraz więcej głosów powtarzało: „Kmiec w okolicy!“ — ruch czynił się w zaścianku, światła poczęły błyskać, rozległ się płacz kobiet, szczekanie psów. Nakonicz szlacha wysypała się na drogę, po części konno, a w części pieszo. Nad gromadą głów ludzkich połyskiwały w cieniu szable, pik, rohatyny, a nawet i widły żelazne.

Pan Wołodyjowski rzucił okiem na oddział, wnet rozesłał kilkunastu w różne strony, a sam z resztą ruszył naprzód.

Jezdni szli na czele, piesz za nimi i ciągnęli ku Wołmontowiczom, by się z Butrymami połączyć. Godzina była dziesiąta z wieczora, noc jasna, lubo księżyce jeszcze nie zeszedł. Ci ze szlachty, których świeżo z wojny hetman W. odesłał, zaraz zwrali się w szeregi; inni,
mianowicie piesi, szli mniej sprawnie, czyniąc brzęk bro-
nią, gawędząc i ziewając głośno, a chwilami kniąc wra-
żego Kmicica, który ich słodkiego wczasu pozbawił; tak doszli aż pod Wołmontowicze, przed którymi wysu-
nął się ku nim zbrojny oddział.
— Stój! kto jedzie? — poczęły wołać głosy z o-
wego oddziału.
— Gasztowtowie!
— My Butrymi, Domaszewicze już są.
— Kto u was dowodzi? — pytał pan Wołody-
jowski.
— Józwa Beznogi, do usług pana pułkownika.
— Macie wieści?
— Do Lubicza ją porwał. Przeszli bagnami, by
przez Wołmontowicze nie przechodzić.
— Do Lubicza? — pytał ze zdziwieniem pan Wo-
lodyjowski. — Cóż on się tam myśli bronić? przecie
Lubicz nie forteca?
— W siłę widać ufa. Ludzi przy nim ze dwieście!
Pewnie też dostatki chce z Lubicza zabrać; wozy mają
ze sobą i koni luźnych kupę. Musiał nie wiedzieć o po-
wrocie naszym z wojska, bo śmiało sobie poczyna.
— Dobra nasza! — rzekł pan Wołodyjowski. —
To nam się nie wymknie. Strzelby ile u was?
— U nas Butrymów sztuk ze trzydnięciu, u Doma-
szewiczów dwa razy tyle.
— Dobrze. Niech pięćdziesiąt ludzi ze strzelbami
ruszy pod waszecią bronić przepraw na bagnach — ży-
wo! Reszta pójdzie ze mną. O siekierach pamiętać!
— Wedle rozkazu!
Uczynił się ruch; mały oddział ruszył truchtem
ku bagnom pod Józwą Beznogim.
Tymczasem nadjechało kilkunastu Butrymów, rozłożonych poprzednio do innej szlachty.
— Gościeviców nie widać? — pytał pan Wołodyjowski.
— A! to wasza mość pan pułkownik!... Chwała Bogu! — zawołali nowoprzybyli. — Gościevicze idą już... słychać ich przez las. Wasza mość wie, że do Lubicza ją porwał?
— Wiem. Niedaleko z nią zajedzie.
Rzeczywiście Kmiecic nie obliczył jednego niebezpieczenstwa swej zuchwałej wyprawy; oto nie wiedział, że znaczne siły szlachty przybyły właśnie do domów. Sądził, że zaścianki są puste, jak było za czasów jego pierwszego pobytu w Lubiczu; tymczasem teraz, licząc z Gościeviczami, bez Stakjanów, którzy nie mogli przybyć na czas, pan Wołodyjowski mógł wyprowadzić przeciw niemu około trzystu szabel — i to ludzi przywykłych do boju i wycieczkowych.
Poszli tedy rysią ku Lubiczowi, owym borem, przez który Kmiecic dawniej przeleżywał. Było już dobrze po północy. Księżyc wypłynął wreszcie na niebo i oświecił las, drogę i ciągnących wojowników, rozłamał blade promienie na ostrzach pik, odbijał się w szablach
błyszących. Szlachta gwarzyła zcicha o nadzwyczajnym zdarzeniu, które ich wyrwało z pościeli.

— Chodzili tu rozmaici ludzie: — mówił jeden z Domaszewiczów — myśleliśmy, że to zbiegowie, a to pewnie byli jego szpiegi.

— A jakże. Codzień też obce dziady zachodziły do Wodoktów, niby po jałmużnę — odrzekł drugi.

— A coto za żołnierz przy Kmicicu?

— Czeladź z Wodoktów mówi, że Kozacy. Pewniesi Kmicic z Chowańskim albo z Żółtareńką zwarła. Dotąd był zbójem, teraz zdrajca to już oczywisty.

— Jakżebyto on mógł Kozaków aż tu przyprowadzić?

— Z tak wielką watahą nie łatwo się przemknąć? Toć pierwsza lepsza nasza chorągiew byłaby go zatrzymała po drodze.

— Po pierwsze mógł lasami iść, a po drugie, małożo panów z dworskimi kozakami się uwija? Kto ich tam odróżni od nieprzyjaciół; jeśli ich pytano, to się nadwornymi semenami powiadały.

— Będzie on się bronił, — mówił jeden z Gościewiczów — bo człowiek jest męsny i rezolutny, ale nasz pułkownik da sobie z nim rady.

— Butrymowie też sobie zaprzysięgli, że choćby mieli jeden na drugim paść, już on im nie ujdzie ztąd żywy. Oni na niego najzawziętsi.

— Ba! a jak go usiecemi, to na kim będą swoich krzywd dochodzić? Lepiejby było żywcem go pojmać i sprawiedliwości oddać.

— Co tam teraz o sądach myśleć, kiedy wszyscy głowy potracili. Czy waszmościom wiadomo, co ludzie mówią, że i od Szwedów może przyjść wojna?
Niechże Bóg zachowa!... Moskiewska potęga i Chmielnicki! Szwedów tylko brak, a jużby ostatni termin na Rzeczpospolitą przyszłł.

Wtem pan Wołodyjowski, jadący na przedzie, odwrócił się i rzekł:
— Cicho tam, waszmościowie!

Szlachta umilkła, bo Lubicz już było widać. Po kwadransie drogi przysunęli się o niecałą staję ode dworu. Wszystkie okna były oświecone; jasność biła aż na podwórze, na którym pełno było zbrojnych ludzi i koni. Nigdzie żadnych straży, żadnych ostrożności — widocznie pan Kmicic ufał aż nadto swym siłom. Zbliżywszy się jeszcze więcej, pan Wołodyjowski za jednym rzutem oka poznał Kozaków, z którymi tyle się nawojuwał jeszcze za życia wielkiego Jeremiego, a później pod Radziwilliem, więc mrknął zcicha sam do siebie:
— Jeśli to są obcy Kozacy, to ten warchał przebrał miarę!

I patrzył dalej, zatrzymawszy cały oddział. Na podwórzu krągatania była okrutna. Jedni Kozacy świecili pochodniami, inni biegli na wszystkie strony, wychodzili z domu i wchodziły napowrót, wynosieli rzeczy, pakowali toboły na wozy; inni wyprowadzali konie ze stajen, bydło z obór; krzyki, nawoływania i rozkazy krzyżowały się na wszystkie strony. Blask pochodni oświetlał jakoby przeprowadzkę świętojańską dzierżawcy do nowego majątku.

Krzysztof Domaszewicz, starszy między Domaszewiczami, przysunął się do pana Wołodyjowskiego.
— Wasza mość! — rzekł — cały Lubicz chcą zapakować na wozy.
— Nie wywiozą — odparł pan Wołodyjowski —

— Bo potęgę ma wielką; widzi mi się, będzie nad trzysta ludzi. Żebyśmy byli z wojska nie wrócili, mógłby w biały dzień przejść z wozami przez wszystkie zaścianki.

— Dobrze! — odrzekł pan Wołodyjowski. — Wszak to do dworu ta jedna droga prowadzi?
— Ta jedna, bo z tyłu stawy i bagna.
— To dobrze... Z koni waszmościowie!

Posłuszna rozkazowi szlachta wnet zeskoczyła z kulbaka; następnie szereg pięć zebrały się w długo linię i poczęły otaczać dom wraz z zabudowaniami.

Pan Wołodyjowski z głównym oddziałem zbliżył się wprost do kołowrota,

— Czekać komendy! — rzekł zcicha. — Nie strzelać przed rozkazem!

Kilkadziesiąt zaledwie kroków dzieliło szlachtę od kołowrota, gdy spostrzegno ich wreszcie z podwórca. Kilkunastu ludzi skoczyło razem do płotów i przechyliło się przez nie, pilnie wpatrując się w ciemność, a groźne głosy wołać poczęły:

— Hej! a szto za lude?
— Alt! — zakrzyknął pan Wołodyjowski. — Ognia!

Wystrzały ze wszystkich rusznic, jakie miała szlachta, huknęły naraz; ale jeszcze echo ich nie odbiło się o zabudowania, gdy znów rozległ się głos pana Wołodyjowskiego:

— Biegiem!
— Bij, zabij! — odkrzyknęła laudańcy, rzucając się naprzód, jak potok.


Kmicici bronili się mężnie zza wozów i pak; poczęto też strzelać ze wszystkich okien domu i z dachu, ale rzadko, bo pochodnie zdeptane zagasły i trudno było swoich od nieprzyjaciół odróżnić. Po chwili wyparto Kozactwo z podwórza ku domowi i stajniom; rozległy się krzyki o litość. Szlachta tryumfowała.

Ale gdy została sama na podwórzu, wnet ożywił się ogień z domu. Wszystkie okna zjeżyły się rurami muszkietów i grad kul począł sypać się na podwórze. Największa część Kozaków schroniła się do domu.

— Pod dwór! do drzwi! — zawołał pan Wołodyjowski.

Rzeczywiście pod samemi ścianami strzały szkodzić nie mogły ani z okien, ani z dachu. Położenie jednak oblegających było trudne. O szturmie do okien niepodobna im było pomyśleć, bo tam przywitałby ich ogień w same twarze; kazał więc pan Wołodyjowski drzwi rąbać.

Ale i to nie szło łatwo, były to bowiem raczej wrzeciądze, niż drzwi, zbudowane z dębowych krzyżników, nabijanych raz przy razie olbrzymiemi gwoźn...
dziami, na których potężnych łbach szczерbiły się siekiery, nie mogąc drzewa zachwycić. Najsilniejsze chłopy parli od czasu do czasu ramionami i to próźno. Drzwi miały ztyłu żelazne sztaby, a oprócz tego podparto je od wewnątrz drągami. Butrymowie jednak rąbali z wściekłością. Do drzwi kuchennych i wiodących ze skarbczyka szturmowali Domaszewicze i Gościewicze.


Z rozkazu pana Wołodyjowskiego pozatykano otwory kłębami, uczynionemi z kapot. W tymże czasie nowe okrzyki ozwały się od strony drogi, to Stakjano wie przybywali na pomoc braci, a za nimi zbrojni chłopi z Wodoktów.

Przybycie tych nowych posiłków strwóżyło widocznie oblężonych, bo wnet jakiś głos począł wołać gromko za drzwiami:

— Stój tam! nie rąb! słuchaj... Stój, do stu dyablów!... rozmówmy się!

Wołodyjowski kazał przerwać robotę i spytał:

— Kto mówi?

— Chorąży orszański, Kmicic! — brzmiała odpowiedź. — A z kim mówi?

— Pułkownik Michał Jerzy Wołodyjowski.

— Czelem! — ozwał się głos zza drzwi.

— Nie czas na powitania... Czego waść chcesz?

— Mnieby słusznjej zapytać: czego waść chcesz?

Nie znasz mnie, ja ciebie... czemu mnie napadasz?
— Zdajęco! — zakrzyknął pan Michał. — Ze mną są ludzie laudańscy, którzy z wojny wrócili i ci mają z tobą obrachunki za rozbój i za krew niewinnie prze- laną, i za tę pannę, którą teraz porwał! A wiesz, co to jest raptus puellae? Musisz tu gardło dać!
Nastała chwila milczenia.
— Nie nazwałbyś mnie drugi raz zdajęca, — rzekł znów Kmicic — gdyby nie te drzwi, które nas dzielą.
— To je otwórz... tego ci nie bronię!
— Pierwiej jeszcze niejeden konder laudański nogami się nakryje. Nie weźmiecie mnie żywym!
— To cię zdechłego za łeb wywleczem. Wszy- stko nam jedno!
— Słuchaj waść dobrze i zakonotuj, co powiem. Jeśli nas nie poniechacie, mam tu baryłkę prochu i lon- cik już tlejący; dom wysadzę, wszystkich, co tu są i siebie... tak mi dopomóż Bóg! Chodźcie mnie teraz brać!

Tym razem nastała jeszcze dłuższa chwila milczenia. Pan Wołodyjowski szukał naprzód odpowiedzi. Szlachta poczęła spoglądać po sobie przerażona. Tyle było dzikiej energii w słowach Kmicica, że w groźbę uwierzyli wszyscy. Całe zwycięstwo mogło być jedną iskrę w proch rozwiane i Billewiczówna stracona na wieki.
— Dla Boga! — mruknął któryś z Butrymów — to szalony człowiek! On to gotów uczynić.

Nagle panu Wołodyjowskiemu przyszła szczęśliwa, jak mu się zdawało, myśl do głowy.
— Jest inny sposób! — zakrzyknął. — Wychodź ze mną zdajęco na szable! Położysz мне, to odje- dziesz wolno!
Przez jakiś czas nie było odpowiedzi. Serca ladowańskich były niespokojnie.
— Na szable? — spytał wreszcie Kmiecic. — Może to być!
— Jeśli tchorz nie oblatuje, to i będzie!
— Parol kawalerski, że odjadę wolno?
— Parol...
— Nie może być! — krzyknęło kilka głosów między Butrymami.
— Cicho waściowie, do stu dyabłów! — huknął pan Wołodyjowski — a nie, to niech siebie i was prochem wysadza.

Butrymowie zamilkli, po chwili jeden z nich rzekł:
— Będzie tak, jak wasza mość chce...
— A cóż tam? — pytał szydersko Kmiecic. — Szaraczki się zgadzają?
— I zaprzysięgną na mieczach, jeżeli wasz chcesz.
— Niech przysięgają!
— Kupą tu waszmościowie, kupą! — wołał pan Wołodyjowski na szlachtę, stojącą pod ścianami i otaczającą cały dom.

Po chwili wszyscy zebraли się pod głównemi drzwiami i wnet wieść, że Kmiecic chce się prochami wysadzić, rozniosła się na wszystkie strony. Stali tedy, jak w kamieniu zmienieni ze zgrozy; tymczasem pan Wołodyjowski podniósł głos i mówił wśród ciszy grobowej:
— Wszystkich tu obecnych waszmościów biorę na świadki, żem pana Kmiecica, chorążego orszańskiego, wyzwala na bitwę samowtór, i to mu przyrzekłem, iż jeśli mnie położy, oddziedzie wolno, nie doznając w tem od waszmościów przeszkody, co mu na rękjejściach
zaprzysiąć musicie, na Boga Najwyższego i święty krzyż . . .
— Poczekajcie jeno! — zawołał Kmicic — wolno ze wszystkimi ludźmi oddadę i pannę ze sobą zabiorę.
— Panna tu zostanie — odparrł pan Wołodyjowski — a ludzie w jasyr do szlachty pójdą.
— Nie może być.
— To się prochami wysadzaj! Już my jej odzaj-łowali, a co do ludzi, to się ich spytać, co wolą... Nastąpi znów cisza.
— Niechże tak będzie — rzekł po chwili Kmicic. — Nie dziś ją porwę, to za miesiąc. Nie skryjcie jej pod ziemią! Przysięgajcie!
— Przysięgajcie! — powtórzył pan Wołodyjowski.
— Przysięgamy na Boga Najwyższego i święty krzyż. Amen!
— No, wychódź, wychodź waść! — rzekł pan Michał.
— Pilno waszmości na tamten świat?
— Dobrze, dobrze! jeno prędzej.
Sztaby żelazne, trzymające drzwi od wewnątrz, poczęły szczekać.
Pan Wołodyjowski usunął się wtył, a za nim szlachta, by miejsce uczynić. Wnet drzwi otworzyły się i ukazał się w nich pan Andrzej, rośli, smukły jak topola. Brzask już był na świecie i pierwsze blade światełka dnia padły na jego twarz hardą, rycerską, a młodą. Stanąwszy we drzwiach, spojrzał śmiało na czerędę szlachty i rzekł:
— Zaufałem waszmościom... Bóg wie, czym do- brze uczynił, ale mniejsza z tem!... Który tu pan Wołodyjowski?
Mały pułkownik wysunął się naprzód.
— Jam jest! — odrzekł.
— Ho! nie na wielkoluda waszmość wyglądasz — rzekł Kmiecic, czyniąc przymówkę do wzrostu rycerza — spodziewałem się zacniejszą figurę znaleźć, choć ci to muszę przyznać, żeś widać żołnierz doświadczony.
— Nie mogę tego waści przyznać, boś straży zaniedbał. Jeśliś taki do szabl, jak do komendy, to i nie będę miał roboty.
— Gdzie stanienny? — spytał żywo Kmiecic.
— Tu... podwórzec równy jak stół.
— Zgoda! gotuj się na śmierć.
— Taki waść pewien?
— Widać, żeś w orszańskiem nie bywał, skoro o tem wątpisz... Nietykom pewien, ale i żał mi waćpana, bom o tobie jako o sławnym żołnierzu słyszał. Dlatego ostatni raz mówię: zaniechaj mnie! Nie znamy się... poco mamy sobie w drogę wchodzić? Czemu na mnie nastajesz?... Dziewka testamentem mi przy należy, jako i ta majętność i Bóg widzi, swego tylko dochodzi... Prawda jest, żem szlachtę w Wołmontowiczach wysiekt, ale niechże Bóg sądzi, kto tu pierwiej został skrzywdzony. Swawolnicy byli moi oficerowie, czy nie swawolnicy, mniejsza z tem, dość, że tu nikomu zła nie uczynili, a wybito ich do nogi, jako psów wściekłych, za to, że z dziewczętami w karczmie chcieli potańczyć. Niechże będzie krew za krew! Potem mi i żołnierzy wysieczono. Na rany Boskie zaprzysięgnę, żem tu bez złych chęci w te strony przyjechał, a jakże mnie tu przyjęto?... Ale niech będzie krzywda za krzywdę. Jeszcze swego dołożę, szkody nagrodzę... posąsiedzku. Lepiej wolę tak, jak inaczej...

— Zkąd wziąłem, to wziąłem. Nie przeciw ojczyźnie ich zaciągnąłem, ale by prywaty swojej dochodzić.

— Takisto?... Więc dla prywaty z nieprzyjaciłem się połączyłeś? A czemże mu za onę usługę zapłacisz, jeśli nie zdradą?... Nie, bratku, nie przeszkadałbym ja ci układać się z tą szlachtą, ale wezwać nieprzyjaciela w pomoc, inna rzecz. Nie wykręcisz się sianem. Stawajno teraz, stawaj, bo wiem, że cię tchórz oblatuje, choć się za orszańskiego mistrza podajesz.

— Chciałeś! — rzekł Kmicic, stając w pozycji.

Ale pan Wołodyjowski nie spieszył się i nie wydobywając jeszcze szabli, obejrzał się nakoło po niebie. Świtało już. Na wschodzie pierwsza złota i błękita wstążka rozciągnęła się świetlistem pasmem, na podwórzu jednak dość było jeszcze ciemno, zwłaszcza zaś przed domem mrok panował zupełny.

— Dobrze się dzień zaczyna — rzekł pan Wołodyjowski — ale słońce nieprędko jeszcze wejdzie. Może waść życysz, żeby nam poświecili?

— Wszystko mi jedno.

— Mości panowie! — zawołał pan Wołodyjowski, zwracając się do szlachty — a skoczyńco po wiechetki i po łączywo, będzie nam jaśniej w tym orszańskim tańcu.

Szlachta, której żartobliwy ton młodego pułkownika dzienne dodawał otuchy, kopnęła się raźnie ku kuchni; niektórzy poczęli zbierać podeptane wczesne bitwy pochodnie i po niejakim czasie blisko pięćdzie-
sięt czerwonych płomieni zamigotało w bladym mroku porannym. Pan Wołodyjowski ukazał je szablą Kmicewą.

— Patrz waść, istny kondukt!
A Kmiec odparł odrazu:
— Pułkownika chowają, to i pompa być musi!
— Srogim smok z waści!...

Tymczasem szlachta załoczyła w milczeniu krąg naokół rycerzy; wszyscy podnieśli zapalone drzazgi w górę, za nimi umieścił się inni, ciekawi i niespokojni; w środku przeciwnicy mierzyli się oczyma. Cięsa uczyniła się okrutna, jeno węgielki spalone obsuwali się z szelestem na ziemię. Pan Wołodyjowski wesoł był, jak szczęgieł w pogodny ranek.

— Zaczynam waść! — rzekł Kmiec.

Pierwszy szczęk ozwał się echem w sercach wszystkich patrzących; pan Wołodyjowski przyciął, jakby z niechcenia, pan Kmiec odbił i przyciął z kolei, pan Wołodyjowski znów odbił. Suchy szczęk stawał się coraz szybszy. Wszyscy dech wstrzymywali. Kmiec atakował z furyą, pan Wołodyjowski zaś lewą rękę w tył założył i stał spokojnie, czyniąc niedbale ruchy bardzo małe, prawie niezauważne; zdawało się, że chciał siebie tylko osłonić, a zarazem oszczędzić przeciwnika — czasem cofnął się o mały krok wtyk, czasem postąpił naprzód — widocznie badał biegłość Kmicea. Tamten rozgrzewał się, ten był chłodny, jak mistrz próbujący ucznia, i coraz spokojniejszy; wreszcie ku wielkiemu zdumieniu szlachty, przemówił:

— Pogawędziśmy — rzekł — nie będzie nam się czas dłużył... Aha! to ta orszańska metoda?... wiedzie tam sami musicie groch młócić, bo waćpan ma-
chasz jak cepem... Okrutnie się zmachasz. Zaliś to naprawdę w Orszańskim najlepszy?... Ten cios jeno u pachołków trybunalskich w modzie... Ten kurlandzki... dobrze się nim od psów opędzać. Uważaj waćpan na koniec szabli... Nie wyginaj tak dłoni, bo patrz, co się stanie... Podnieś!...

Ostatnie słowa wymówił pan Wołodyjowski dobitnie, jednocześnie zatoczył półkole, dłoń i szablę pociągnął ku sobie i nim patrzący zrozumieli, co znaczy: „podnieś“ — już szabla Kmica, jak wywleczonej igła z nitki, furknęła nad głową pana Wołodyjowskiego i upadła mu za plecami; on zaś rzekł:

— To się nazywa wyłuskiwać szablę.

Kmica stał blady, z obłąkanemi oczyma, chwiejący się, zdumiony niemniej od szlachty laudańskiej; mały pułkownik zaś usunął się wbok i ukazawszy na leżącą na ziemi szerpentynę, powtórzył po raz drugi:

— Podnieś!

Przez chwilę zdawało się, że Kmica rzuci się na niego z gołemi rękoma... Już, już był gotów do skoku, już pan Wołodyjowski, przysunąwszy rękę do piersi, nadstawił ostrze, ale pan Kmice rzucił się na szablę i wpadł z nią na straszliwego przeciwnika.

Szmery głośne poczęły się zrywać w kole patrzących i koło ścieśniało się coraz bardziej, a za niem uformowało się drugie, trzecie. Kozacy Kmicicowi wtykali głowy między ramiona szlachty, jakby całe życie w najlepszej z nią żyli zgodnie. Mimowolne okrzyki wyrywały się z ust widzów; czasem rozlegał się wybuch niepohamowanego, nerwowego śmiechu; poznali wszyscy mistrza nad mistrzami.

Ten zaś bawił się okrutnie, jak kot z myszą —
pozornie coraz niedbalej robił szablą. Lewą rękę wysunął zza pleców i wsunął w kieszeń hajdawerów. Kmiecic pienił się, rzężył, nakoniec chrupliwe słowa wyszły mu z gardzieli przez zacisnięte usta:

— Kończ... waść!... wstydu oszczędź!...
— Dobrze! — rzekł Wołodyjowski.

Dał się słyszeć świsz krótki, straszny, potem stłumiony krzyk... jednocześnie Kmiec rozłożył ręce, szabla wypadła mu z nich na ziemię... i runął twarzą do nóg pułkownika...

— Żyje — rzekł Wołodyjowski — nie padł na wznak!

I zagiąwszy połę Kmiecicowego żupana, począł nią ocierać szablę.

Zawrzała szlachta jednym głosem, w tych zaś krzykach brzmiało coraz wyraźniej:

— Dobić zdrajczę!... dobić... rozsiekać!...

I kilku Butrymów biegło z dobytmi szablami. Nagle stało się coś dziwnego; oto rzekłbyś: mały pan Wołodyjowski urósł w oczach — szabla najbliższego Butryma wyleciała mu z ręki śladem Kmiecicowej, jakby jąwicher porwał — pan Wołodyjowski zaś krzyknął z iskrzącemi oczyma:

— Wara!... wara!... Teraz on mój, nie wasz!...

Precz!...

Umilkli wszyscy, bojąc się gniewu tego męża, on zaś rzekł:

— Nie potrzeba mi tu jatek!... Waszmościowie szlachtą będąc, powinniście rozumieć kawalerski obyczaj, aby rannego nie dobijać. Nieprzyjacielowi nawet tego się nie czyni, a coś dopiero przeciwnikowi w pojedynku zwyciężonemu.
— On zdrajca! — mrknął któryś z Butrymów.— Takiego godzi się bić.
— Jeśli on zdrajca, tedy panu hetmanowi oddany być powinien, aby karę poniósł i stanął za przykład innym. Zresztą, jakom wam rzekł: mój on teraz, nie wasz. Jeśli wyżyje, to wam wolno będzie krzywd waszych przed sądem dochodzić i z żywego lepszą mieć błędziec satysfakcją, niż z umarłego. A kto tu umie rany opatrzywać?
— Krzych Domaszewicz. On zdawna wszystkich na Laudzie opatruje.
— Niechże go zaraz opatrzy, potem na łóże go przenieść, a ja pójdę tę nieszczęsną pannę pocieszyć.
To rzekłszy, pan Wołodyjowski zasunął szabelkę do pochwy i wszedł przez porąbane drzwi do domu. Szlachta poczęła łowić i wiązać rąpciami ludzi Kmiecowych, którzy odtąd mieli orać rolę w zaściankach. Poddawali się też bez oporu; ledwo kilkunastu, wypadłszy przez tylne okna domu, skoczyło ku stawom, ale tam wpadli w ręce czekających Stakjanów. Jednocześnie szlachta wzięła się do rabunku wozów, na których łup znalazł się dość obfity; niektórzy radzili zbierać i dom, ale bano się pana Wołodyjowskiego, a może obecność w domu Billewiczówny wstrzymywała zuchwalszych. Swoich poległych, między którymi było trzech Butrymów i dwóch Domaszewiczów, złożyła szlachta na wozy, aby ich po chrześcijańsku pochować, dla zabitych Kmiecowych kazano kopać chłopom rów za ogrodem.
Pan Wołodyjowski zaś szukając panny, przetrząsnął cały dom i znalazł ją dopiero w skarbczyku, położonym w rogu, do którego prowadziły maleńkie
a ciężkie drzwi z izby sypialnej. Była to mała ko
mnatka, o wąskich, grubo kratowanych oknach zbu
dowana w kwadrat, z murów tak potężnych, że pan Wołodyjowski poznął natychmiast, iż choćby Kmiec
był dom wysadził prochem, ta izba byłaby ocalała
z pewnością. To dało mu lepsze o Kmieciu mniema
nie. Panna siedziała na skrzyni niedaleko drzwi,
z głową spuszczoną, z twarzą prawie zasłoniętą wło
sami i całkiem nie podniosła jej, słysząc wchodzącego
rycerza. Myślała zapewne, że to sam Kmiec lub kto
z jego ludzi. Pan Wołodyjowski stanął we drzwiach,
zdjął czapkę, chrząknął raz i drugi, a widząc, iż i to
nie pomaga, ozwał się:

— Mościa panno... wolna jesteś!...

Wówczas zpódnarzuconych włosów spojrzały na
rycerza oczy błękite, a potem wychyliła się z nich
twarz śliczna, choć blada i jakby nieprzytomna. Pan
Wołodyjowski spodziewał się podziękowań, wybuchu
radości, tymczasem panna siedziała nieruchomo i tylko
patrzyła nań błędnie; więc rycerz ozwał się po raz
drugi:

— Przyjdź waępanna do siebie, Bóg wejrzał na
niewinność...Jesteś wolna i możesz wracać do Wo
doktów.

Tym razem w spojrzeniu Billewiczówny więcej
było przytomności. Powstawszy ze skrzyni, strząsnęła
wtył włosy i spytała:

— Kto waępan jesteś?

— Michał Wołodyjowski, pułkownik dragoński
wojewody wileńskiego.

— Słyszałam bitwę... strzały?... Mów waę
pan...
— Tak jest. Myto przyszli waćpannie na ratunek...

Billewiczówna oprzytomniała zupełnie.
— Dzikuję waśni! — rzekła pośpiesznie cichym głosem, w którym przebijał się śmiertelny niepokój.— A z tamtym, co się stało?...
— Z Kmiciem? Nie bój się waćpanna: leży bez duszy na podwórzu... i jam to, nie chwaląc się, sprawił.

Wołodyjowski wyrzekł to z pewną chełpliwością, ale, jeśli spodziewał się podziwu, to zawiodł się szerzej. Billewiczówna nie odrzekła ani słowa, natomiast zachwiała się na nogach i rękoma poczęła szukać oparcia za sobą, nakoniec siadła ciepko na tejże samej skrzyni, z której przed chwilą się podniosła.

Rycerz poskoczył ku niej żywo:
— Co waćpannie jest?
— Nic... nic... Czekaj waść... pozwól... To pan Kmiec zabity?...
— Co mnie pan Kmiec! — przerwał Wołodyjowski — tu o pannę chodzi!

Wówczas siły jej nagle wróciły, bo się podniosła znów i spojrzałwszy mu wprost w oczy, wykrzyknęła z gniewem, zniecierpliwieniem i rozpaczą:
— Na Boga żywego, odpowiadaj! zabity?...
— Pan Kmiec ranny — odpowiedział zdumiony pan Wołodyjowski.
— Żyje?...
— Żyje.
— Dobrze! Dziękuję waśni...

I chwiejnym jeszcze krokiem skierowała się ku drzwiom. Wołodyjowski stał przez chwilę, ruszając
nocno wąsikami i kręcąc głową; następnie mruknął sam do siebie:

— Zali mi ona dziękuje za to, że Kmiecic ranny, czy za to, że żyje?

I wyszedł za nią. Zastał ją w przyległej izbie sypialnej, stojącą pośrodku, jakby skamienniałą. Czterech szlachty wynosiło właśnie Kmicica; dwóch pierwszych, postępując bokiem, ukazało się we drzwiach, a między ich rękoma zwieszała się ku ziemi blada głowa pana Andrzeja, z zamkniętymi oczyma i soplami czarnej krwi we włosach.

— Wolno tam! — mówił idący za nimi Krzysz Domaszewicz — wolno przez próg. Niech mu tam który głowę podtrzyma. Wolno!...

— A czem będziem trzymać, kiedy ręce zajęte — odpowiedzieli idący w przedzie.

W tej chwili panna Aleksandra zbliżyła się ku nim, blada tak jak i Kmiecic, i podłożyła mu obie ręce pod martwą głowę.

— To panienka! — rzekł Krzysz Domaszewicz.

— To ja... ostrożnie... — odrzekła cichym głosem.

Pan Wołodyjowski patrzył i wąsikami srodze ruszał.

Tymczasem złożono Kmicana na łóžu. Krzysz Domaszewicz począł obmywać mu głowę wodą, po tem przyłożył przygotowany poprzednio plaster do rany i rzekł:

— Teraz jeno niech leży spokojnie... Ej, żelazna to głowa, że od takiego ciosu na dwoje nie pękła. Może i będzie zdrow, bo młody. Ale tego dostał...
Następnie wrócił się do Oleńki:
— Daj panienka ręce umyć... Ot, tu jest woda. Miłosierne w tobie serce, żeś dla tego człowieka nie bała się pokrwać.

Tak mówiąc, wycierał jej dłonie chustą, a ona blada i mieniła się w oczach. Wołodyjowski znów poskoczył ku niej.
— Nic tu po wałępannie! Okazała chrześcijańskie miłosierdzie nad nieprzyjacielem... wracaj do domu.

I podał jej ramię; ale ona nawet nie spojrzała na niego, natomiast zwróciwszy się do Krzycha Domaśzewicza, rzekła:
— Panie Krzysztofie, wyprowadź mnie!

Wyszli oboje, a i pan Wołodyjowski za nimi. Na podwórzu szlachta poczęła krzykać na jej widok i wiwatować, a ona szła blada, chwiejąca się, z zaciśniętymi ustami i ogniem w oczach.
— Niech żyje nasza panna! Niech żyje nasz pułkownik! — wołały potężne głosy.

W godzinę później wracał pan Wołodyjowski na czele laudańskich ku zaściankom. Słońce już weszło, ranek na świecie był radosny, prawdziwie wiosenny. Laudańscy clapali kąpio bezładną po gościńcu, gwarząc o wypadkach ubiegłej nocy i świątach pod niebiosą pana Wołodyjowskiego, a on jechał zamyślony i milczący. Z myśli nie schodziły mu te oczy, patrzące zpoza rozpuszczonych włosów, ta postać wysmukła i wspaniała, choć zgięta smutkiem i bólem.
— Dziw, jak cudna! — mruczał sam do siebie — istna księżniczka... Hm! ocaliłem jej cnotę,
a pewnie i życie, bo choćby prochy nie wysadziły skarbczyka, byłaby ze samego strachu umarła... Powinna być wdzięczna... Ale kto tam białogłową wyrozumie... Patrzyła na mnie, jak na pacholika, nie wiem, czy z dumy jakowej, czy z konfuzyi...
ROZDZIAŁ VIII.

Te myśli spać mu nie dały następnej nocy. Przez kilka dni ciągle jeszcze rozmyślał o pannie Aleksandrze i poznał, że mu głęboko w serce zapadła. Przeciętne szlachta laudska chciała go z nią żenić! Ona wprawdzie zrekuzowała mu bez namysłu, ale wtedy ani go znała, ani widziała. Teraz zupełnie co innego. On ją wyrwał pokawalersku z rąk gwałtownika, narazając się na kule i szable; poprostu zdobył ją, jak fortecę... Czyżaj ona, jeśli nie jego? Może mu cze- gokolwiek odmówić, choćby i rękę? Nużby popróbo- wał? Nużby z wdzięczności narodził się w niej afekt, jak się to często na świecie zdarza, że ocalona panna zaraz rękę i serce zbawcy oddaje! Gdyby zresztą nat- wet nie czuła dla niego zrazu afektu, to tembardziej należy mu się o to postarać.

A jeśli ona tamtego jeszcze pamięta i miłuje?

-- Nie może być! — powtórzył sobie pan Wołodyjowski — gdyby go nie odpaliła, toby jej gwałtem nie brał.

Okazała wprawdzie nad nim miłosierdzie niezwy- czajne, ale niewieści to rzecz litować się nad rannymi, choćby nieprzyjaciołmi.

Potop. T. I. 10


Tu panu Wołodyjowskiemu przesunął się przez pamięć cały szereg panien, do których już wzdychał w życiu. Były między niemi i bardzo urodziwe i z wielkiej krwi idące, ale mlszej nie było i zacniejszej. Toż ten ród i tę pannę ludzie sławili w całej okolicy i z oczu jej patrzyła taka uczciwość, że nie daj Panie Boże nikomu gorszej żony.

Czuł pan Wołodyjowski, że mu się trafia gratka, jaka się drugi raz może nie trafić, a to tem bardziej, że pannie taką niepospolitą usługę oddał.


Ba! ale tu wojna za pasem. Ręka zdrowa. Wstyd rycerzowi w zaloty chodzić, gdy ojczyzna ręce wyciąga i ratunku prosi. Pan Michał miał zacne serce żołnier skie i choć od pacholęcia prawie służył, choć we wszystkich wojnach, jakie za jego czasów były, udział brał — wiedział przecież co ojczyźnie winien i o spo czynku nie myślał.

Ale właśnie dlatego, że nie dla zysków, zasług, chlebów, jeno z duszy całej ojczyźnie służył i sumienie
miał pod tym względem czyste, czuł swą wartość i to dodawało mu otuchy.

— Inni się warcholili, a ja się bił — myślał sobie. — Pan Bóg żołnierzykowi nagrodzi i teraz mu dopomóżę.

Poznał jednak, że skoro nie było czasu na zaloży, trzeba było prędko działać i wszystko odrazu na hazard wystawić: pojechać, oświadczyć się z miejsca i albo po przyspieszonych zapowiedziach ślub wziąć, albo jechać arbuza.

— Jadłem nieraz, zjem i teraz! — mruczał pan Wołodyjowski,eruszając żółtemi wąsikami. — Co mi szkodzi!

Była jednak pewna strona w tem nagłem postanowieniu, która mu się nie podobała. Oto zadawał sobie pytanie: czy jadąc z oświadczeniem tak zaraz po uratowaniu panny, nie będzie podobny do natrętnego wierzyciela, który chce, aby mu jak najprędzej i z lichwą dług spłacono?

— Może to i nie będzie pokawalersku?

Ba! ale zacóż żądać wdzięczności, jeśli nie za usługę? A jeśli ów pośpiech nie pójdzie po sercu pannie, jeśli się nań skrzywi, to jej przecież można powiedzieć: „Mościa panno, rok bym w zaloży jeździł i w ślepki ci patrzył, ale żołnierz, a tam trąby na wojnę grają!“

— Taki pojädę! — mówił sobie pan Wołodyjowski.

Lecz po chwili znowu inna myśl przyszła mu do głowy. A jeśli ona odpowie: „Idźże waćpan na wojnę, mości żołnierzu, a po wojnie będziesz rok do mnie jeździł i w ślepki mi patrzył, bo ja człowiekowi, którego nie znam, duszy i ciała odrazu nie oddam“. 10
Wtedy wszystko przepadnie.
Ze przepadnie, czuł to pan Wołodyjowski doskonale; bo pominąwszy pannę, którą przez ten czas inny wziąć może, nie był pan Wołodyjowski pewny własnej stałości. Sumienie mu to mówiło, że w nim samym afekt zapalał się, bywało, tak jak słoma, ale i gasł jak słoma.

Wtedy wszystko przepadnie!... I kołatajże się dalej, żołnierzu, tułaczu, z obozu do obozu, z bitwy na bitwę, bez dachu na świecie, bez duszy żywej bliskiej. Rozglądam się po wojnie na cztery strony świata, nie wiedząc, gdzie głowę poza cekhauzem złożyć!

Ostatecznie pan Wołodyjowski nie wiedział, co czynić.

Ciasno mu się jakoś uczyniło w pacunelskim dworku i duszno, więc wziął czapkę, by wyjść trochę na drogę i słońca majowego zażyć. W progu natknął się na jednego z ludzi kmińcowych, w niewolę wziętych, którego staremu Pakoszowi przypadł w udziale. Kozak grzał się na słońcu i na bandurze brzdąkał.
— A co ty tu robisz? — zapytał pan Wołodyjowski.

— Hraju, pane — odpowiedział Kozak, podnosząc wynędzianą twarz.
— Zkąd ty jesteś? — pytał dalej pan Michał, kontent, że ma jakowąś w rozmyślaniach przerwę.
— Zdaleza, pane, zpod Wiahla.
— Czemużeś to nie umknął, jako reszta twoich towarzyszów? O, tacy synowie! Darowała was szlachta życiem w Lubiczu, by mieć robocznę, a wyście zaraz poumykali, zaledwie z was łyka zdjęto.
— Ja nie ucieknę. Tu zdechnę, jak sobaka.
— Takżeś tu sobie upodobał?
— Komu lepiej na polu, to umyka, a mnie tu lepiej. Ja miał nogę przestrzeloną, a tu mnie ją obwinęła szlachcianka, starego córka, i dobre słowo rzekła. Takiej ja krasawicy na oczy nie widział... Naco mnie odchodzić?
— Któraż ci tak dogodziła?
— Marysia.
— I ty już ostaniesz?
— Jeśli zdechnę, to i wyniosą, a nie, to ostanę.
— Zali myślisz u Pakosza córkę wysłużyć?
— Nie znamu, pane.
— Pierwiejby takiemu hołyszowi śmierć dał, niż córkę.
— U mnie czerwieńce w lesie zakopane: dwie garści.
— Z rozboju?
— Z rozboju, pane.
— Chocbyś i garniec miał, toś chłop, a Pakosz szlachcic.
— Ja z bojarów putnych.
— Jeśli ty z bojarów putnych, toś gorzej niż chłop, boś zdrajca. Jakżeto mogłeś nieprzyjacielowi służyć?
— Ja mu i nie służył.
— A zdąże was pan Kmiec brał?
— Z gościńca. Ja służył u pana hetmana polnego, ale potem chorągiew rozłazła się, bo nie było co jeść. Do domu nie miałem poko wracać, bo spalony. Innii na gościńce poszli rozbijać, tak i ja z nimi poszedł.

Pan Wołodyjowski zdziwił się mocno, gdyż aż do-
tąd sądził, że pan Kmicic napadł Oleńkę z siłami, pośyczonymi u nieprzyjaciela.
— To pan Kmicic nie od Trubeckiego was dostał?
— Było między nami najwiżej takich, co przedtem u Trubeckiego i Chowańskiego służyli, ale taki od nich zbiegli na gościńce.
— I dlaczego wy za panem Kmicicem poszli?
— Bo on sławny ataman. Nam mówili, że na kogo on krzyknie, żeby za nim szedł, to jakby mu tałarów w mieszk nasypał. Dlatego my poszli. No, Bóg nie poszczęścił!

Pan Wołodyjowski począł głową kręcić i rozmysłać, że jednak tego Kmicica zanadto uczerniono; potem spojrzał na wybladłego bojarczyka i znów głową pokręcił.
— Także ty ją miłujesz?
— Oj! tak, pane!

Pan Wołodyjowski odszedł, a odchodząc pomyślał: Ot! rezolutny człowiek. Ten sobie głowy nie łamał; pokochał i zostaje. Tacy najlepsi... Jeśli naprawdę on z putnych bojarów, to co tenże gatunek, co i zaściankowa szlachta. Jak swoje czerwieńce wygrzebie, może mu stary Marysię odda. A czemu? Bo w palce nie stukał, jeno się zawziął, że ją dostanie. Zawezmu się i ja!

Tak rozmyślając, szedł pan Wołodyjowski drogą po słońcu, czasem stawał i w ziemię oczy wbijał lub je w niebo podnosił; to znów szedł dalej, aż nagle ujrzał lecące po niebie stadko dzikich kaczek.

Wówczas począł sobie z nich wróżyć: jechać, nie jechać?... Wypadło mu, żeby jechać.
— Pojadę, nie może być inaczej!
To rzekłszy, zawrócił do domu; ale po drodze wstąpił jeszcze do stajenki, przed którą dwóch czeladniczków jego w kości grało.
— Syruć, — rzekł pan Wołodyjowski — a grzywa u Basiora zapleciona?
— Zapleciona, panie pułkownikiu!
Pan Wołodyjowski wszedł do stajni. Basior odezwał mu się od drabinki; rycerz zbliżył się, poklepał go po boku, następnie jął liczyć warkocze na karku.
— Jechać... nie jechać... jechać...
Wróżba wypadła znów pomyślnie.
— Konie siodłać i samym się przybrać uczciwie! — zakomenderował pan Wołodyjowski.
Zaczem prędko już poszedł do domu i począł się stroić. Wdziął bóty wysokie, rajtarskie, żółte, z klapkami na podbiciu i złoconem ostrogami, a mundur nowy, czerwony; do tego rapierek w stalowej pochwie, przedni, z gardą złotem przerabianą; do tego pół-pancerzyk z jasnej stali pokrywający tylko wierzchnią część piersi pod szyją; miał i kołpaczek rysy z pięknem piórem czapłem, ale że ten do polskiego tylko ubioru pasował, więc go zostawił w skrzyni, a na głowę wdał hełm szwedzki z czółenkiem i wyszedł przed ganek.
— Gdzie to wasza miłość jedzie? — pyta go stary Pakosz, siedzący na przyzbie.
— Gdzie jadę? Słuszna, abym tej tam waszej panny o zdrowie spytał, bo za grubijaninaby mnie wziąć mogła.
— Od waszej miłości aż łuna bije. Kiep każdy gil! Jużby chyba panna oczu nie miała, żeby się zaraz nie zakochała...
Wtem nadjęgły dwie młodsze panny Pakoszówny, wracające z południowego udoju, każda ze skopkiem w ręku. Ujrzawszy pana Wołodyjowskiego, stanęły jak wryte ze zdziwienia.
— Król, nie król? — rzekła Zonia.
— Wasza miłość jak na wesele! — dodała Maryska.
— Może z tego i wesele być, — zaśmial się stary Pakosz — bo do panny naszej jedzie.
Nim stary skończył, napełniony szkopek wyleciał z rąk Marysi i struga mleka polała się aż pod nogi pana Wołodyjowskiego.
— Uważaj na to, co trzymasz! — rzekł gniewliwie Pakosz — ot, koza!
Marysia nie odrzekła nic, podniosła szkopek i odeszła cicho.
Pan Wołodyjowski siadł na koń, za nim uszykało się dwóch jego czeladniczków i ruszyli trójką ku Wodoktom. Dzień był piękny. Słońce majowe grało na napierśniku i hełmie pana Wołodyjowskiego, tak iż gdy zdaleka migotał między wierzbami, zdawało się, że to drugie słońce posuwa się drogą.
— Ciekaw jestem, czy będę wracał z pierścionkiem, czy arbuzem? — rzekł do siebie rycerz.
— Co wasza miłość mówi? — spytał pachołek Syruć.
— Głupiś!
Pachołek ściągnął napowrót wtył konia, a pan Wołodyjowski mówił dalej:
— Całe szczęście, że to nie pierwszyńca. Ta myśl dodawała mu nadzwyczajnej otuchy. Gdy przybył do Wodoktów, panna Aleksandra
nie poznala go w pierwszej chwili, aż jej musia ł na-
zwisko swoje powtórzyć. Wówczas powitała go uprzej-
mie, ale poważnie i z pewnym przymusem; on zaś
wcale się rzecznie przedstawił, bo choć żołnierz, nie
dworak, długo jednak na różnych dworach przebywał
i między ludźmi się ocierał. Skłonił się jej więc ze
cząci wielką i rękę na sercu położywszy, tak mówił:
— Przybyłem tu o zdrowie waępanny dobro-
dziejki się wywiedzieć, czyli od strachu jakiego szwanku
nie poniosło, co powiniennym był na drugi dzień uczy-
nieć, ale nie chciałem się naprzykrzać.
— Bardzo to pięknie ze strony waszmości, że
ocaliwszy mnie z takiej toni, jeszcześ mnie w pamięci
zachowa... Siadaj waszmość, boś mi wdzięcznym
gościem.
— Moja mościa panno! — odpowiedział pan Mi-
chał. — Gdybym ja o waępannie zapomniał, tedy nie
byłbym godny tej łaski, jaką Bóg na mnie zesłał, po-
zwalając mi tak godną personę sekundować.
— Nie! Jamto winna Bogu dziękować najprzód,
awaszmości zaraz potem...
— Kiedy tak, to już dziękujemy oboje, bo ja o nic
więcej go nie proszę, jeno żebym i nadal mógł bronić
waępanny, ile razy będzie potrzeba.
To rzekłszy, pan Wołodyjowski ruszył wosko-
wanemi wąsikami, które mu wyżej nosa sterczały, bo
kontent był z siebie, że odrazu wszedł in medias res
i swój sentyment jakoby na stole położył. Ona zaś
siedziała zmieszana i milcząca, ale tak piękna, jak
dzień wiosenny. Słabe rumieńce wystąpiły jej na po-
liczki, a oczy nakryła długiemi rzęsami, od których
padały cienie na jagody.
— Dobry znak ta konfuzja — pomyślał pan Wołodyjowski.

I odchrząknąwszy, mówił dalej:
— Waćpanna wiesz, żem ja po jej dziadku laudanckimi ludźmi dowodził?
— Wiem; — odpowiedziała Oleńka — dziaduś nieboszczyk sam na ostatnią wyprawę iść nie mógł, ale okrutnie był rad, słysząc, komu książę wojewoda wileński tę chorągiew oddał, i mówił, że zna waćpana z reputacyj jako sławnego żołnierza.
— Takżeto o mnie mówił?
— Sama słyszałam, jak waści pod niebiosa wynosił, a potem laudanccy ludzie to samo po wyprawie czynili.

— Prosty ja żołnierz, niegodzien, żeby mnie wynosili nietylnko pod niebiosa, ale i wyżej od innych. Wszelako rad jestem, żem dla waćpanny nie zupełne obcy, bo już nie pomyślisz, że ci nieznany i niepewny gość razem z deszczem ostatnim z chmur spadł. Milej to zawsze wiedzieć, z kim się ma do czynienia. Siła ludzi się włońcy, którzy się familiantami powiadają i w godności stroją, a Bóg wie kim są, może często i nie szlachtą.

Pan Wołodyjowski umyslnie tak nakierował rozmowę, aby o sobie mógł powiedzieć, co zacz jest, jakże Oleńka zaraz odrzekła:
— Waćpana o to nikt nie posądzi, bo i tu na Litwie jest szlachta tego samego imienia.

— Ale ci się Ossoryą pieczętuję, a jam jest Korczał Wołodyjowski i my się z Węgier wywodzimy, od pewnego dworzanina Attuli, który dworzanin, ścigany będąc od nieprzyjaciół. ślub Najświętszej Pannie uczy-
nił, iż się z pogańskiej wiary na katolicką nawróci, jeżeli z żywotem ujdzie. Tej obietnicy dotrzymał, gdy trzy rzeki szczęśliwie przebył, te same właśnie, które w herbie nosimy.

— To waćpan nie z tych stron rodem?

— Nie, mościa panno. Ja z Ukrainy, z ruskich Wołodyjowskich i do tej pory mam tam wioszczynę, którą teraz nieprzyjaciel zajął, ale ja wojskowo od młodu służyę, mniej dbając o substancję, niż o despekta ojczyźnie przez postronnych czynione. Służyłem od najmłodszych lat u wojewody ruskiego, naszego nieopłakanego księcia Jeremiasza, z którym też wszystkie wojny odprawowałem. Byłem i pod Machnówką i pod Konstantynowem i zbaraskie wytrzymywałem głody, a po Beresteckiej sam nasz pan miłościwy za głowę mnie ściskał. Bóg mi świadek, mościa panno, że nie przyjechałem się tu chwalić, ale chcę, byś waćpanna wiedziała, żem nie łuszczybochenek żaden, który krzykiem nadrabia, a krwi żałuje, jeno że mi życie w uczciwej służbie zbiegło, w której się trochę sławy uszczynęło, a sumienia niczem nie zbrudziło. Tak mi Panie Boże dopomóż! A oprócz tego mogą to i godni ludzie poświadczyć!

— Żebyto wszyscy byli do waćpana podobni! — westchnęła panna.

— Waćpannie pewnie na myśli stoi ów gwałtownik, który na nią bezbożną rękę śmiał podnieść?

Panna Aleksandra wbila oczy w podłogę i nie odrzekła ani słowa.

— Ma on za swoje, — mówił dalej pan Wołodyjowski — choć mi mówiono, że zdrów będzie, to jednak od kary się nie wywinie. Wszyscy żacni ludzie
go potępili i aż nadto, bo powiadają, że się z nie-
przyjaciolem związał, aby od niego posiłki otrzymać,
co jest niepoważne, gdyż ci ludzie, z którymi wałkpannę
napadł, wcale nie od nieprzyjaciela pochodzą, jeno
z gościńca nazbierani.

— Zkąd to wałkpan wiesz? — spytała żywo panna,
podnosząc na pana Wołodyjowskiego swoje niebie-
skie oczy.

— Od samych tych ludzi. Dziwny to człowiek,
ów Kmiec, bo gdym mu sam zdradzę przed pojedyn-
kiem zadał, tedy nie zaprzeczył, chociaż niesłusznie
go posądził. Pycha widać w nim dyabelska.

— I wałkpan to mówisz wszędy, że on nie zdrajca?
— Nie mówiłem; bom sam nie wiedział, ale te-
raz będę mówił. Toć nie godzi się, choćby na najwię-
kszego wroga, takiego oszczertwa rzucać.

Oczy panny Aleksandry spoczęły po raz wtóry
na małym rycerzu z wyrazem sympatyi i wdzięczności.

— Z wałkpana tak zacny człowiek, tak zacny, jak
rzadko!...

Pan Wołodyjowski zaczął raz poraz ruszać wą-
sikami z ukonwentowania.

— Do rzeczy Michałku! — rzekł do siebie w myśli.
Począł głośno do panny:

— Więcej wałkpannie powiem!... Sposób pana
Kmiecica ganię, ale nie dziwię mu się, że się dobijał
o wałkpannę, przy którejby sama Wenus za dziewczę
służyć mogła. Desperacyjno go popchnęła do złego
uczynku i pewnie raz jeszcze go popchnie, jeśli mu
się sposobność nadarzy. Jakżeto przy tak nadzwyczaj-
nej urodzie sama i bez opieki zostaniesz? Więcej jest
takich Kmíćców na świecie, więcej zapałów wzbudzisz,
na więcej przygód cnotę swą narazisz. Bóg mi zeszła łaskę, iżem mógł cię uwolnić, ale już mnie trąby Grazywa wołają... Ktoż nad tobą będzie czuwał?... Moja mościa panno! posądzą żołnierzy o płohość, ale nieślusznie. I u mnie serce nie ze skały i obojętne na tyle wybornych wdzięków zostać nie mogło...

Tu pan Wołodyjowski upadł na oba kolana przed Oleńką.

— Moja mościa panno! — mówił klęcząc. — Dziedziczyłem chorągiew po twoim dziadku, dozwólże mi i wnuczkę odziedziczyć. Zdaj mnie opiekę nad sobą, dozwól pokosztować słodkości wzajemnego afektu, weź mnie za stałego opiekuna, a będziesz i spokojna i bezpieczna, bo choć odjadę na wojnę, samo imię bronić cię będzie.

Panna zerwała się z krzesła i słuchała ze zdumieniem pana Wołodyjowskiego, a on tak jeszcze mówił dalej:

— Ubogim żołnierz, alem szlachcic i człowiek uczciwy i na to ci przysięgam, że ni na mojej tarczy, ni na mojem sumieniu najmniejszej plamy nie znajdziesz. Grzeszę może pośpiechem, ale i to wyrozumiej, bo mnie ojczyzna woła, której dla ciebie nawet nie odstąpię... Nie pocieszysz mnie? nie dodasz otuchy? nie rzekniesz dobrego słowa?

— Waćpan żądasz ode mnie niepodobieństwa... Na Boga! Nie może to być! — odpowiedziała ze strachem Oleńka.

— Od twojej woli zależy...

— Właśnie dlatego wręcz waćpanu odpowiadam: nie!

Tu panna zmarszczyła brwi.
— Mości panie! winnam ci wiele, nie zapieram. Żądaj, czego chcesz, wszystkom oddać gotowa, prócz ręki.

Pan Wołodyjowski wstał.
— Waćpanna mnie nie chcesz? hę?
— Nie mogę!
— I to ostatnie słowo waćpanny?
— Ostatnie i nieodwołalne.
— A może jeno pośpiech waćpannie się nie podoba? Dajże mnie nadzieję!
— Nie mogę, nie mogę...
— Niemasz tedy tu dla mnie szczęścia, jako go i gdzieindziej nie było! Moja mościa panno, nie ofiarujże mi zapłaty za usługę, bom nie po nią przyjechał, a żem ręki prosił, to nie za zapłatę, jeno po dobrej woli: Gdybyś mi rzekła, że ją oddajesz, bo musisz, to takżebym nie przyjął. Jak niema woli, to niema i doli. Wzgardziłaś mną... bodaj ci się nikt gorszy nie trafił. Wychodzę z tego domu, jak i wszedłem... jeno że nie powrócę więcej. Za nic mnie tu mają. Niech i tak bęź dzie. Bądźże szczęśliwa choćby z tym samym Kmiciem, boś może właśnie o to gniewna, żem między was szablę włożył. Kiedy on ci lepszy, toś ty istotnie nie dla mnie.

Oleńka chwyciła się rękoma za skronie i powtórzyła kilkakrotnie:
— Boże, Boże, Boże!

Ale ta jej boleść nie przejednała pana Wołodyjowskiego, który skłoniwszy się, wyszedł zły i gniewny; poczemu zaraz siadł na koń i odjechał.
— Noga moja więcej tam nie postoi — rzekł głośno.
Pachołek Syruć, jadący z tyłu, przysunął się zaraz.
— Co wasza mość mówi?
— Głupiś! — odpowiedział pan Wołodyjowski.
— To już mnie wasza mość powiedział, jakeśmy w tamtą stronę jechali.
Nastąpiło milczenie; poczem pan Michał znowu mruczeć począł:
— Niewdzięcznością mnie tam nakarmiono... Wzgardą za afekt zapłacono... Przyjdzie chyba do śmierci w kawalerstwie służyć. Tak już napisano. Jechała się taki los!... Co rusz, to rekuza... Niemal sprawiedliwości na tym świecie!... Co ona sobie przeciw mnie upatrzyła?
Tu pan Wołodyjowski zmarszczył brwi i począł silnie pracować głową; nagle uderzył się dłonią po nodze.
— Wiem już! — zakrzyknął — ona tamtego jeszcze miłęje... nie może inaczej być.
Ale ta uwaga nie rozjaśniła mu twarzy.
— Tem ci też gorzej dla mnie, — pomyślał po chwili — bo jeśli ona go po tem wszystkiem jeszcze miłęje, to i nie przestanie go miłować. Co miał uczynić najgorszego, to już uczynił. Na wojnę ruszy, sławy nabędzie, reputacją poprawi... I nie przystoi mu w tem przeszkadzać... raczej trzeba dopomóc, bo to dla ojczyzny korzyść... Ot, co jest! żołnierz on dobry... Ale czem ja tak skaptował? kto zgodnie... Inni mają już takowe szczęście, że byle na niewiastę spojrzał, ta i w ogień za nim gotowa... Żeby tak wiedzieć, czem się to dzieje, albo jakowego inklusa dostać, możeby i człowiek co wskórał. Zasługą do niczego z białogłową
nie dojdziesz! Dobrze powiedział pan Zagłoba, że liszka a niewiasta to najzdradliwsze stworzenie na święcie. A taki żal mi, że wszystko przepadło! Okrutnie to gładka podwika i cnotliwa, jak powiadają. Ambitne to widać, jak licho... Kto to wie, czy ona za niego pójdzie, chociaż go miluje, bo ją ciężko zawiódł i obraził... Przecie on mógł spokojnie do niej dojść, a wolał się warcholić... Gotowa się całkiem wyrzec i zamążpójścia i dzieci... Mnie ciężko, ale i jej niebodzie może jeszcze ciężej...

Tu pan Wołodyjowski rozczuł się nad dolą Oleńki i począł głową kręcić, ustami cmokać, wreszcie rzekł:

— Niech jej tam Bóg sekunduje! Nie mam do niej urazy! Nie pierwsza to dla mnie rekuza, a dla niej pierwsza boleść. Niebożątko ledwie zipie od trosków, jeszcze, jak jej oczy wykłóc tym Kmicicem i do reszty żółcią napoił. Nie godziło mi się tego czynić i naprawi wypada. Bodaj mnie kule były, bom pogrubiśnię stą posąpili. Napiszę do niej list, ażeby odpuściła, a potem w czem będę mógł, to i pomogę.

Dalsze rozmyślania pana Wołodyjowskiego prze-rwał pachołek Syruć, który przysunąwszy się znów, rzekł:

— Proszę waszej mości, tożto tam na górze pan Charłam w kimś drugim jedzie.
— Gdzie?
— A ot, tam!
— Prawda, że dwóch jeźdźców widać, ale pan Charłam został się przy księżu wojewodzie wileńskim. Po czemże ty go z tak daleka poznajesz?
— A po bułance. Dyć ją całe wojsko zna.
— Jakże żywo, że konia widać bułanego... Ale może być inny.
— Kiedy ja i chód jej poznaję... Już to pan Charlamp z pewnością.

Popędził obaj konie, a jadący naprzeciw uczynili toż samo i wkrótce pan Wołodyjowski poznął, że to istotnie pan Charlamp nadjeżdża.

Był to porucznik piatyhorskiej chorągwi litewskiego komputu, dawny znajomy pana Wołodyjowskiego, stary żołnierz i dobry. Niegdyś wadzili się mocno z małym rycerzem, ale potem, służąc razem i wojny odbywając, polubili się wzajemnie. Pan Wołodyjowski poskoczył tedy żywo i otworzywszy ręce, wołał:

— Jakże się miewasz, Nosaczu?! Zkądżeś się tu wziął?

Towarzysz, który istotnie na przezwisko Nosacza zasługiwał, bo nos miał potężny, wpadł w objęcia pułkownika i witali się radośnie; poczem odsapnąłwszy, rzekł:

— Do ciebie umyslnie przyjechał z ekspedycją i z pieniędzmi.
— Z ekspedycją i z pieniędzmi? A od kogo?
— Od księcia wojewody wileńskiego, naszego hetmana. Przysyła ci list zapowiedni, abyś zaraz zaczął zaciągnąć czynić i drugi dla pana Kmicica, który też się ma w tej okolicy znajdować.
— I dla pana Kmicica?... Jakże to we dwóch będziemy w jednej okolicy zaciągali?
— On ma jechać do Troków, a ty masz zostać w tej okolicy.
— Zkądżeś to wiedział, gdzie mnie szukać?
— Sam pan hetman pilnie o ciebie wypytywał, aż
mu ludzie tutejsi, którzy tam jeszcze służą, powiedzieli, gdzie cię znaleźć i ja jechałem napewno... W wielkich tam zawsze jesteś faworach!... Słyszałem księcia naszego pana, jak sam mówił, że nie spodziewał się po wojewodzie ruskim niczego odziedziczyć, a tymczasem największego rycerza odziedziczył.

— Dałby mu Bóg i szczęście wojenne odziedziczyć... Wielki to dla mnie honor, że mam zaciąg czynić i zaraz się do tego wezmę... Ludzi wojennych tu nie brak, byle było za co ich na nogi postawić. A pieniędzy siła przywiozłeś?

— Jak przyjedziesz do Pacunelów, to policzysz.

— Toś i do Pacunelów już trafił? Strzeż się jeno, bo tam ładnych dziewcząt, jak maku w ogrodzie.

— Dlatego i pobyt ci tam smakował!... Czekajże, mam i drugi list prywatny hetmana do ciebie.

— To dawaj!

Pan Charłamp wyjął pismo z małą pieczęcią radziwiłłowską, a pan Wołodyjowski otworzył i zaczął czytać:

„Mości panie pułkowniku Wołodyjowski!

„Znając szczerość waępana służenia ojczyźnie intencją, posyłam ci list zapowiedni, abyś zaciąg czynił, i nie tak, jako się zwyczajnie czyni, ale z pilnością wielką, bo periculum in mora. Chceszli nas uradować, to niechże chorągiew na koniec lipca, najdalej na pół sierpnia, będzie już na nogach i do pochodu gotowa. Klępotliwo nam to, zkaż waszmość koni dobrych weźmiesz, zwłaszcza, że pieniędzy posyłamy skąpo, gdyż więcej na panu podskarbiem, po staremu nam nieprzyjaznym, nie mogliśmy wydąć. Połowę z tych pieniędzy panu Kmiecowi j. m. p. oddaj, dla którego pan Charłamp także
list zapowiedzi wiezie. Spodziewamy się po nim, iż gorliwie nam w tem usługi. Ale że uszu naszych doszła wieść o jego swawolah w Upickiem, tedy najlepiej wąć: pan list dla niego przeznaczony od Charlampa odbierz i sam uznaj, czy mu go oddać. Jeślibyś uważał zbytnie na nim gravamina, hańbę czyniące, tedy nie oddawaj: obawiamy się bowiem. aby nieprzyjaciele nasi, jako pan podskarbi i pan wojewoda witebski, krzyków nie podnieśli, że podobne funkcje niegodnym osobom powierzamy. Gdybyś jednak uznawszy, że tam nic wielkiego niema list oddał, niechże się Kmiecic stara największą w służbie usilnością winy swe zmazać, a na żadne terminy w sądach nie staje, bo on do naszej hetmańskiej należy inkwizyci i my go sądzić będziemy, nikt innym, ale po funkcji spełnionej. Polecenie to nasze uważaj wmość zarazem za dowód zaufania, jakie w rozumie i wiernych służbach wmości pokładamy.

Janusz Radziwiłł,

Książe na Birżach i Dubinkach, Wojewoda Wileński.

— Okrutnie się tam pan hetman o konie dla ciebie troszczy — rzekł pan Charlamp, gdy mały rycerz skończył czytać.


— To dobre konie, znam ja je zdawna, okrutnie wytrwałe i zwrotne.

— Ba! — rzekł pan Wołodyjowski — ale urody malej a lud tutejszy rośli. Jak ci na takich koniach w szyku staną, to rzekłbyś: chorągiew na psach siedzi.
Ot, kłopot!... Wezmę ja się gorliwie do roboty, bo i samemu mi pilno. Zostawże mnie list zapowiedni do Kmicica, jako pan hetman nakazuje, sam mu go oddam. Bardzo mu w porę przyszedł.

— A czemu?
— Bo tu tatarską modą sobie poczynał i panny w jasyr brał. Tyle nad nim procesów i terminów, ile ma włosów na głowie. Niemaw tygodnia, jak się z nim w szable biłem.
— E! — rzekł Charłamp — jeśli ty się z nim w szable bił, to on teraz leży.
— Ale już się ma lepiej. Za jaki tydzień, dwa, zdrów będzie. Co tam słychać de publicis?
— Żle, postaremu... Pan podskarbi Gosiewski zawsze z naszym księściem w emulacyi, a jak hetmani niezgodni, to i sprawy ładem nie idą. Przecie trochęśmy się poprawili, i tak myślę, że byle zgody, to sobie z tym nieprzyjacielskim radą damy. Bóg pozwoli, że jeszcze na ich karkach pojedziemy aż do ich państwa. Wszystkimu winien pan podskarbi!
— A inni powiadają, że właśnie hetman wielki.
— To zdrajcy. Wojewoda witebski to tak powiada, bo oni się zdawna z panem podskarbim powąchali.
— Wojewoda witebski zacny obywatel.
— Zali i ty po sapieżyńskiej stronie przeciw Radziwillom stoiś?
— Ja stoję po stronie ojczyzny, po której wszyscy stać powinni. W tem to i zło, że się nawet i żołnierze na strony dzielim, zamiast bić. A że Sapieha zacny obywatel, tobym i przy samym księściu powiedział, chociaż pod nim służę.
— Próbowali ludzie godni zgodę czynić, ale to na
nic! — rzekł Charłamp. — Okrutnie teraz posłańcy od króla do naszego księcia latają... Mówią, że coś się tam nowego na świecie kluje. Spodziewaliśmy się pospolitego ruszenia z królem jegomością — nie przyszło! Powiadają, że gdzieindziej może być potrzebne.

— Chyba na Ukrainę.

— Bo ja wiem! Jeno raz Brochwicz porucznik powiadał, co na własne uszy słyszał. Przyjechał od króla Tyzenhauz do naszego hetmana i coś tam, zamknąwszy się, długo z sobą gadali, czego Brochwicz nie mógł udo-wić, ale gdy wychodzili, tedy na własne uszy, powtarzam, słyszał, jak pan hetman mówił: „Z tego może być nowa wojna“. Okrutnieśmy tam wszyscy w głowę zachodziły, co to mogło znaczyć.


— Nie mogliśmy teź i my niczego dociec!

— Bo i nic nie było. Ale ja chwalię Boga, że mam nową robotę. Już mi się i tępko czyniło za wojną.

— To ty chcesz sam list zapowiedni Kmicicowi zawiążeć.

— Przeciem ci mówił, że pan hetman tak nakazuje. Wypadnie mi Kmicica odwiedzić, jako kawalerski jest zwyczaj, a mając list, będę miał lepsze jeszcze zamówienie. Czy mu list oddam, to inna rzecz; namięśle się, bo to woli mojej zostawiono.

— Mnie to i na rękę, ile że mi w drogę pilno. Mam i trzecie zapowiednie pismo do pana Stankiewicza;
potem do Kiejdan kazano mi jechać, armatę, która tam przyjedzie, odebrać; potem do Birż obaczyć, czy wszystko gotowe w zamku do obrony.

— I do Birż?
— Tak jest.
— To mi i dziwno. Żadnych nowych wiktoryj nieprzyjaciel nie otrzymań, więc mu i do Birż, na kurlandzką granicę daleko. A że, jako widzę, nowe chorągwie stawią na nogi, więc będzie komu bronić nawet i tych krajów, które już pod moc nieprzyjacelską wpadły. Kurlandczycy przecież o wojnie z nami nie myślą. Dobrzy to żołnierze, ale ich mało i sam tylko Radziwiłł mógłby ich jedną ręką przydusić.

— I mnie to dziwno — odpowiedział Charłamp — tem bardziej, że mi także pośpiech zalecono i taką dano instrukcją, iżbym, jeśli co znajdę nie w porządku, zaraz księciu Bogusławowi dawał znać, który Petersona inżyniera ma przysłać.

— Coby to mogło być?! Oby się tylko na jaką wojnę domową nie zanosiło. Niechże nas Bóg od tego strzeże! Już jak tam tylko księże Bogusław do roboty wchodzi, to dyabłu będzie z tego uciecha.

— Nie mów na niego nic. To mężczy pan!
— Nie neguję ja mu mężstwa, ale więcej w nim Niemca, czyli jakowegoś Francuza, niż Polaka... I o Rzeczpospolitą zgoła nie dba, jeno o dom Radziwiłłowski, żeby to go jak najwyższej wynieść, a wszystkich innych poniżyć. Onto i w księciu wojewodzie wileńskim, naszym hetmanie, pychę podnieca, której mu i bez tego nie brak i owe kłotnie z Sapiehami i Gosiewskim, jego to sadzenia drzewa i frukta.

— Wielki z ciebie, jak widzę, statysta. Powinie-
neś się, Michałku, coprędzej ożenić, żeby taki rozum nie przepadł.

Wołodyjowski spojrzał przeciągle na towarzysza.
— Ożenić?... Hę?
— Juści! A może ty tu gdzie w konkury jeździsz, boś widzę strojny, jak na paradę.
— Dałbyś spokój!
— Ej, przyznaj się...
— Każdy niech swoje arbuzy zjada, a ty o cudze nie pytaj, boś też niejednego dostał. Właśnie też czas teraz o ożenku myśleć, gdy mam zaciąg na głowie.
— A będziesz na lipiec gotowy?
— Na koniec lipca będę, choćbym miał konie zpod ziemi wykopać. Bogu dziękuję, że mi ta robota przyszła, bo inaczej byłaby mnie melankolia zjadła.

Jakoż wieści od hetmana i widoki pracy ciężkiej wielką sprawiły panu Wołodyjowskiemu ulgę i nim dojechali do Pacunelów, prawie nie myślał już o konfuzji, jaka go przed godziną spotkała. Wieść o liście zapowiednim szybko się rozleciała po całym zaścianku. Przyszła zaraz szlachta pytać czy prawda, a gdy pan Wołodyjowski potwierdził, wielkie to uczyniło wrażenie. Ochota była powszechna, lubo turbowali się niektórzy, że to w końcu lipca, przed żniwami, trzeba będzie wyruszyć. Pan Wołodyjowski rozesał też gońców i do innych okolic, i do Upity, i do znaczniejszych domów szlacheckich. Wieczorem przyjechało kilkunastu Butrymów, Stakjanów i Domaszewiczów.

Dopieroż poczęto się zachęcać wzajem i coraz większą okazywać ochotę i odgrażać się na nieprzyjaciół i zwycięstwa sobie obiecywać. Jedni tylko Butrymowie milczeli, ale im tego za złe nie brano, bo wiadomo było,
że jak jeden człowiek stanął. Nazajutrz zawrzało we wszystkich zaściankach, jak w ulach. Ludzie nie gadali już o panu Kmicicu, ni o pannie Aleksandrze, tylko o przyszłej wyprawie. Pan Wołodyjowski z serca także odpuścił Oleńce rekuzę, pocieszając się przytem myślą, że to nie ostatnia, jako i afekt nie ostatni. Tymczasem namiślał się trochę, co ma z listem dla Kmicica uczynić.
ROZDZIAŁ IX.

Zaczęły się tedy dla pana Wołodyjowskiego czasy ciężkiej pracy, rozpisywania listów i rozjazdów. Następnego tygodnia przeniósł się już na rezydencję do Upity i tam zaczął rozpocząć. Sypała się do niego szlachta chętnie, większa i mniejsza, bo sławę miał głośną. Szczególnie jednak szli laudańscy, którym konie trzeba było obmyślać. Kręcił się też pan Wołodyjowski, jak w ukropie, ale że był obrotny i trudów nie żałował, szło mu dość sporo. W tymże czasie odwiedził i pana Kmicicę w Lubiczu, który znacznie już do zdrowia przyszedł i chociaż z łóżka jeszcze nie wstawał, wiadomo już było, że zdrów będzie. Widocznie, o ile pan Wołodyjowski miał szablę ciężką, o tyle rękę lekką.

Poznał go pan Kmicic natychmiast i przybladł trochę na jego widok. Ręką nawet mimowoli do szabl piszącej nad łóżem sięgnął, ale ochlonąwszy, widząc uśmiech na twarzy gościa, wyciągnął ku niemu wybudłą dłoń i rzekł:

— Dziękuję waszności za odwiedziny. Godna to takiego kawalera polityka.

— Przyjechałem spytać, czy waż urazy do mnie nie chowasz? — spytał pan Michał.
— Urazy nie chowam, bo mnie nie lada kto zwy-
ciężył, ale gracz pierwszej wody. Ledwie, żem się wy-
lizał.
— A jakie zdrowie waszmościne?
— Waćpanu dziw pewno, żem zpod jego ręki żyw wyszedł? Sam też sobie przyznaję, że niemała to sztuka.

Tu pan Kmicic uśmiechnął się:
— No, nie stracona sprawa. Dokończysz mnie, kiedy zechcesz!
— Wcale nie w tym zamiarze tu przyjechałem..
— Chybaś waszmość dyabeł — przerwał Kmicic — albo masz inkluza. Bóg widzi, daleko mi teraz do samo-
chwałstwa, bo z tamtego świata wracam, alem to sobie przed spotkaniem waćpana zawsze myślał: jeżeli nie pierwszy w Rzeczypospolitej na szable, tom drugi. Tym-
czasem — niesłychana rzecz! Toż jabym pierwszego cię-
cia nie odbił, gdybyś waćpan chciał. Powiedz mi, gdzieś się tak wyuczył?
— Miało się trochę przyrodzonych zdolności — odrzekł pan Michał i ojciec od małego wkładał, który nieraz mi mówił: „Dał ci Bóg nikczemną postać, jeśli się ludzie nie będą ciebie bali, to się będą z ciebie śmiały“. Potem też u wojewody ruskiego w chorągwi służąc, douczyłem się reszty. Było tam kilku mężów, którzy śmiało mogli mi stawić czoło:
— Aza mogli być tacy.
— Mogli, bo byli. Był pan Podbiępta, Litwin, wielki familiant, który w Zbarażu poległ. Panie święć
nad jego duszą: człowiek tak olbrzymiej siły, że mu się
niepodobna było zastawić, bo mógł przeciąć zastawę
i przeciwnika. Potem był jeszcze i Skrzebski, przyja-
ciel mój serdeczny i konfident, o którym waszę musia-leś słyszeć.

— Jakże! Onto ze Zbaraża wyszedł i przez Ko-zaków się przedarł. Kto o nim nie słyszał!... To waść z takiej sfory? i zbaraszczyk?... Czołem! Czo-łem! Czekajże!... przecie i ja o waćpanu u wojewody wileńskiego słyszałem. Wszak waszmości Michał na imię?

— Właściwie, to ja jestem Jerzy Michał, ale że święty Michał całemu komunikowi niebieskiemu prze-wodzi, i tyle już nad piekielnimi chorągwiami odniósł wiktoryj, przeto jego wolę mieć za patrona.

— Pewnie, że Jerzemu nie równać się z Michae-łem. Tosto waćpan ten sam Wołodyjowski, o którym powiadano, że Bohuna usielen?

— Jam jest.

— No, od takiego nie żał po łbie dostać. Dałby Bóg, żebyśmy przyjaciołmi mogli zostać. Waćpanto mnie wprawdzie zdrając okryknąłeś, aleś się w tem pomylił.

To rzekłszy, pan Kmicić ściągnął brwi, jakby go rana nanowo zabolała.

— Przyznaję, żem się pomylił, — odrzekł pan Wołodyjowski — ale nie od waćpana o tem dopiero się dowiaduję, bo mi to już ludzie twoi powiadali. I wiedz waszmość o tem, że inaczej nie byłbym tu przyjeżdżał.

— Już ostrzyli, bo ostrzyli tu na mnie języki! — mówił z goryczą Kmicić. — Niech będzie co chce. Nie-jedna jest kreska na mnie, przyznaję, ale też i w tej okolicy ludzie niewdzięcznie mię przyjęli...

— Waść sobie najwięcej zaszkodziłeś tem spale-niem Wołmontowicz i ostatnim raptem.

— To też mnie procesami gnębią. Leżą już u mnie
terminy do sądów. Choremu przyjść do zdrowia nie Dadzą. Spaliłem Wołmontowicze, prawda, i ludzi coś się wysiekło; niechże mnie jednak Bóg sądzi, jeśli to ze swawoli uczyniłem. Tej samej nocy, przed spaleniem ślub sobie zrobiłem, żyć ze wszystkimi w zgodzie, zje-dnać sobie owych tutejszych szaraczków, załagodzić nawet łyczków w Upicie, bo tam istotnie podswawo-liłem. Wracam tedy do dom i cóż zastaję? Oto moich kompanionów porznietych jak woły, leżących pod ścianą! Gdy się dowiedział, że to Butrymowie uczynili, wtedy dyabei we mnie wstąpił... i zemściłem się srogo... Czy waść uwierzy, za co ich porznio?... Sam się o tem później dowiedziałem od jednego z Butrymów, którego w lasach napadłem: oto za to, że potańcować w karczmie z szlachciankami chcieli... Ktoby się nie mścił?


— Niebożęta! — mówił Kmicic, idąc za swoją myślą — gdym teraz oto w gorączce leżał, co wieczora wchodził temi oto drzwiami, z tamtej oto izby... Wi-działem ich koło łóża, jako na jawie, sinych, zbitych, a ciągle jęczeli: „Jędrusi! daj na mszę za nasze dusze, bo mężki cierpimy!” To, mówię waści, włosy mi na głowie powstawały, bo i siarką od nich w izbie pa-chniało... Na mszę już dałem, obym to co pomogło!

Nastała chwila milczenia.

— A co do raptu, — mówił dalej Kmicic — wać-panu o tem nikt nie mógł powiedzieć, że ona ocaliła
mi naprawdę życie, gdy mnie szlachta ścigała, ale potem kazała iść precz i nie pokazywać się na oczy. Co mi wówczas pozostało?!
— Zawsze to tatarski był sposób.
— Chyba waćpan nie wiesz, co jest afekt, i do jakiej desperacyi człowiek przyjść może, gdy to, co najwięcej umiłował, utraci.
— Ja nie wiem co jest afekt? — zakrzyknął z oburzeniem pan Wołodyjowski. — Od czasu jak szablę począłem nosić, zawsze byłem zakochany... Prawda, że się subiectum zmieniało, bo nigdy mi wzajemnością nie wypłacono. Gdyby nie to, nie byłoby wierniejszego nademnie Troila.
— Jaki tam i afekt, gdy się subiectum zmienia — rzekł Kmicic.
— Tedy waśni powiem co innego, na co własnymi oczynami patrzyłem. Oto pierwszego czasu Chmielnicki czynny, Bohun, ten sam, który dziś po Chmielnickim największą cieszy się między Kozactwem powagą, porwał Skrzetuskiemu umiłowaną nad wszystko dziewczę, kniaziowną Kurcewiczównę. To był dopiero afekt! Całe wojsko płakało, widząc Skrzetuskiego desperacją, bo mu broda w dwudziestym którymś roku życia zbielała, a on zgodnej waść co uczynił?
— Zkąd mam wiedzieć!
— Oto, że ojczyzna była w potrzebie, w poniżeniu, że okrutny Chmielnicki tryumfował, więc on wcale nie poszedł dziewczki szukać. Bolesć Bogu ofiarował i bił się we wszystkich bitwach pod księciem Jeremim, aż pod Zbarażem tak nadzwyczajną chwałą się okrył, że dziś imię jego wszyscy ze części powtarzają. Przyłożyć waćpan teraz jego uczynek do swojego i poznaj różnicę.
Kmicic milczał i gryzł wąsy, Wołodyjowski mówił dalej:

— To też Skrzetuskiego Bóg wynagrodził i dzie-wkę mu oddał. Zaraz po Zbarażu się pobrali i już troje dzieci spłodził, chociaż on służyć nie przestał. A waszmość, zamieszki czyniąc, pomagałeś tem samem nieprzyjacielowi i małoż żywota nie utracił, nie mówić o tem, że przed paru dniami mogłeś pannę na zawsze utracić.

— Jakim sposobem? — rzekł, siadając na łóżku Kmicic — co się z nią dzieło?

— Nic się nie działo, jeno znalazł się mąż, który ją o rękę prosił i za żonę chciał pojąć.

Kmicic pobał bardzo, zapadnięte jego oczy poczęły ciskać płomienie. Chciał wstać, zerwał się nawet na chwilę i krzyknął:

— Kto był ten wraży syn? Na żywy Bóg, mów waszmość!

— Ja — rzekł pan Wołodyjowski.

— Waćpan? waćpan? — pytał ze zdumieniem Kmicic. — Jakto?...

— Tak jest.

— Zдраjco! nie ujdzie ci to!... I ona?... na żywy Bóg, mów już wszystko!... ona cię przyjęła?

— Odpaliła z miejsca i bez namysłu.

Nastała chwila milczenia. Kmicic oddychał ciężko i oczyma wpijał się w Wołodyjowskiego, ten zaś rzekł:


— Postaramu jedenby z nas to krwią zapiecę—
towarz. Nie szabłą, to z rusznicy bęzym waćpana ustrzelili i niechby mnie dyabli potem wzięli.

— Chybabyś mnie z rusznicy zastrzelili, bo gdyby mnie nie była odpaliła, to bęzym i pojedynku drugiego nie przyjął. Poco miałbym się bić? A wiesz czemu mnie odpaliła?

— Czemu? — powtórzył jak echo Kmiecic.

— Bo ciebie miłuje.

Było to więcej, niż słabe siły chorego znieść mogły. Głowa Kmiecica opadła na poduszki, na czoło wystąpił mu pot obfito i leżał czas jakiś w milczeniu.

— Okropnie mi się — rzekł po chwili. — Zkądże... to waść wiesz, że ona... mnie miłuje?

— Bo mam oczy i patrzę, bo mam rozum i miarkuję; teraz zwłaszcza, gdym rekuzę dostał, zaraz mi się w głowie rozjaśniło. Najprzód tedy, gdym po pojedynku przyszedł jej powiedzieć, że jest wolna, bom waćpana usiękł, wnet ją zamroczyło i zamiast wdzięczności mi okazać, całkiem mnie sposponowała; powtórę: gdy cię tu Domaszewicze dźwigali, to ci głowę, jak matka unosiła, a potrzebie, že gdym się jej oświadczył, tak mnie przyjęła, jakoby mi kto w pysk dał. Jeśli te racje waćpanu nie wystarczają, to chyba dla tego, žeś przez rozum zacięty i na umyśle szwankujesz.

— Gdyby to była prawda! — odrzekł słabym głosem Kmiecic — tedy mi tu różne maści na rany przykładają... ale nie byłoby lepszego balsamu od słów waszmości.

— Zdajcaże ci to taki balsam przykłada?

— Przebacz już waść. W głowie mi się takie szczęście nie mieści, żeby ona mnie jeszcze chciała.
— Powiedziałem, że waćpana miłuje, nie powiedziałem, że cię zechce... To weale co innego.
— Jeśli mnie nie zechce, to sobie ten łeb o ścianę rozbiję. Inaczej być nie może.
— Mogłoby być, gdybyś waćpan miał szczerą intensywią zmazania win. Teraz wojna, możesz iść, możesz posługi znaczne miłej ojczyźnie oddać, mąstwem się wsławić, reputacją połatać. Któżto jest bez grzechu? Kto nie ma win na sumieniu? Każdy ma... Ale do pokuty i poprawy każdemu otwarta droga. Waść grzeszyłeś swawolą, to jej odtąd unikaj; grzeszyłeś przeciw ojczyźnie, zamieszki w czasie wojennym czyniąc, to ją teraz ratuj; czyniłeś krzywdy ludziom, to je nagródź... Ot, droga dla waszmości lepsza i pewniejsza, niż rozbijanie sobie łba.

Kmicic patrzył uważnie na Wołodyjowskiego, potem rzekł:
— Waćpan mówisz, jak mój szczerzy przyjaciel.
— Nie jestem waćpana przyjacielem, ale po prawdzie nie jestem i nieprzyjacielem, a tej panny mnie żał, chociaż mnie odpaliła, bom jej też słowo ostre rzekł na odjezdnym. Od rekuzy się nie powieszę, nie pierwszyma mi, a uraz nie zwykłm chować. Jeżeli więc waćpana na dobrą drogę namówię, to będzie także moja względem ojczyzny zasługa, boś żołnierz dobry i doświadczony.
— Zali mnie czas jeszcze na tę drogę wracać? Tyle terminów na mnie czeka! Z loża trzeba do sądu zaraz... Chybachym ztąd uciekał, a tego nie chcę. Tyle terminów! A co sprawa, to i wyrok pewny na potępienie.
— Ot, tu jest na to lekarstwo! — rzekł pan Wołodyjowski, wydobywając list zapowiedni.
— List zapowiedni! — wykrzyknął Kmicic — dla kogo?
— Dla waćpana! Nie potrzebujesz do żadnych sądow stawać, bo do hetmańskiej inkwizycji należysz; słuchaj zaś, co książę wojewoda mi pisze.

Tu pan Wołodyjowski odczytał Kmicicowi prywatny list Radziwiłła, odetchnął, ruszył wąsikami i rzekł:
— Owój, jak waćpan widzisz, ode mnie zależy, albo ci list zapowiedni oddać, albo go schować.

Niepewność, trwoga i nadzieja odbiły się na twarzy Kmicica.
— A waćpan co uczynisz? — spytał cichym głosem.
— A ja waszmości list oddaję — rzekł pan Wołodyjowski.

Kmicic nic zrazu nie odrzekł, głowę spuścił na poduszkę i patrzył czas jakiś w pułap. Nagle oczy poczęły mu wilgotnieć i goście nieznani w tych oczach, łzy, zawisły na ręsach.
— Niechże mnie końmi rozerwać! — rzekł wreszcie — niech mnie ze skóry obłuszcza, jeśli ja widział zacniejszego człowieka od waszmości... Jeśli przeze mnie rekuzę dostał, jeśli mnie Oleńka, jak powiadasz, miłuje, inny tem bardziejby się mścił, tem głębiej mnie pogrążył... A waszmość mi rękę podajesz i jako z grobu mię wyciągasz!

— Bo nie chcę dla prywaty, ojczyzny miłej poświęcać, której waszmość znaczne jeszcze posługi możesz oddać. Ale to waszmości powiem, że gdybyś był owych Kozaków od Trubeckiego albo Chowańskiego pożyczył, tedybym list zatrzymaś. Całe to szczęście, żeś tego nie uczynił!

Potop. T. I.
— Przykład, przykład z waępana innym brać! — odrzekł Kmiecic. — Dajże mi rękę. Bóg mi pozwoli czem dobrem się waszmości wypłacić, boś mnie na śmierć i życie zobowiązał.

— To i dobrze, potem o tem! A teraz... uszy waszmość do góry! Nie trzeba ci do żadnych sądów stawać, jeno do roboty się brać. Zasłużysz się ojczyźnie, to ci i ta szlachta odpuści, bo to ludzie na honor ojczyzny bardzo czuli... Możesz jeszcze winy zmazać, reputację odzyskać i w sławie, jak w słońcu chodzić, a już tam znam jedną pannę, która ci nagrodę za życia obmyślę.

— E! — zakrzyknął z uniesieniem Kmiecic — co ja tu będę w łożu gnić, gdy nieprzyjaciel ojczyznę depcze. Hej! jest tam który? sam tu! pachołek, bóty podawaj!... Sam tu! Niechże mnie piorun w tych betach ustrzel! jeśli będę dłużej w nich parcial!

Uśmiechnął się na to z zadowoleniem pan Wołodyjowski i rzekł:

— Duch w wąść od ciała silniejszy, bo ciało jeszcze ci nie dopisze.

To rzekłszy, począł żegnać się, a Kmiecic nie puszczał, dziękował i winem chciał traktować.

Jakoż dobrze już miało się ku wieczorowi, gdy mały rycerz opuścił Lubicz i do Wodoktów podążył.

— Najlepiej ją za ostre słowo nagrodzę, — mówił sam do siebie — gdy jej powiem, że Kmiecic nietylnko z łoża, ale i z niesławy powstaje... Nie doszczętną to jeszcze zepsuty człowiek, jeno gorzączka wielki. Okrutnie ją też pocieszę, i tak myślę, że mnie teraz lepiej przyjmie, niż wtedy, gdym jej samego siebie ofiarował...

Tu westchnął poczciwy pan Michał i mruknął:
— Żeby to wiedzieć, czy jest jaka na świecie i dla mnie przeznaczona?
Wśród podobnych rozmyślania dojechał do Wodoktów. Kudłaty Żmudzin wybiegł do kołowrotu, ale nie spieszył się otwierać, jeno rzekł:
— Dziedziezki niemasz w domu.
— To wyjechała?
— A wyjechała.
— Gdzie?
— Kto ją wie?
— A kiedy wróci?
— Kto ją wie!
— Gadajże połudzku. Nie mówiła kiedy wróci?
— Bogdaj wcale nie wróci, bo z wozami wyjechała i z tobołami. Z tego miarkujemy, że daleko i na długo.
— Tak? — mruknął pan Michał. — Ot! com najlepszego sprawił!...
ROZDZIAŁ X.

Zwyczajnie, gdy cieplejsze promienie słońca poczynają przedzierać się przez zimową chmurę oponę i gdy pierwsze pędy ukazują się na drzewach, a zielona ruń zbóż kiełkuje na wilgotnych polach, wstępuje i lepsza nadzieja w serca ludzkie. Ale wiosna 1655 roku nie przyniosła zwykłej pociechy dla strapych w Rzeczypospolitej ludzi. Cała jej wschodnia granica, od północy aż po dzikie pola na południu, była opasana jakby wstęgą ognistą i wiosenne ulewy nie mogły pogasić pożaru, owszem wstęga ową stawała się coraz szerszą i coraz rozleglejsze zajmowała kraje. A oprócz tego na niebie pojawiły się znaki złej wróżby, zwiastujące większe jeszcze klęski i nieszczęścia. Raz wraz z chmur, przeleciających niebiosa, tworzyły się jakoby wieże wysokie, jakoby flanki forteczne, które następnie zawalały się z łoskotem. Pioruny były w ziemię, jeszcze śniegiem pokrytą, lasy sosnowe żółtły, a gałęzie drzew skręcały się w dziwne, chorobliwe kształty; zwierzęta i ptaki padały od jakiejś nieznanej choroby. Nakoniec dostrzeżono i na słońcu plamy niezwykłej, mające kształt ręki jabłko trzymającej, serca przebitego i krzyża. Umysły trwożyły się coraz bardziej, a zakonnicy gubili
się w dociekaniach, coby owe znaki mogły znaczyć. Dziwna jakaś niespokojność ogarniała wszystkie serca.

Przepowiadam nowe wojny i nagle, Bóg wie z którego, złowroga wieść poczęła krzążyć z ust do ust po wsiach i miastach, że od strony Szwedów zbliżała się nawałnica. Napozór nic nie zdawało się potwierdzać tej wieści, gdyż rozejm ze Szwecją zawarty, miał jeszcze na sześć lat siłę, a jednak mówiono o niebezpieczeństwie wojny i na sejmie, który król Jan Kazimierz złożył 19 Maja w Warszawie.

Coraz więcej niespokojnych oczu zwracało się ku Wielkopolsce, na którą burza najpierw mogła się zwać. Leszczyński, wojewoda łęczycki i Naruszewicz, pisarz polny litewski, wyjechali w poselstwie do Szwecji; ale wyjażd ich, zamiast uspokoić strwożonych, rozniecił większy jeszcze niepokój.

„Legacyta ta wojną pachnie“ — pisał Janusz Radziwiłł.

„Gdyby nawała nie groziła z tamtej strony poczęby ich wysyłano? — mówili inni. — Wszakże ledwie wrócił ze Sztokholmu poprzedni poseł Kanazył; ale widać to jasno, że nic nie sprawił, skoro zaraz po nim tak poważnych wysłano senatorów“.

Wszelako rozsądniejsi ludzie nie wierzyli jeszcze w możliwość wojny.

„Zadnej — twierdzili — Rzeczpospolita nie dała przyczyn, a rozejm trwa w całej siłę. Jakżebyto podeptano przysięgi, zgwałcono najświętsze umowy i napadnięto pozbójceku bezpiecznego sąsiada? Szwecya przytem pamięta jeszcze rany, polską szablą zadane pod Kircholmem, Puckiem i Trzcianną! Wszakże to i Gu stav Adolf, który w całej Europie nie znalazł przeci-
wnika, uległ kilkakroć panu Koniecpolskiemu. Nie będą Szwedzi tak wielkiej sławy wojennej w świecie na-bytej, na niepewny hazard wystawiać z przeciwnikiem, któremu nigdy w polu dostać nie mogli. Prawda, że i wojną wyczerpana i osłabiona jest Rzeczpospolita; ale samych Prus i samej Wielkopolski, która w wojnach ostatnich wcale nie ucierpiała, wystarczy ten głodny naród przepędzić i za morza do bezpłodnych skał ode-przeć. Nie będzie wojny!“

Na to odpowiadali znów trwożliwi, że jeszcze przed sejmem warszawskim radzono już z namowy króla na sejmiku w Grodnie o obronie pasów granicznych wielkopolskich, że rozpisywano podatki i żołnierza, cze-goby przecież nie czyniono, gdyby niebezpieczeństwo nie było blisko.

I tak chwiały się umysły pomiędzy obawą a na-dzieją, ciężka niepewność przygniatała dusze ludzkie, gdy nagle położył jej koniec uniwersał Bogusława Leszczynskiego, jenerała wielkopolskiego, zwołującego pospolite ruszenie szlachty województw poznańskiego i kaliskiego dla obrony granic od grożącej nawały szwedzkiej...


Była to nietylko wojna, ale nowa wojna. Chmielnicki wspomagany przez Buturlina, srożył się na połu-dniu i wschodzie; Chowański i Trubecki na północ i wschodzie, Szwed zbliżał się z zachodu! Ognista wstęga zmieniała się w koło ogniste.

Kraj był jak obóz oblężony.

A w obozie źle się działo. Jeden już zdrajca, Ra-
dziejowski, uciekł z niego i był w namiocie napastników. Ono prowadził ich na lup gotowy, on wskazywał słabe strony, on miał kusić załogę. A oprócz tego nie brakło ni niechęci, ni zawiści; nie brakło magnatów między sobą zważnionych lub za odmówione urzędy na króla krzywych i w każdej chwili sprawę publiczną dla swej prywaty poświęcić gotowych; nie brakło dysydentów, pragnących triumf swój choćby na grobie ojczyzny uświęcić; a jeszcze więcej było swawolników i osąnych i leniwych i w sobie samych, we własnych wczesach i dostatkach, zakończy.

Jednakże zasobna i wojną dotąd niepoterana kraina wielkopolska nie żałowała przynajmniej pieniędzy na obronę. Miasta i wsie szlacheckie dostarczyły piechotnego żołnierza tyle, ile go rozpisano i zanim szlachta ruszyła własnymi osobami do obozu, ciągnęły już tam pstre pułki łanowej piechoty, pod wodzą rotmistrzów, przez sejmik wyznaczonych z ludzi, w rzemiośle wojennem doświadczonych.

Wiózł więc pan Stanisław Dębiński łanowców poznańskich, pan Władysław Włostowski kościelnych, a pan Golc, sławny żołnierz i inżynier, wałeczkich. Nad kaliskimi chłopy dzierżył rotmistrzowską buławę pan Stanisław Skrzetuski, z rodu dzielnych wojowników, stryjeczy Jana, słynnego zbaraszczyka. Pan Kacper Żychliński prowadził konińskich młynarzy i sołtysów. Zpod Pyzdrów ciągnął pan Stanisław Jaraczewski, który młodość w cudzoziemskich wojnach spędził; zpod Kcyni pan Piotr Skoraszewski, a pan Koślecki zpod Nakła. Nikt jednak w doświadczeniu wojennem nie mógł wyrównać panu Władysławowi Skoraszewskiemu,
którego głosu nawet sam jenerał wielkopolski i wojewodowie słuchali.

W trzech miejscach: pod Piłą, Ujściem i Wieluniem zalegli rotmistrzowie pasy nadnoteckie, czekając na przybycie szlachty, na pospolite ruszenie zwołanej. Piechurowie sypali szańce od rana do wieczora, ustawicznie oglądając się za siebie, czy pożądana konnica nie nadciąga.

Tymczasem nadjechał pierwszy z dygnitarzy, pan Andrzej Grudziński, wojewoda kaliski i stanął w domu burmistrza z licznym pocztem sług, przybranych w białe i błękite barwy. Spodziewał się, że wnet otoczy go szlachta kaliska, gdy jednak nikt się nie zjawiał, posłał po rotmistrza, pana Stanisława Skrzetuskiego, zajętego sypaniem szańczyków nad rzeką.

— A gdzie to moi ludzie? — pytał po pierwszych powitaniach rotmistrza, którego znał od dziecka.


— A pospolite ruszenie kaliskie?

Pół pogardliwy, pół bolesny uśmiech pojawił się na czarniawej twarzy żołnierza.

— Jaśnie wielmożny wojewodo! — rzekł — przecie to czas strzyży owiec, a za złe umytą wełnę nie chcą w Gdańsku płacić. Każdy teraz jegomość nad stawem przy myciu, albo nad wagą stoi, słusznie mniemając, że Szwedzi nie uciekną.

— Jakżeto? — odparł zafrasowany wojewoda — niemasz jeszcze nikogo?

— Żywego ducha, prócz piechoty łanowej... A potem żniwa bliskie. Dobry gospodarz z domu nie wyjeżdża w takim czasie!

— Co mi wać pan prawisz?
A Szwedzi nie uciekną, jeno jeszcze bliżej przyjdą — powtórzył rotmistrz.
Dziobata twarz wojewody poczerwieniała nagle.
— Co mi Szwedzi!... Ale to dla mnie wstyd wobec innych panów będzie, gdy sam się tu jako palec ostanę.

Skrzetuski znów się uśmiechnął.
— Wasza miłość pozwoli sobie powiedzieć,— rzekł — że Szwedzi tu rzecz główna, a wstyd potem. Zresztą, nie będzie go, bo nietykło kaliskiej, ale i żadnej innej szlachty jeszcze niema.
— Powaryowali! — rzekł pan Grudziński.
— Nie, jeno tego pewni, że jeśli oni nie zechcą do Szwedów, to Szwedzi nie omieszkają do nich.
— Czekaj waś! — rzekł wojewoda.
I klasnawszy na pachołka, kazał sobie podać inkaustu, pior i papieru — następnie usiadł i począł pisać.
Po upływie pół godziny, zasypał kartę, uderzył po niej ręką i rzekł:
— Posyłam jeszcze wezwanie, by się najpóźniej pro die 27 praeentis stawili i tak myślę, że przynajmniej w tym ostatnim terminie zechcą non deesse patriae. A teraz powiedz mi waćpan: macieli jakie wieści o nieprzyjacielu?
— Mamy. Wittemberg wojska swoje pod Damą na łęgach musztruje.
— Siła ich?
— Jedni mówią, że siedemnaście tysięcy, drudzy, że więcej.
— Hm! to nas i tyle nie będzie. Jak waść sądzisz, zdołamy się oprzeć?
Jeśli się szlachta nie stawi, to i niema o czem mówić...
Stawi się, co się nie ma stawić! Wiadoma to rzecz, że pospolite ruszenie zawsze marudzi. Ale ze szlachtą damy sobie radę?
Nie damy — rzekł sucho Skrzeszewski. — Jasn- nie wielmożny wojewoda, toż my wcale żołnierzy nie mamy.
Jakto nie mamy żołnierzy?
Wasza miłość wie tak dobrze, jak ja, że co jest wojska, to wszystko na Ukrainie. Nie przysłano nam tu ani dwóch chorągwi, choć Bóg jeden wie teraz, która burza groźniejsza.
Ale piechota, ale pospolite ruszenie?
Na dwudziestu chłopów ledwie jeden wojnę wi-dział, a na dziesięciu jeden wie, jak rusznicę trzymać. Po pierwszej wojnie będą z nich dobrzy żołnierze, ale nie teraz. A co do pospolitego ruszenia, spytaj wasza miłość każdego, kto się choć trochę na wojnie zna, czy pospolite ruszenie może dotrzymać regularnym woj- skom, jeszcze takim jak szwedzkie, weteranom z całej luterskiej wojny i do zwycięstw przywykłym.
Także to waść wysoko Szwedów nad swoich wynosisz?
Nie wynoszę ja ich nad swoich, bo gdyby tu było z piętnaście tysięcy takich ludzi, jacy pod Zbara- żem byli, kwarcianych i jazdy, tedybym się ich nie bał, ale z naszymi, daj Boże, abyśmy coś znaczniejszego wskórać mogli.

Wojewoda położył ręce na kolanach i spojrzał bistro wprost w oczy Skrzeszewskiemu, jakby chciał w nich jakąś ukrytą myśl wyczytać.
— Tedy poco my tu przyszli? Czy waćpan nie myślisz, że lepiej się poddać?

Zapłonął na to pan Stanisław i rzekł:
— Jeśli mi taka w głowie myśl powstała, każę mnie wasza miłość na pal wbić. Na pytanie, czy wierzę w wiktoryją, odpowiadam jak żołnierz: nie wierzę! — ale pokośmy tu przyszli, to inna materya, na którą jako obywatel odpowiadam: poto, abyśmy nieprzyjacielowi wstręt pierwszy dali, abyśmy zatrzymawszy go na sobie, pozwolili reszcie kraju opatrzyć się i wystąpić, abyśmy całami naszemi wstrzymali najazd póty, póki jeden na drugim nie padniem!

Chwalebna to intencja waszmości,— odpowie-
dał chłodno wojewoda— ale łatwiej wam żołnierzom o śmierci mówić, niż nam, na których cała odpowiedz dzialność za tyle krwi szlacheckiej, darmo przelanej, spadnie.

— Poto i ma szlachta krew, aby ją przelewała.

— Tak to, tak! Wszyscy gotowiszmy polec, bo zreszą to najłatwiejsza rzecz. Wszelako obowiązek każe nam, których Opatrzność naczelnikami uczyniła, nie samej tylko chwały szukać, ale i za pozytkiem się oglądać. Wojna już tak, jak zaczęta, to prawda, ale przecie Carolus Gustavus pana naszego krewny i musi mieć na to wzgląd. Dlatego należy i paktowania próbować, bo czasem więcej słowem można wskórąć, niżli orężem.

— To do mnie nie należy! — odrzekł sucho pan Stanisław.

Wojewodzie w tejże chwili widocznie toż samo na myśl przyszło, bo skinął głową i pożegnał rot-
mistrza.
Skrzetuski jednakże do połowy tylko miał słuszność w tem, co mówił o opieszałości szlachty na pospolite ruszenie powołanej. Prawdą istotnie bowiem było, że do ukończenia strzegy owiec mało kto sięgnął do obozu między Piłą a Ujściem, ale pod d. 27 czerwca, to jest na termin w ponownem wezwaniu oznaczony, zaczęto zjeżdżać się dość licznie.

Czędzienne tumany kurzu, podnoszące się z powodu suchej i stałej pogody, zwiastowały zbliżanie się coraz nowych zastępów. I jechała szlachta szumnie, konno i koleśno, z pocztami sług, z kredensami, z wozami i obfitością na nich wygód wszelkich, a obciążona tak bronią, iż niejeden za trzech wszelkiego dzwigał oręża, początkowy od kopij, rusznic, bandoletów, szabel, koncerzy i zarzuconych już w owym czasie młotków husarskich, do rozbijania zbroi służących. Starzy praktycy zaraz po tem uzbrojeniu poznawali ludzi nieobytnych z wojną i niedoświadczonych.

Ze wszelkiej bowiem szlachty, zamieszkującej obszary Rzeczypospolitej, wielkopolska właśnie najmniej była wojownicza. Tatarzy, Turcy i Kozacy nie deptali nigdy tych okolic, które od czasów krzyżackich zapominały niemal, jak wygląda wojna w kraju. Kto ze szlachty wielkopolskiej czuł w sobie bojową ochotę, ten się zaciągał do komputu wojsk koronnych i tam stawał tak dobrze jak każdy inny; ale ci natomiast, którzy w domach woleli siedzieć, na prawdziwych się też domotorów zmienili, kochających się w dostatkach, w czasach, na zawołanych gospodarzy, zasypujących swą wełną i zwłaszcza swojem zbożem, rynki miast pruskich.

Teraz więc, gdy burza szwedzka oderwała ich od spokojnych zajęć, zdawało im się, że na wojnę nie można
się zanadto bronią najeżyć, ani zapasami zaopatrywać, ani zawielu wziąć pachołków, którzyby ciała i sprzętów pana strzegli.

Dziwnito byli żołnierze, z którymi rotmistrzowie niełatwo do sprawy przyjść mogli. Stawał naprzykład towarzysz z kopią na dziewiętnaście stóp długą i w pancerzu na piersiach, ale w złotym kapeluszu „dla chłodu” na głowie; inny w czasie musztry na gorąco narzekał, inny ziewał, jałł lub pił, inny pachołka wołał, a wszyscy w szeregu nie poczytywali za rzecz zdrożną gawędzić tak głośno, że rozkazów oficerów nikt słyszeć nie mógł. I trudno było dyscyplinę wprowadzać, bo się o nią bracia urzążała mocno, jako godności obywatelskiej przeciwną. Ogłaszano wprawdzie „artykuły”, ale ich słuchać nie chcielo.

Kulą żelazną u nog tego wojska był nieprzeliczyony zastęp wozów, koni zapasowych i pociągowych, bydła przeznaczonego na śpiżę, a zwłaszcza sług pilnujących namiotów, sprzętów, jagieł, krup i bigosów, a wszczynających z lada powodu kłopotnie i zamieszanie.

Przeciwn takiemu wojsku zbliżał się od strony Szczecina i nadodrzańskich łęgów Arwid Wittenberg, stary wódz, któremu młodość na wojnie trzydziestolatniej zbiegła, prowadząc siedemnaście tysięcy weteranów w żelazną dyscyplinę ujętych.

Z jednej strony stał bezładny obóz polski, do zbiegowiska jarzmarnego podobny, hałaśliwy, pełen dysput, rozpraw nad rozporządzeniami wodzów i niezadowolenia, złożony z poczciwych wieśniaków, napoczekaniu w piechotę zamienionych i z jegomościów prosto od strzegły owiec oderwanych; z drugiej maszerowały groźne, milczące czworoboki, na jedno skinienie wodzów rozciągają-
jace się z regularnością machin w linie i półkola; zwieńcza się w kliny i trójkąty tak sprawnie, jak miecz w ręku szermierza; najeżone rurami muszkietów i włóczni, prawdziwi ludzie wojny, zimni spokojni, istni rzemieślnicy, którzy do mistrzostwa doszli w rzemiosło. Któż z ludzi doświadczonych mógł wątpić, jaki będzie rezultat spotkania i na czyję stronę musi paść zwycięstwo?

Jednakże szlachty ściągało się coraz więcej, a przedtem jeszcze poczęli się zjeżdzać dygnitarze wielkopolscy i innych prowincji, z pocztami przybocznych wojsk i służb. Wkrótce po panu Grudzińskim, zjechał do Piły potężny wojewoda poznański, pan Krzysztof Opaliński. Trzystu hajduków, przybranych w żółte z czerwonym barwy i uzbrojonych w muszkiety, szło przed wojewodzińską karetą; tłum dworzan, szlachty, otaczał jego dostojną osobę; za nimi w szyku bojowym ciągnął oddział rajtarów w takież barwy jak i hajducki przybranych; sam wojewoda jechał w karecie, mając przy sobie błazna, Stacha Ostrożkę, którego obowiązkiem było posępnego pana przez drogę rozwoeselać.

Wjazd tak znamienitego dygnitarza, dodał wszystkim serca i otuchy; tym bowiem którzy spoglądali na monarszy niemal majestat wojewody, na tę twarz wspaniałą, w której, zpod wysokiego jak sklepień czoła, świeciły oczy rozumne i surowe, na senatorską powagę całej postawy, zaledwie w głowie mogło się pomieścić, by jakiś niefortunny los mógł przypaść w udziale takiej potędze.

Ludziom, przywykłym do czci dla urzędu i osoby, wydawało się, że i sami Szwedzi nie będą chyba śmiało wzniesić świętokradzkiej ręki na takiego magnata.
Owszem, ci, którym trwożliwe serce było w piersiach, uczuli się zaraz bezpieczniej pod jego skrzydłami. Witano więc go radośnie i gorąco; okrzyki brzmiały wzdłuż ulicy, którą orszak posuwał się zwolna ku domowi burmistrza, a głowy chyliły się przed wojewodą, widnym jak na dłoni przez szyby pozłocistej karety. Na owe ukłony odpowiadał wraz z wojewodą Ostrożka z taką godnością i powagą, jakby wyłącznie jemu były oddawane.

Zaledwie kurz opadł po przejeździe wojewody poznańskiego, gdy gońcy nadbiegli z oznajmieniem, że jedyne stryjeczny jego brat, wojewoda podlaski, Piotr Opaliński, ze swym szwagrem Jakóbem Rozdrażewskim, wojewodą inowrocławskim. Ci przywieźli każdy po sto pięćdziesiąt ludzi zbrojnych, prócz dworzan i sług. Po-tem nie mijał dzień, by ktoś z dygnitarzy nie zjechał; jako pan Sędziów Czarnkowski, szwagier Krzysztofa, a sam kasztelan kaliski; Maksymilian Miaskowski, kasztelan krzywiński i Paweł Gębicki, pan międzyrzecki. Miasteczko napełniło się tak dalece ludźmi, że domów brakło na pomieszczenie samych tylko dworzan. Przyległe łąki upstrzyły się namiotami pospolitego ruszenia. Rzekłbyś, że wszystko ptastwo różnobarwne zleciało się do Piły z całej Rzeczypospolitej.

Migotały barwy czerwone,zielone, niebieskie, błękite, białe, na katankach, żupanach, kubrakach i kontuszach, bo pominąwszy pospolitę ruszenie, w którym co szlachcic, to inny strój nosił — pominąwszy służbę pańską — i piechota każdego powiatu w inne przybraną była kolory.

Nadjechali i bazarnicy, którzy nie mogąc się w rynku pomieścić, wybudowali rząd szop wedle mia-
steczka. Sprzedawano w nich przybory wojskowe, od szat do broni i jadła. Polowe garkuchnie dymiły przez dzień i noc, roznosząc w dymach zapach bigosów, jagieł, pieczeni — w innych sprzedawano trunki. Przed szopami rożała się szlachta, zbrojna nietyliko w miecze, ale i w łyżki, jedząc, popijając i rozprawiając, to o nieprzyjacielu, którego jeszcze nie było widać, to o nadzieżujących dygnitarzach, którym nie żałowano przymówek.

Między grupami szlachty chodził Ostrożka, przybrany w odzież zeszytą z pstrych galganków z berłem zdobnem dzwonkami i miną z głupia frant. Gdzie się pokazał, otaczano go wnet kołem, on zaś podlewał oliwy do ognia, pomagał obmawiać dygnitarzy i zadawał zagadki, nad którymi szlachta tem bardziej brała się za boki, im bardziej były zjadliwe.

Nie szczędzono w nich nikogo.

Pewnego południa nadszedł przed bazary sam wojewoda poznański i wmuśał się między szlachtę, rozmawiając łaskawie, z tym, z owym lub ze wszystkimi i skarżąc się trochę na króla, że wobec zbliżającego się nieprzyjaciela nie przysłał ani jednej chorągwi kwarcianej.

— Nie myślą o nas, mości panowie — mówił — i bez pomocy nas zostawią. Powiadają w Warszawie, że na Ukrainie i tak wojsko zamało i że hetmani nie mogą sobie dać rady z Chmielnickim. Ha, trudno! Mil- sza widać Ukraina, niż Wielkopolska... W niełasce jesteśmy, mości panowie, w niełasce! Jako na jatki nas tu wydali...

— A kto winien? — pytał pan Szlichtyng, sędzia wschowski.

— Kto wszystkim nieszczęściom Rzeczypospolitej
winien? — odparł wojewoda — jużci nie my, bracia szlachta, którzy ją piersiami naszemi zasłaniamy.

Słuchającej szlachcie pochlebilo to wielce, że „hrabia na Bninie i Opalenicy” sam się na równi z nią stawia i do braterstwa się przyznaje, więc zaraz pan Koszucki odpowiedział:

— Jaśnie wielomożny wojewodo! Gdyby tam więcej takich konsyliarzów było przy majestacie, jak wasza miłość, pewnieby tu nas na rzeź nie wydano... Aleć tam podobno ci rządzą, co się niżej kłaniają.

— Dziękuję, panie bracie, za dobre słowo!... Wina tego, co złych doradców słucha. Wolności to tam nasze solą w oku stoją. Im więcej szlachty wyginie, tem absolutum dominium będzie do przeprowadzenia łatwiesze,

— Zali poto mamy ginąć, aby dzieci nasze w niewoli jęczały?

Wojewoda nic nie odrzekł, a szlachta poczęła społądać po sobie i zdumiewać się.

— Więc to tak? — wołały liczne głosy. — Więc poto nas tu pod nóż wysłano? A wierzym! Nie od dziś to o absolutum dominium mówią!... Ale skoro na to idzie, to i my potrafimy o naszych głowach pomyśleć!

— I o naszych dzieciach!

— I o naszych fortunach, które nieprzyjaciel igne et ferro będzie pustoszył.

Wojewoda milczał.

W dziwny sposób ten wódz dodawał ducha swym żołnierzom.

— Król to wszystkiemu winien! — wołano coraz liczniej.

Potop. T. I.
— Za króla Olbrachta wyginęła szlachta! Zdra- 
dła, panowie bracia!
— Król, król zdajęca! — zakrzyknął jakiś głos 
śmiały.

Wojewoda milczał.
Wtem Ostrożka, stojący przy boku wojewody, 
uderzył się kilkakroć rękoma po udach i zapiał jak ko-
gut, tak przeraźliwie, że wszystkie oczy zwróciły się na 
niego.

Następnie zakrzyknął:
— Mości panowie! bracia, serdęńka! posłuchajcie 
mojej zagadki!

Z prawdziwą zmiennością marcowej pogody obu-
żzenie pospolitaków zmieniło się w jednej chwili w cie-
kawość i chęć usłyszenia jakiegoś nowego dowcipu 
błazna.

— Słuchamy! słuchamy! — ozwało się kilkanaście 
głosów.
Błazen począł mrógać oczyma jak małpa i recyto-
wać piskliwym głosem:

Po bracie się pocieszył koroną i żoną,
Lecz pozwolił, by sławę z bratem pogrzebiono;
Podkanclerza wypędził — i z tego dziś słynie,
Że sam jest podkanclerzym... przy podkanclerzynie.

— Król! król! jako żywo! Jan Kazimierz! — po-
częto wołać ze wszystkich stron.
I śmiech ogromny, jakby grzmot, rozległ się 
w zgromadzeniu.
— Niech go kule biją, jak to misternie ułożył! — 
wołała szlachta.
Wojewoda śmiał się z innymi; następnie, gdy uci-
szyło się nieco, rzekł poważniej:
— I za tęto sprawę my musimy teraz krwią
i głowami nakładać... Ot, do czego doszło!... Ale masz,
błaznie, dukata za dobrą zagadkę.
— Krzysztofku! Krzychu najmilszy! — odrzekł
Ostrożka — czemuto na innych napadasz, że trefnisiów
trzymają, kiedy sam nietylko mnie trzymasz, ale osobno
za zagadki dopłacasz?... Dajże mnie jeszcze dukata,
no ci powiem drugą zagadkę.
— Taką samą dobrą?
— Jeno dłuższą... Daj najprzód dukata.
— Masz!
Błazen znów wstrząsnął rękoma, jak kogut skrzy-
dłami, znów zaśpiel i zakrzyknął:
— Mości panowie, słuchajcie! Ktoto taki?

Na prywatę narzekał, udawał Katona,
Od szabl wolał pióro z geśiego ogona:
Po zdrający chciał spuścizny, a gdy jej nie dostał,
Wnet tomat Rempublicam ostrym rytmem schłostał.
Bodajby szablę kochał, mniej byłoby biedy,
Bo się satyr napewno nie ułękna Szwedy.
On zaś, ledwie wojennych skosztował kłopotów,
Już za zdrajcy przykładem, króla zdradzić gotów.

Wszyscy obecni odgadli tak dobrze tę zagadkę,
jak i poprzednią. Dwa czy trzy zduszone w tejże chwili
śmiechy ozwały się w zgromadzeniu, poczem zapadła
cisza głęboka.

Wojewoda stał się czerwony i tem bardziej się
zmieszala, że wszystkie oczy były w niego utkwione,
a błazen spoglądał to na jednego szlachcica, to na dru-
giego, wreszcie ozwał się:
— Nikt z waszmościów nie odgaduje kto to tak? A gdy milczenie było jedyną odpowiedzią, wówczas Ostrożka zwrócił się z najbezczelniejszą miną do wojewody:
— A ty Krzychu, zali także nie wiesz o jakimto hultzaju była mowa?... Nie wiesz? to płać duktą!
— Masz! — odrzekł wojewoda.
— Bóg ci zapłać!... Powiedzno mi Krzychu: nie starałżeś się ty przypadkiem o podkanclerstwo po Radziejowskim?
— Nie pora na krotofile! — odparł Krzysztof Opaliński.
I skłoniwszy się czapką wszystkim obecnym:
— Czołem waszmościom!... Pora mi na radę wojenną.
— Na radę familijną, chciałżeś Krzychu powiedzieć — dodał Ostrożka — bo tam wszyscy krewni radzić będziesz, jakby dać drapaka.
Poczem wrócił się do szlachty i naśladowując wojewodę w ukłonie, dodał:
— A waćpanom w to graj!
I oddalił się obaj; ale zaledwie uszli kilkanaście kroków, jeden ogromny wybuch śmiechu obił się o uszy wojewody i brzmiał jeszcze długo, zanim utonął w ogólnym gwarze obozu.
Rada wojenna istotnie miała miejsce i wojewoda poznański na niej prezydował. Była to szczególna rada! Brali w niej udział sami tacy dygnitarze, którzy się na wojnie nie znali. Bo magnaci wielkopolscy nie szli i nie mogli iść za przykładem owych „królewiat“ litewskich lub ukrainnych, żyjących w ustawicznym ogieniu, jak salamandry
Tam, co wojewoda lub kanclerz, to był wódz, któremu pancerz wygniatał na ciele nigdy nieschodzące czerwone pręgi, któremu młodość zbiegła na stepach lub w lasach od wschodniej strony, wśród zasadzek, walk, gonitw, w obozach lub taborach. Tu byli to dygnitarze, pilnujący urzędów, a choć w chwilach potrzeby chodzili i oni na pospolite ruszenie, jednakże nigdy nie zajmowali naczelnych w czasie wojen stanowisk. Głęboki spokój uśpił wojowniczego ducha potomków tych rycerzy, którym nigdyś żelazne hufce krzyżackie nie mogły dotrzymać pola; zmienił w statystów, uczonych i literatów. Dopiero twarda szkoła szwedzka nauczyła ich, czego zapomnieli.

Ale tymczasem zgromadzeni na naradę dygnitarze spoglądali na się niepewnimi oczyma i każdy bał się pierwszy odezwać, czekając, co powie „Agamemnon“, wojewoda poznański.

„Agamemnon“ zaś sam nie znał się poprostu na niczem i mówę swoją rozpoczął znów od narzekania na niewdzięczność i ospałość królewską, na lekkie serce, z jakim całą Wielkopolskę i ich pod miecz wydano. Ale zato jakże był wymowny; jakże wspaniałą czynił postać, prawdziwie rzymskiego senatora godną: głowę przy mówieniu trzymał wzniesioną, czarne jego oczy ciszały błyskawice, usta pioruny, a siwująca broda trzesła się z uniesienia, gdy przyszłe klęski ojczyzny malował.

— W czemże bowiem ojczyzna cierpi? — mówił — jeżeli nie w synach swoich... a my tutaj najpierwjej ucierpimy. Po naszych ziemiaach, po naszych prywatnych fortunach, zasługami i krwią przodków zdobytych, przedzej przed noga tych nieprzyjaciół, którzy
jako burza zbliżają się ku nam od morza. I zaco my cierpimy? Zaco zajmą nasze trzody, wydepczę zboża, popalą wsie, pracą naszą zbudowane? Czy myśmy krzywdzili Radziejowskiego, który niesłusznie osądzony i jak zbrodniarz ścigany, obcej protekcji szukać musiał? Nie!... Czy my nastajemy, aby ten próżny tytuł króla szwedzkiego, który już tyle krwi kosztował, był w podpisie naszeg Jana Kazimierza zachowany? Nie!... Dwie wojny palą się na dwóch granicach — trzebaż było wywołać i trzecią?... Kto winien, niech go Bóg, niech go ojczyzna sądzi!... My umyjmy ręce, bośmy niewinni tej krwi, która będzie przelaną...

I tak dalej piorunował wojewoda; ale gdy przyszło do właściwej materyi, nie miał rady pożądanej udzielić.

Posłano tedy po rotmistrzów, łanową piechotę doświadczających, a szczególnie po pana Władysława Skoraszewskiego, który był nietylnko rycerz sławný i niezrównany, ale stary praktyk wojenny, znający wojnę jak pacierz. Rad jego istotni nawet wodzowie nieraz słuchać; tem więc skwapliwie pożądano ich teraz.

Pan Skoraszewski radził tedy założyć trzy obory: pod Piłą, Wieluniem i Ujściem, tak blisko, aby w razie napadu mogły sobie wzajem przychodzić w pomoc; a prócz tego całą nadrzeczną przestrzeń, łukiem obozów objętą, obsypać szańcami, któreby nad przeprawami panowały.

— Gdy się już okaże — mówił pan Skoraszewski — w którym miejscu nieprzyjaciel będzie przeprawy tentował, tedy się tam ze wszystkich trzech obozów w kupę zbierzemy dać mu wstrzęt należyty. Ja zaś, za zezwoleniem jw. panów, pójdę z małym pocztem do
Czaplinka. Stracona to pozycja, i wczesną się z niej cofnę, ale tam najpierw dowiem się o nieprzyjacielu i jw. panom dam znać o nim.

Wszyscy zgodzili się na ową radę i poczęto nieco zwawiej krzątać się w obozie. Szlachty jechało się wreszcie do piętnastu tysięcy. Lanowi sypali szańce na przestrzeni sześciu mil.

Ujście, główną pozycją, zajął ze swymi ludźmi pan wojewoda poznański. Część rycerstwa została w Wieluniu, część w Pile, a pan Władysław Skoraszewski odjechał do Czaplinka, by ztamtąd dawać bacz- czenie na nieprzyjaciela.

Rozpoczął się lipiec; dnie były ciągle pogodne i gorące. Słońce dopiękało na równinach tak mocno, iż szlachta chroniła się po lasach, pomiędzy drzewami, pod których cieniem niektórzy kazali rozbijać swe namioty. Tam też wyprawiano uczy gwarne i hałasliwe, a jeszcze więcej hałasu czyniła służba, zwłaszcza przy pławieniu i pojeniu koni, których po kilka tysięcy naraz pędzono trzy razy dziennie do Noteci i Brdy, kłócąc się i bijąc o najlepszy przystęp do brzegu.

Duch jednak, pomimo, iż sam wojewoda poznański działał racej w ten sposób, aby go osłabić, był z po- czątku dobry.

Gdyby Wittemberg był nadszedł w pierwszych dniach lipca, byłby prawdopodobnie napotkał mocny opór, który w miarę rozgrzewania się ludzi do boju, mógłby się zmienić w niezwalczoną wściekłość, jak tego często bywały przykłady. Bo przecież w żylach tych ludzi, jakkolwiek odwlekłych od wojny, płynęła krew rycerska.

Kto wie, czy drugi Jeremi Wiśniowiecki nie zmie-
niłby był Ujścia w drugi Zbaraż i nie zapisał w tych okopach nowej świetnej karyery rycerskiej. Ale właśnie wojewoda poznański, na nieszczęście, mógł tylko pisać, nie walczyć.

Wittemberg, człowiek nietyłko wojnę znający, ale i ludzi, może umyslnie się nie spieszył. Doświadczenie długoletnie uczyło go, że nowozacięży żołnierz najniebezpieczniejszy jest w pierwszej chwili zapału i że częstokroć nie mężstwa mu brak, ale żołnierskiej cierpliwości, którą tylko praktyka wyrabia. Potrafi on nieraz uderzyć, jak nawałnica, na najstarsze pułki i przejść po ich trupach. Jest to żelazo, które, póki czerwone, drga, żyje, sypie iskry, pali, niszczy, a gdy już wystygnie, jest tylko martwą bryłą.

Jakoż, gdy ubiegł tydzień i drugi, a zaczynał się trzeci, długa bezczynność poczęła ciężyć pospolitemu ruszeniu. Upały były coraz większe. Szlachta nie chciała wychodzić na musztry, tłumacząc się tem, że „konie, cięte przez bąki, nie chcą ustać na miejscu, a jako że w błotnistej okolicy, od komarów wytrzymać nie można...”

Czeładż wszczynała coraz większe kłótnie o miejsca cieniste, o które i między panami przychodziło do szabel. Jaki taki, skręciwszy wieczorem od wody, wyjeżdżał chylikiem z obozu, aby nie wrócić więcej.

Nie brakło i z góry złego przykładu. Pan Skorszewski dał właśnie znać z Czaplinka, że Szwedzi już niedaleko, gdy na radzie wojennej uwolniono do domu pana Zygmunta z Grudnej Grudzińskiego, starością średzkiego, o co stryj Andrzej, pan wojewoda kaliski, wielce nastawał.

— Jeśli ja mam tu głowę złożyć i gardło dać —
mówił — niechże synowiec po mnie pamięć i sławę odzie-
dziczy, aby zasługa moja nie przepadła.

Tu począł roztłumaczyć się nad młodym wiekiem i niewinnością synowca, oraz wynosić jego hojność, z jaką sto piechoty bardzo porządnej dla Rzeczypospo-
litej na ten termin wystawił. I rada wojenna zgodziła się na prośby stryja.

Zrana dnia 16-go Lipca wyjeżdżał pan starościec w kilkanaście sług otwarcie z obozu do domu, w wigilią niemal oblężenia i bitwy. Tłumy szlachty przeprowa-
dzały go wśród szyderskich okrzyków aż za obóz, a tłu-
mom tym przywodził Ostrożka, który krzyczał zdaleka za odjeżdżającym:

— Mości panie starościnu, daję ci do herbu i na-
zwiska przydomek: Deest!

— Vivat Deest-Grudziński! — krzyknęła szlachta.

— A nie płacz za stryjem! — wołał dalej Ostroż-
ka — równy on ma z tobą kontemp dla Szwedów i niech się jeno pokażą, pewnie się plecami do nich obróci!

Młodemu magnatowi krew biła do twarzy, ale udawał, że obelg nie słyszy, jeno konia bódź ostrogami i tłumy rozpierał, by jak najprędzej znaleźć się poza obozem i swymi prześladowcami, którzy w końcu bez uwagi na ród i godność odjeżdżającego, poczęli rzucać grudkami ziemi i krzyczeć:

— Masz grudkę, Grudziński!! A ho! a huzia! hoc! hoc! szarak! kot!

Uczynił się taki tumult, że aż wojewoda poznański nadbięgł z kilkunastu rotmistrzami uspokajać i tłoma-
czyć, że staroście tylko na tydzień, dla bardzo pilnych spraw, wziął premiesę.

Co chwila zrywały się wieści, że wojewodowie uchodzą — i panował taki rozruch, że wojewodowie musieli się ukazywać po kilkakroć wzburzonym tłumom. Kilkanaście tysięcy ludzi stało do świtania na koniach, wojewoda poznański zaś jeździł między nimi z odkrytą głową, podobien do senatora rzymskiego i powtarzał co chwila wielkie słowa:

— Mości panowie! z wami żyć i i umierać!

Przyjmowano go w niektórych miejscach wiwatu- tami, w innych brzmiały szyderskie okrzyki. On zaś ledwie uuciszył tłumy, wracał na radę, spracowany, zaczyrypty, upojony wielkością własnych słów i przekonany, że tej nocy niepożyte ojczyźnie oddał usługi.

Ale na radzie mniejsze miał słowa na ustach, bo się za brodę i za chochoł targał z rozpaczy, powta- rzając:

— Radźcie waszmościowie, jeśli umiecie... Ja umywam ręce od tego, co się stanie, bo z takim żołnie- rzem niepodobna się bronić.

— Jaśnie wielmożny wojewodo! — odpowiadał
pan Stanisław Skrzetuski. — Sam nieprzyjaciel powściągnął tę swawolę i te rozruchy. Niech jeno armaty zagrają, niech przyjdzie do obrony, oblężenia, ta sama szlachta w sprawie własnego gardła musi z wałów służyć, nie w obozie się warcholić. Tak już nieraz bywało!

— Z czem się bronić? Armat nie mamy, jeno nasze wiwatówki, dobre do pukania w czasie uczt.

— Pod Zbarażem Chmielnicki miał siedemdziesiąt dział, a książę Jeremi jeno kilkanaście oktaw i granatników.

— Ale miał wojsko, nie pospolitaków; swoje chorągwie w świecie sławne, nie ichmościów od strzyży owiec.

— Posłać po pana Władysława Skoraszewskiego — rzekł pan Sędziwój Czarnkowski, kasztelan poznański. — Uczynić go obożnym. On ma mir u szlachty i w ryzie utrzymać ją potrafi.

— Posłać po Skoraszewskiego! Poco on ma w Drahiniu czy w Czaplinku siedzieć! — powtórzył pan Jędrzej Grudziński, wojewoda kaliski.

— Tak jest! to najlepsza rada! — zawołały inne głosy.

I wysłano gońca po pana Władysława Skoraszewskiego — innych postanowień na radzie nie powzięto, natomiast mówiono i narzekano wiele na króla, królową, na brak wojska i opuszczenie.

Ranek następny nie przyniósł ni pociechy, ni uspokojenia. Owszem, bezład stał się jeszcze większy. Ktoś puścił nagle wieść, że różnowiercy, mianowicie kalwini, sprzyjają Szwedom i gotowi są przy pierwszej sposobności przejść do nieprzyjaciół. Co więcej, wieści tej nie zaprzeczył ani pan Szlichtyng, ani panowie Kurna-
towscy, Edmund i Jacek, również kalwini, ale ludzie szczerze ojczyźnie oddani. Sami owsem potwierdzili, że różnowiercy tworzą osobne koło i zmawiają się ze sobą, pod wodzą znanego warchoła i okrutnika pana Reja, który zamłodu służąc w Niemczech, jako ochotnik po stronie luterskiej, wielkim był Szwedów przyjacielem. Zaledwie tedy te podejrzenia rozbiegły się między szlachtą, natychmiast kilkanaście tysięcy szabel zabłysło i prawdziwa burza rozpoczęła się w obozie.

— Zdrajców karmimy! źmije karmimy, gotowe kąsać łono rodzicielki! — wołała szlachta.

— Dawajcie ich sam!

— W pień ich!... Zdrada najzaraźliwsza, mości panowie!... Wyrwać kąkol, bo inaczej zginiemy wszyscy.

Wojewodowie i rotmistrze znów musieli uspokajać, ale przyszło im to jeszcze trudniej, niż dnia poprzedniego. Sami zresztą byli przekonani, że pan Rej gotów najotwarciej zdradzić ojczyznę, bo to był człowiek zupełnie cudzoziemszczyzny iprócz mowy, nie miał w sobie nic polskiego. Uchwalono też wysłać go z obozu, co razem uspokoilo nieco wzbudzonych. Jednakże długo jeszcze zrywały się okrzyki:

— Dawajcie ich sam! Zdrada! zdrada!

Dziwne usposobienie zapanowało w końcu w obozie. Jedni upadli na duchu i pogrążyli się w smutku. Ci chodził w milczeniu błędnimi krokami wzdłuż wałów, puszczać trwożliwy i posępny wzrok na równiny, którzy mieli nadciągnąć nieprzyjaciół lub udzielali szepczą, coraz gorszych nowin.

Innych opanowała szalona, desperacka jakość wesółość i gotowość na śmierć. Wskutek tej gotowości
wyprawiano uczty i pijatyki, by wesoło ostatnich dni życia użyć. Niektórzy też myśleli o zbawieniu i noc spędzieli na modlitwach. Nikt tylko w całym tym ludzkim tłumie nie myślał o zwycięstwie, jakby ono wcale było niepodobnym, a jednak nieprzyjaciel nie miał sił przewyższających: miał więcej dział i wojska lepiej ćwiczone i wodzą, który wojnę rozumiał.

A gdy tak z jednej strony obóz polski wrzał, hucał, ucztował, wzburzał się, uciszał, jak morze wicharem smagane, gdy pospolite ruszenie sejmikowało, niby w czasie elekcji króla — z drugiej strony, po roztoczaściach, zielonych łęgach nadodrzańskich posuwały się spokojne zastępy szwedzkie.

Szła więc najprzód brygada gwardyi królewskiej; wiódł ją Benedykt Horn, groźny żołnierz, którego imię ze strachem w Niemczech powtarzano; lud doborny, rośli, ubrany w grzebieniaste hełmy z czółnami zachodzącemi na uszy, w żółte skórzane kaftany, zbrojny w rapiery i muszkiety, zimny i uparty w boju i na każde skinienie wodzą gotowy.

Karol Szeding, Niemiec, wiódł następną brygadę westgotlandzką, złożoną z dwóch pułków piechoty i jednego ciężkiej rajtary, przybranej w pancerze bez naramienników; połowa piechurów miała muszkiety, druga włócznie; przy początku bitwy muszkietnicy stawali na czele, a w razie ataku jazdy cofali się za włóczników, którzy utkwiwisy jeden koniec włóczni w ziemię, drugi nadstawiali przeciwko pędzącym koniom. Pod Trzcianną, za czasów Zygmunta III-go, jedna chorągiew hussaryj rozniosła na szablach i kopytach też samą westgotlandzką brygadę, w której obecnie służyli przeżważnie Niemcy.
Dwie brygady smalandzkie wiódł Irwin, zwany Bezęrückim, bo był prawicę w swoim czasie, broniąc chorągwi, utracił, zato w lewej miał taką siłę, że jednym zamachem odcinał łeb konia; był to żołnierz ponury, kochający tylko wojnę i rozwle krwi, surowy i dla siebie i dla żołnierzy. Gdy inni „kapitanowie” wyrobili się w ustawicznej wojnie na ludzi rzemiosła, wojnę dla wojny kochających, on pozostał tym samym fanatykiem i mordował ludzi, śpiewając psalmy pobożne.

Brygada westralandzka szła pod Drakenborgiem, a helsingerska, złożona ze strzelców w świecie sławnych, pod Gustawem Oxenstierną, krewnym sławnego kanclerza, młodym żołnierzem, wielkie rokują-cym nadzieje. Nad estgotlandzką pułkownikował Fersen, a nerikską i wermlandzką sprawował sam Wittemberg, który zarazem był naczelnym wodzem całej armii.

Siedemdziesiąt dwa działa wytłaczało brózdy po wilgotnych łęgach, a wszystkich żołnierzy było 17 tysięcy, groźnych łupieżników całych Niemiec, a w boju tak sprawnych, że zwłaszcza z piechotą, zaledwie królewskie francuskie gwardye mogły się porównać. Za pułkami ciągnęły wozy i namioty, a pułki szły w szyku, w każdej chwili do boju gotowe.

Las włóczni sterczał nad masą głów, hełmów i kapeluszy, a między tym lasem płynęły ku polskiej granicy wielkie chorągwie błękitone z białemi krzyżami wpośrodku.

Z każdym dniem zmniejszała się odległość, dzieląca dwa wojska.

Nakoniec, w dniu 27 lipca, w lesie pod wsią Heinrichsdorfem, ujrzały zastępy szwedzkie po raz pierwszy stop graniczny polski. Na ten widok całe wojsko uczy-
niło okrzyk ogromny, zagrzmiały trąby, kotły i bębny
i rozwinięły się wszystkie chorągwie. Wittemberg wyje-
chał naprzód w asystencji świetnego sztabu, a wszystkie
pułki przechodziły przed nim, prezentując broń, jazda
z dobytymi rapierami, działa z zapalonemi lontami.
Godzina była południowa, pogoda przepyszna. Powie-
trze leśne pachniało żywcą.

Szara, zalana promieniami słońca droga, którą
przechodziły szwedzkie chorągwie, wybiegając z Hein-
richsdorfskiego lasu, gubiła się na widokręgu. Gdy
idące nią wojska przeszły wreszcie las, wzrok ich od-
krył krainę wesołą, uśmiechniętą, połyskującą żółta-
wemi łanami zbóż wszelakich, miejskimi usianą dąbrow-
wami, miejscami zieloną od łąk. Tu i owadzie z kęp
drzew, za dąbrowami, hen! daleko, podnoszyły się dymy
ku niebu; na potrawach widniały pasące się trzody.
Tam, gdzie na łąkach przeświecała woda rozlana sze-
roko, chodziły spokojnie bociany.

Jakaś cisza i słodycz rozlana była wszędzie po tej
ziemi, mlekiem i miodem płynącej. I zdawała się rozta-
czać coraz szerzej i otwierać ramiona przed wojskami,
jakby nie najeźdźników witała, ale gości z Bogiem przy-
bywającymi.

Na ten widok nowy okrzyk wyrwał się z piersi
wszystkich żołdeków, mianowicie rodowitych Szwedów,
przywykłych do nagie, biednej, dzikiej przyrody w kra-
ju ojczystym. Serca łupieskiego a ubogiego ludu wez-
brały pragnieniem zagarnięcia tych skarbów i do-
statków, które wpadały im pod oczy. Zapał ogarnął
szeregi.

Ale spodziewali się żołdacy, zahartowani w ogni
trzydziestoletniej wojny, że nie przyjdzie im to łatwo,
boć tę ziemię zbożną zamieszkiwał lud rojny, a rycerski,
który umiał jej bronić. Żyła jeszcze w Szwecyi pamięć
strasznego pogromu pod Kircholmem, gdzie trzy tysiące
jazdy pod Chodkiewiczem starło na proch ośmnaście
tysięcy najbitniejszego szwedzkiego wojska. W chałach
Westgotlandu, Smalandu lub Dalekarlii opowiadał
o tych rycerzach skrzydlatych, jak o wielkoludach
z sąsi. Świeższa była jeszcze pamięć walk za Gustawa
Adolfa, bo nie wymarli ludzie, którzy brali w nich
udział. Wszakże ów orzeł skandynawski, zanim przele-
ciał całe Niemcy, po dwakroć połamał szpony o zastępy
Koniecpolskiego.

Więc z radością łączyła się w sercach szwedzkich
i pewna obawa, której nie był próżen sam wódz naczeli-
nym, Wittemberg. Patrzył on na przechodzące pułki pie-
choty i rajtary takim okiem, jakim pastorz patrzy na
swą trzodę; następnie zwrócił się do otyłego człowieka,
przybranego w kapelusz z piórem i jasną perukę, spada-
jącą na ramiona:

—Wasza miłość upewniasz mnie — rzekł — że
z temi siłami można złamać wojska stojące pod Uj-
ściem?

Człowiek w jasnej peruce uśmiechnął się i odrzekł:

— Wasza miłość może zupełnie polegać na mych
słownach, za które głową ręczyć gotowem. Gdyby pod
Ujściem były wojska regularne i którykolwiek z hetma-
now, tedybym pierwszy radził nie kwapić się i poczekać,
aż jego królewską mőść z całą armią nadciągną; ale
przeciwigospolitemu ruszeniu i tym panom wielkopoli-
skim siły nasze aż zanadto wystarczą.

— A nie przyszłże im jakowych posiłków?
— Posiłków nie przyszłą z dwóch powodów: po pierwsze dlatego, że wojska wszystkie, których wogóle jest niewiele, zajęte są na Litwie i na Ukrainie; po-wtórze, że w Warszawie ani król Jan Kazimierz, ani kanclerze, ani senat, do tej pory nie chcą wierzyć, aby jego królewską mość Karol Gustaw, wbrew rozejmowi i mimo ostatnich poselstw, mimo gotowości do ustępstw, naprawdę rozpoczął wojnę. Ufają, że pokój jeszcze w ostatniej chwili będzie uczyniony... cha! cha!

Tu otyły człowiek zdjął kapelusz, otarł z potu czerwoną twarz i dodał:
— Trubecki i Dołgoruki na Litwie, Chmielnicki na Ukrainie, a my wchodzimy do Wielkopolski... Oto, do czego doprowadziły rządy Jana Kazimierza!

Wittemberg spojrzał na niego dziwnym wzrokiem i zapytał:
— A wasza miłość radujesz się tą myślą?
— A ja raduję się tą myślą, bo moja krzywda i moja niewinność będą pomszczone; a prócz tego widzę już jak na dłoni, że szabla waszej miłosi i moje rady włożą tę nową, najpiękniejszą w świecie koronę, na głowę Karola Gustawa.

Wittemberg zapaścił wzrok w dal, objął nim lasy, dąbrowy, łęgi i łany zbożne i po chwili rzekł:
— Tak jest! piękny kraj i żyzny... Wasza miłość możesz też być pewien, że po wojnie jego królewską mość nikomu innemu wielkorządzta tu nie powierzy.

Otyły człowiek zdjął znów kapelusz.
— I ja też nie chcę innego mieć pana — dodał, wznosząc oczy ku niebu.

Niebo było jasne i pogodne, żaden piorun nie
spadł i nie skruszył na proch zdrajcy, który swój kraj, jęczący już pod dwiema wojnami i wyczerpany, wydawał na tej granicy w moc nieprzyjaciela.

Człowiek bowiem rozmawiający z Wittembergiem było Hieronim Radziejowski, były podkanclerzy koronny, obecnie Szwedem przeciwno ojczyźnie zaprzeda-<br>ny.

Stali czas jakiś w milczeniu; tymczasem ostatnie dwie brygady, neriksa i wermlanżka, przeszły granicę, za niemi poczęły się wtać działa, trąby ciągle jeszcze grały, a huk kotłów i warzenie bębnów głu-<br>szyło kroki żołnierzy i napełniało las złowrogimi echami. Wreszcie ruszył i sztab. Radziejowski jechał koło Wittemberga.

— Oxenstierny nie widać: — rzekł Wittemberg — boję się, czy go jaka przygoda nie spotkała. Nie wiem, jeśli to dobra była rada posyłać go jako trębacz z listami pod Ujście.

— Dobra, — odparł Radziejowski — bo obóz zlustruje, wodzów zobaczy i wyrozumie, co tam myszą, a tegoby lada ciura nie uczynił.

— A jeśli go poznają?

— Jeden Rej go tam zna, a on nasz. Zresztą, choćby go poznali, nie uczynią mu nic złego, jeszcze na drogę opatrzę i nagrodzę... Znam ja Polaków i wiem, że gotowi na wszystko, byle się przed obcymi jako polityczny naród pokazać. Cała usilność nasza w tem, aby nas obcy chwalili... O Oxenstiernę możesz być wasza miłość spokojny, bo włos mu z głowy nie spadnie. Nie widać go, bo i czas był na powrót za krótki.

— A jak wasza miłość sądzisz, sprawią nasze listy jaki skutek?
Radziejowski rozśmiał się.
— Jeżeli pozwolisz mi waszą miłość być proro-kiem, to przepowiem, co się stanie. Pan wojewoda poznański, polityczny to człowiek i uczony, więc nam bardzo politycznie i bardzo grzecznie odpisze; ale, że lubi za rzymianina uchodzić, tedy jego odpowiedź okrutnie będzie rzymska; powie najprzód, że woli ostatnią kropkę krwi wylać, niż poddać się, że śmierć lepsza od niesławy, a miłość, jaką żywi dla ojczyzny, nakazuje mu paść za nią na granicy.

Radziejowski począł się śmiać jeszcze głośniej, surowa twarz Wittemberga rozjaśniła się także.
— Wszyska miłość nie sądzisz, aby on był gotów tak uczynić, jak pisze? — spytał.
— On? — odrzekł Radziejowski. — Prawda, że żywi miłość do ojczyzny, ale inkaustem, a że niezbyt to posilna potrawa, więc i jego miłość chudsza nawet od jego błazna, który mu pomaga rytmy układając. Jestem pewny, że po onej rzymskiej odpowiedzi nastąpią życzenia zdrowia, pomyślności, polecenie się służbom, a nakoniec prośba, byśmy dobra jego i krewnych oszczędzali, za co znów będzie żywił dla nas wdzięczność, wraz ze wszystkimi swymi krewnymi.
— A jaki będzie wostatku skutek naszych listów?
— Że zwątłą ducha do ostatka, że panowie senatorowie rozpoczynają z nami układy i że całą Wielkopolskę, bodaj po kilku wystrzałach na wiatr, zajmiemy.
— Obyś wasza miłość był prawdziwym prorokiem...
— Pewien jestem, że tak będzie, bo znam tych ludzi, mam też przyjaciół i stronników w całym kraju.
i wiem, jak sobie poczynać... A że niczego nie omieszkam, ręczy za to krzywda, która mnie od Jana Kazimierza spotkała i miłość dla Karola Gustawa. Czulsi u nas teraz ludzie na własne fortuny, niż na całość Rzeczypospolitej. Wszystkie te ziemie, po których teraz iść będzie, to fortuny Opalińskich, Czarnkowskich, Grudzińskich, a że oni to właśnie stoją pod Ujściem, więc też i mięksi będą przy układach. Co do szlachty, byle jej wolność sejmikowania zaręczyć, pójdzie i ona śladem panów wojewodów.

— Wasza miłość niepożyte swą znajomością kraju i ludzi oddajesz jego królewskiej mości usługi, które nie mogą być bez równie znakomitej nagrody. Z tego, co od waszej miłości słyszę, wnioskuję, że mogę tę ziemię jako naszę uważać.

— Możesz wasza miłość! możesz! możesz! — powtórzył skwapliwie po kilkakroć Radziejowski.

— A więc zajmuję ją w imieniu jego królewskiej mości Karola Gustawa — odparrł poważnie Wittemberg.

Gdy tak wojska szwedzkie poczęły deptać za Heinrichsdorfem ziemię wielkopolską, poprzednio jeszcze, bo w dniu 18-ym lipca, przybył do obozu polskiego trębacz szwedzki z listami do wojewodów od Radziejowskiego i Wittemberga.

Pan Władysław Skoraszewski sam poprowadził go do wojewody poznańskiego, a szlachta z pospolitego ruszenia gapiła się ciekawie na „pierwszego Szweda“, podziwiając jego dzielną postawę, twarz męską, żółty wąs, zaczesany w końcach do góry w szeroką szczotkę i minę prawdziwie pańską. Tłumy przeprowadziły go do wojewody, znajomi zwoływali się nawzajem, pokazywano go palcami, śmiano się trochę z bótów zakoń-
czonych ogromną kolistą cholewą i z długiego, prostej rapiera, który różnem przezywano, wiszącego na pendencie, suto srebrzem haftowanym; Szwed zaś rzuczał także ciekawie oczyma zpod szerokiego kapelusza, jakby chciał obóz złustrować i siły przeliczyć, to znów przypatrywał się tłumom szlachty, której wschodni ubiór widocznie był dla niego nowością.

Nakoniec wprowadzono go do wojewody, u którego zgromadzeni byli wszyscy dygnitarze, znajdujący się w obozie.

Wnet przeczytano listy i rozpoczęła się narada, trębacz zaś polecił pan wojewoda swym dworzanom, aby uczestwowano go pożołniersku; od dworzana odebrała go szlachta i podziwiając go ciągle, jako osobliwość, poczęła z nim pić na umór.

Pan Skoraszewski przypatrywał mu się również pilnie, ale z tego powodu, iż podejrzewał, że to jakiś oficer za trębacza przebrany; poszedł nawet z tą myślą wieczorem do pana wojewody; ten jednak odrzekł, iż to jest wszystko jedno i aresztować go nie pozwolił.

— Choćbyto był i sam Wittemberg, — rzekł — jako poseł tu przybył i odjechać spokojnie powinien... Jeszcze mu każę dać dziesięć dukatów na drogę.

Trębacz tymczasem gawędził tamaną niemczyzną z tymi ze szlachty, którzy ten język przez stosunki z miastami pruskiemi rozumieli i opowiadali im o zwy-cięstwach, przez Wittemberga w różnych krajach odniesionych, o siłach, jakie ku Ujściu idą, a zwłaszcza o działach nieznanej dotąd doniesłości, którym niemasz sposobu opierac się. Strapiła się też tem szlachta niemało i różne przesadne wieści poczęły wnet krążyć po obozie.
Tej nocy prawie nikt nie spał w całym Ujściu, bo najprzód koło północy nadeszli ci ludzie, którzy dotychczas w osobnych stali obozach pod Piłą i Wieluniem. Dygnitarze radzili nad odpowiedzią do białego dnia, a szlachcie czas schodził na opowiadaniach o potędze szwedzkiej.

Z pewnością gorączkową ciekawością wypytywano trębacz o wodzów, wojsko, broń, sposób walczenia i podawano sobie z ust do ust każdą jego odpowiedź. Bliskość szwedzkich zastępów dodawała niezwykłego interesu wszelkim szczegółom, które nie były tego rodzaju, aby mogły dodać otuchy.

O świtaniu nadjechał pan Stanisław Skrzetuski z wieścią, że Szwedzi przyciągnęli już pod Wałcz, o jeden dzień marszu od polskiego obozu. Powstała natychmiast sroga krętanina; większość koni wraz ze służbą była na paszy na łąkach, więc posyłano po nie na gwałt. Powiaty siadały na koń i stawały chorągwiami. Chwila przed bitwą bywa dla niewyżywicznego żołnierza najstraszniejszą; więc zanim rotmistrze zdołali wprowadzić jaki taki porządek, przez długi czas panowało przerażające zamieszanie.

Nie było słychać ni komendy, ni trąbek, tylko głosy wołające ze wszystkich stron: „Janie! Piotrze! Onufry! bywaj!... Żeby cię zabiło! dawaj konie!... Gdzie moja służba?... Janie! Piotrze!” Gdyby w tej chwili rozległ się jeden strzał działowy, zamieszanie łatwo w popłoch zamienićby się mogło.

Zwolna jednak powiaty stawały w ordynku. Przyrodzone usposobienie szlachty do wojny, zastąpiło poniędź brak doświadczenia i około południa przedstawiał już obóz dość imponujący widok. Piechota stała
na wałach, podobna do kwiatów w swych różnobarwnych kabatach; dymy unosły się z zapalonych lontów, a na zewnątrz wałów, pod zasłoną dział, łyżgi i równina zarośły się powiatowemi chorągwiami jazdy, w szyku stojącej na dziennych koniach, których rzenie budziło echo w pobliskich lasach i napełniało serca zapałem wojennym.

Tymczasem wojewoda poznański wyprawił trędzbacza z odpowiedzią na listy, brzmiącą mniej więcej tak, jak przepowiedział Radziejowski, a zatem polityczną zarazem i rzymską; poczemu postanowił wysłać podjazd na północny brzeg Noteci dla pochwycenia nieprzyjacelskiego języka.

Piotr Opaliński, wojewoda podlaski, stryjeczny wojewody poznańskiego, miał ruszyć własną osobą z podjazdem, wraz ze swymi dragonami, których sto pięćdziesiąt pod Ujście przyprowadził, a oprócz tego polecono panom rotmistrzom, Skoraszewskiemu Władysławowi i Skrzetuskiemu, wezwać ochotnika ze szlachty, do pospólitego ruszenia należącej, aby i ona zajrzała już przecież w oczy nieprzyjacielowi.

Jeżdżili tedy obaj przed szeregiem, czyniąc rozkosz oczom moderunkiem swym i postawą; pan Stanisław czarny jak źuk, na podobieństwo wszystkich Skrzetuskich, z twarzą męską, groźną i ozdobioną długą ukośną blizną, od cięcia miecza pozostałą, z kruczą rozwianą na wiatr brodą; pan Władysław tłustawy, z długimi jasnemi wąsami, z odwiniętą wargą dolną i oczyma w czerwonych obwódkach, łagodny i poczuciwy, mniej przypominał Marsa, ale niemniej była to szczera dusza żołnierska, jak salamandra w ogniu się kochająca. Rycerz znający wojnę, jako swoje dziesięć
palców i odwagi nieporównanej. Obaj, przejeżdżając szeregi wyciągnięte w długą linię, powtarzali co chwila:

— A nuże, mości panowie, kto na ochotnika pod Szweda? Kto rad prochu powąchać! Nuże, mości panowie, na ochotnika!


Rotmistrze poczynali się niecierpliwić, aż nagle, gdy przyjechali przed powiat gnieźnieński, jakiś człowiek postro ubrany wyskoczył na kucu nie z szeregu, ale zza szeregu i krzyknął:

— Mości panowie pospolitaki, ja zostaję ochotnikiem, a wy błazunami!

— Ostrożka! Ostrożka! — zawołała szlachta.

— Taki dobry szlachcic, jak i każdy! — odpowiedział blazen.

— Tu! do stu dyabłów! — zawołał pan Rosiński, podszedł — dość błazenstw! idę ja!

— I ja! i ja! — zawołały liczne głosy.

— Raz mnie matka rodziła, raz mi śmierć!

— Znajdź się tacy dobrzy, jak i ty!

— Każdemu wolno! Niech się tu nikt nad drugich nie wynosi.

I jak poprzednio nikt nie stawał, tak teraz poczęła się sypać szlachta ze wszystkich powiatów — prześcigać końmi, zawadzać jedni o drugich i kłócić napędce. Stanęło w mgnieniu oka z pięćset koni, a jeszcze ciągle wyjeżdżano z szeregów. Pan Skoraszewski
począł się śmiać swoim szczerym, poczciwym śmiechem i wołać:

— Dosyć, mości panowie, dosyć! Nie możemy iść wszyscy.

Poczem obaj ze Skrzetuskim sprawili ludzi i ruszyli naprzód.

Pan wojewoda podlaski połączyl się z nimi przy wyjściu z obozu. Widziano ich jak na dłoni, przeprawiających się przez Noteć — poczem zamigotali jeszcze kilkakrotnie na skrętach drogi i znikli z oczu.

Po upływie pół godziny, pan wojewoda poznański kazał rozjeżdzać się ludziom do namiotów, uznał bowiem, że niepodobna ich trzymać w szeregach, gdy nieprzyjaciel jeszcze o dzień drogi odległy. Porozstawiano jednak liczne straże; nie pozwolono wyganiać koni na paszę i wydano rozkaz, że za pierwszym cichem zatrąbieniem przez munsztuk, wszyscy mają siadać na koń i stawać w gotowości.

Skończyło się oczekiwanie, niepewność, skończyły się zaraz swary, kłótnie; owszem: bliskość nieprzyjaciela, jak powiadał pan Skrzetuski, podniosła ducha. Pierwsza szczęśliwa bitwa mogła go nawet podnieść bardzo wysoko i wieczorem zdarzył się wypadek, który zdawał się być nową szczęśliwą wróżbą.

Słońce właśnie zachodziło, oświecając ogromnym, rażącym oczy błąskiem Noteć i zanoteckie bory, gdy po drugiej stronie rzeki ujrzało najprzód tuman kurzu, a potem poruszających się w tumanie ludzi. Wyległo, co żyło, na wały patrzeć, coto za gościę; wtem od straży nadbiegł dragon z chorągwi pana Grudzińskiego, dając znać, że podjazd wraca.

— Podjazd wraca!... wracają szczęśliwie!...
Nie zjedli ich Szwedzi! — powtarzano z ust do ust w obozie.

Oni tymczasem, w jasnych kłębach kurzu, zbliżali się coraz bardziej, idąc wolno, następnie przeprawiali się przez Notec.

Szlachta przypatrywała im się z rękoma nad oczami, bo blask czynił się coraz większy i całe powietrze przesycone było złotem i purpurowem światłem.

— Hej! coś ich kupa większa, niż wyjechała! -- rzekł pan Szlichtyng.

— Jeńców chyba prowadzą, jak mnie Bóg miły! — zakrzyknął jakiś szlachcic, widocznie tchórzem podszyty, który oczom swoim wierzyć nie chciał.

— Jeńców prowadzą! jeńców prowadzą!...

Oni tymczasem zbliżyli się już tak, że twarze można było rozróżnić. Na przedzie jechał pan Skoraszewski, kiwając swym zwyczajem głową i gawędząc wesoło ze Skrzeszyskim, za nimi duży oddział konny otaczał kilkudziesięciu piechurów, przybranych w koliste kapecusze. Byli to istotnie jeńcy szwedzcy.

Na ten widok nie wytrzymała szlachta i puściła się naprzeciw wśród okrzyków:

— Vivat Skoraszewski! Vivat Skrzeszuski!


— A ha! A co?! Dobrze wam psiajuchy!... Z Polakami zachciało się wam wojować? Macie teraz Polaków!!

— Dawajcie ich sam!... Na szable ich!... Bi-gosować!...
— Ha, szołdry! ha, pludraki! popróbowaliście polskich szabel?!
— Mości panowie, nie krzyczcie jak wyrostki, bo jeńcy pomyślą, że wam wojna pierwszyzna! — rzekł pan Skoraszewski. — Zwyczajna to rzecz, że się jeńców w czasie wojny bierze.

Ochotnicy, którzy należeli do podjazdu, spoglądali z dumą na szlachtę, która zarzucała ich pytaniami.
— Jakżeto? Latwo wam się dali? Czy musieliście się zapocieć? Dobrze się biją?
— Taki nie mogli wam się oprzeć, co?
— Impetu nie mogli wytrzymać.
— Mości panowie, słyszycie, co mówią: impetu nie mogli wytrzymać!... A co?... Impet, to grunt!...
— Pamiętajcie, byle z impetem!... Najlepszy to sposób na Szweda!

Gdyby tej szlachcie kazano w tej chwili skoczyć na nieprzyjaciela, niechętnie nie zabrakłoby jej impetu, ale tymczasem nieprzyjaciela nie było widać — natomiast, dobrze już w noc, rozległ się głos trąbki przed forpocztami. Przybywał drugi trąbacz z listem od Wittemberga, wzywającym szlachtę do poddania się. Tłumy, dowiedziawszy się o tem, chciały posłańca rozsykać, ale wojewodowie wzięli list do deliberacy, choć treść jego była bezcelna.

Jenerał szwedzki oświadczał, że Karol Gustaw posyła swe wojska krewnemu Janowi Kazimierzowi, jako posiłki przeciw Kozakom, że zatem Wielkopolsanie powinni się poddać bez oporu. Pan Grudziński, czytając
to pismo, nie mógł wstrzymać oburzenia i pięścią w stół uderzył, ale wojewoda poznański wnet uspokoił go pytaniem:

— Wierzysz waszmość w zwycięstwo?... Ile dni możemy się bronić?... Chceszli wziąć odpowiedzialność za tyle krwi szlacheckiej, która jutro może być przełamaną?...

Po dłuższej naradzie postanowiono nie odpowiadać i czekać, co się stanie. Nie czekano już długo. W sobotę, d. 24 lipca, straż dały znać, że całe wojsko szwedzkie ukazało się naprzeciw Piły. W obozie zawrzało jak w ulu w wili wyroju.

Szlacha siadała na koń, wojewodowie przebiegali szeregi, wydając sprzeczne rozkazy, aż dopiero pan Władysław wziął wszystko w ręce i przyprowadziwszy do porządku, wyjechał na czele kilkuset ochotników, by popróbować harców za rzeką i ludzi z widokiem nieprzyjaciół oswoić.

Sza z nim jazda dość ochotnie, bo harce składały się zwykle z szeregu walk prowadzonych niewielkimi kupami lub pojedynczo, a takich walk, ćwiczona w sztuce robienia szablą, szlachta nie lękała się wcale. Wyszli więc za rzekę i stanęli w obliczu nieprzyjaciela, który zbliżał się coraz bardziej i czerniał długą linią na horyzoncie, jakoby bór świeżo z ziemi wyrosły. Rozwijały się więc pułki konne, piesze, ogarniając coraz szerszą przestrzeń.

Szlachta spodziewała się, że łada chwila spną się ku niej harcownicy, rajtarzy, ale tymczasem nie było ich widać. Natomiast na wzgórzach, odległych o kilkaset kroków, zatrzymały się niewielkie kupki, w których widać było ludzi i konie i poczęły kręcić się na miejscu,
co ujrzawszy pan Skoraszewski, zakomenderował bez zwłoki:

Lewo — w tył!

Ale jeszcze nie przebrzmiał głos komendy, gdy na wzgórach wykwitły długie białe smugi dymu i niby ptastwo jakieś przeleciało ze świstem między szlachtą, potem huk wstrząsnął powietrzem, a jednocześnie rozległy się krzyki i jęki kilku rannych.

— Stój! — krzyknął pan Władysław.

Ptastwo przeleciało po raz drugi i trzeci — i znów świstowi zawtórowiwały jeki. Szlachta nie słuchała komendy naczelnika, owszem ustępowała coraz szybciej, krzycząc i pomocy niebieskiej wzywając — następnie oddział rozproształ się w mgnieniu oka po równinie i ruszył skokiem ku obozowi. Pan Skoraszewski klął — nic nie pomogło.

Zegnawszy tak łatwo harcowników, Wittemberg posuwał się dalej, aż wreszcie stanął naprzeciw Ujścia, wprost przed szańcami, bronionymi przez szlachtę kaliską. Polskie armaty poczęły grać w tejże chwili, ale zrazu nie odpowiadowały na owe salwy ze strony szwedzkiej. Dymy układały się spokojnie w jasnym powietrzu w długie pasma, rozciągające się między wojskami, a przez luki między niemi widziała szlacha pułki szwedzkie. Piechoty i jazdy, rozwijające się ze straszliwym spokojem, jak gdyby pewne zwycięstwa.

Na wzgórzach zataczano armaty, podsypywano szańczyki, słowem, nieprzyjaciel szykował się, nie zwra- cając najmniejszej uwagi na kule, które nie dolatując do niego, obsypywały jeno piaskiem i ziemią pracującego przy szańczykach.

Wyprowadził jeszcze pan Stanisław Skrzetuski
dwie chorągwie Kaliszanów, chcąc śmiertelnym atakiem zmieścić Szwedów, ale nie poszli ochotnie; oddział rozciągnął się zaraz w bezładną kupę, bo gdy odważniejši parli konie naprzód, tchórzliwsi wstrzymywali je umyslnie. Dwa pułki rajtary, wysłanej przez Wittemberga, po krótkiej walce spędzili z pola szlachtę i gnały pod obóz.

Tymczasem zapadł zmrok i zakończył bezkrwawą walkę.

Strzelano jednak z dział aż do nocy, poczem strzały umilkły, ale w obozie polskim podniosła się taka wrzawa, że słychać ją było na drugim brzegu Noteci. Powstała ona najprzód z tego powodu, że kilkaset pospolitaków próbowało wymknąć się w ciemnościach z obozu. Inni spostrzegłsiży to, poczęli grozić i nie puszczać. Brano się do szabel. Słowa „Albo wszyscy, albo nikt!“ znowu przelatywały z ust do ust. Lecz z każdą chwilą stawało się prawdopodobniejszym, że ujdą wszyscy. Wybuchło wielkie niezadowolenie z wodzów: „Wysłano nas z gołemi brzuchami przeciw armatom!“ — wołali pospolitacy.

Oburzano się również i na Wittemberga, że nie szanując zwyczajów wojennych, przeciw harcownikom nie harcowników wysyła, ale z armat ognia do nich niepodziemnie każe dawać. „Każdy poczyna sobie, jak mu lepiej — mówiono — ale świńskiego to narodu obyczaj, czołem do czoła nie stanieć." Inni rozpaczali otwarcie. „Wykurzą nas ztąd, jak jaźwca z jamy“ — mówili desperaci. „Obóz źle zatożony, szańce źle usypane, miejsce do obrony niestosowne." Od czasu do czasu odzywały się głosy: „Panowie bracia! ratujcie się!“ A inne wołały: „Zdrada! zdrada!“
Była to noc straszna: zamieszanie i rozprężenie wzrastało z każdą chwilą; rozkazów nikt nie słuchał. Wojewodowie potracyli głowy i nie próbowali nawet przywrócić ładu. Niedolęta ich i niedolęta pospolitego ruszenia okazywało się jasno, jak na dłoni. Wittemberg mógłby być tej nocy wziąć wstępnym bojem obóz z największą łatwością.

Nastał świt.

Dzień czynił się blady, chmurny i oświecił chaotyczne zbiorowisko ludzi, upadłych na duchu, lamentujących, w znacznej części pijanych, gotowszych na hańbę, niż na walkę. Na domiar złego, Szwedzi, przeprawili się nocą pod Dziębowem na drugą stronę Noteci i otoczyli obóz polski.

Z tej strony nie było prawie wcale szańców i nie było zza czego się bronić. Należało otoczyć się wałem bez straty chwili czasu. Skoraszewski i Skrzetuski za- klinali, by to uczyniono, ale nikt już nie chciał o niczem wiedzieć.

Wodzowie i szlachta mieli na ustach jedno słowo: „paktować!“ Wysłano parlamentarzy. W odpowiedzi przybył z obozu szwedzkiego świetny orszak, na czele którego jechali: Radziejowski i generał Wirtz, obaj z zielonemi gałęziami.

Jechali ku domowi, w którym stał wojewoda poznański, ale po drodze zatrzymywał się Radziejowski wśród tłumów szlachty, kłaniał się gałęzią i kapeluszem, uśmiechał się, witał znajomych i mówił donośnym głosem:

Mości panowie, bracia najmilsi! Nie trwóźcie się! Nie jako wrogowie tu przybywamy. Od was samych zależy, by kropla krwi więcej nie była wytoczona. Jeżeli
chcesz zamiast tyrana, który nastaje na wolności wasze, który o absolutum dominium zamyśla, który ojczystę do ostatniej zguby przywiązł, jeżeli chcesz, powtarzam, pana dobrego, wspaniałego, wojownika tak niezmiernej sławy, że na samo imię jego pierwzną wszyscy nieprzyjacielskie Rzeczypospolitej — to oddajcie się w protekcję najjaśniejszemu Karolowi Gustawowi... Mości panowie, bracia najmilsi! Oto wiozę ze sobą poręczenie wszelkich swobód waszych, waszej wolności, religii. Od was samych ocalenie wasze zależy... Mości panowie! Najjaśniejszy król szwedzki podejmuje się przytłumić rebelią kozacką, zakończyć wojnę litewską i on jeden to uczyni potrafi. Ulitujcie się nad ojczyzną nieszczęsną, jeśli nad sobą nie macie litości...

Tu głos zdrążcy, zadrgał, jakoby łzami przyduszyły. Słuchała szlachta w zdumieniu, gdzienniegdzie rzadkie głosy zakrzyknęły: „Vivat Radziejowski, nasz podkanclerzy!“ — a on przejeżdżał dalej i znów się klańiał nowym tłumom i znów słychać było jego tubalny głos: „Mości panowie, bracia najmilsi!“ Nakoniec obaj z Wirtzem i całym orszakiem znikli w domu wojewody poznańskiego.

Szlachta stłoczyła się przed domem tak ciasno, że po głowach można było przejechać, bo czuła to i rozumiała, że tam w tym domu toczy się sprawa nietylko o nią, ale i o całą ojczyznę. Wyszli sędziowie wojewodzienicy w szkarlatnych barwach i poczęli zapraszać poważniejszych „personatów“ do środka. Ci weszli skwapliwie, a za nimi wdarło się kilku mniejszych, a reszta stała pod drzwiami, tłoczyła się do okien, przykładała uszy nawet do ścian.
Milczenie panowało w tłumach głębokie. Stojący bliżej okien słyszeli od czasu do czasu gwar donośnych głosów, wydobywający się z wnętrza izby, jakoby echa kłotni, dysput, sporów... Godzina upływała za godziną — końca tej naradzie nie było.

Nagle drzwi wchodowe otworzyły się z trzaskiem i wypadł z nich pan Władysław Skoraszewski.

Obecni cofnęli się w przerażeniu.

Ten człowiek, zwykle tak spokojny i łagodny, o którym mówiono, że rany mogły się goić pod jego ręką, wyglądał teraz strasznie. Oczy miał czerwone, wzrok obżarty, odzież rozchlastaną na piersiach; obu rękoma trzymał się za czuprynę i tak wpadłszy, jak piorun, między szlachtę, krzyczał przerażliwym głosem:

— Zdrada! morderstwo! hańba! Jesteśmy Szwecją już, nie Polską!

I począł ryczeć okropnym głosem, spazmatycznym płaczem i rwać włosy, jak człowiek, który rozum traci. Grobowe milczenie panowało dokoła. Straszne jakieś uczucie ogarnęło wszystkie serca.

Skoraszewski zaś zerwał się nagle, począł biegać między szlachtą i wołać głosem najwyższej rozpaczy:

— Do broni! Do broni, kto w Boga wierzy! Do broni! do broni!

Wówczas jakieś szmery poczęły przelatywać po tłumach, jakieś szepy chwilowe, nagle, urywane, jak pierwsze uderzenia wiatru przed burzą. Wahały się serca, wahaly umysły, a w tej rozterce powszechnej uczuć, tragiczny głos wołał ciągle:

— Do broni! do broni!

Wkrótce zawtórowały mu dwa inne: pana Piotra Skoraszewskiego i pana Skrzeszyńskiego — za nimi nad-

Potop. T. I.
biegł i Kłodziński, dzielny rotmistrz powiatu poznańskiego.

Coraz większe koło szlachty poczęło ich otaczać. Czynił się naokoło szmer groźny, płomienie przebiegały twarze i strzelały z oczu, trzaskano szabłami. Władysław Skoraszewski opanował pierwsze uniesienie i począł mówić, ukazując na dom, w którym odbywała się narada:

— Słyszycie, mości panowie, oni tam ojczynną zaprzedają, jak Judasze i hańbią! Wiedzcie, że już nie należym do Polski. Mało im było wydać w ręce nieprzyjaciela was wszystkich, obóz, wojsko, działa. Bodaj ich zabito! jeszcze podpisali w swojem i waszem imieniu, że wyrzekamy się związku z ojczyzną, wyrzekamy się pana, że cała kraina, grody, warownie i my wszyscy będziemy po wieczne czasy do Szwecji należeć. Że się wojsko poddaje, to bywa; ale kto ma prawo ojczyzny i pana się wyrzekać?! Kto ma prawo prowincją odrywać, z obcymi się łączyć, do innego narodu przechodzić, krwi własnej się wyrzekać?! Mości panowie, to hańba, zdrada, morderstwo, paricydyum!... Ratujcie ojczyznę, panowie bracia! Na imię Boga! kto szlachcic, kto cnotliwy, ratunek dla matki! Życie dajmy, krew wylejmmy! Nie chciejmy być Szwedami, nie chciejmy, nie chcijmy!... Bogdaj się nie rodził, kto krwi teraz poskąpi!... Ratujmy matkę!!

— Zdrada! — krzyknęło już kilkadziesiąt głosów. — Zdrada! rozsiekać!

— Do nas, kto cnotliwy! — krzyczał Skrzetuski.

— Na Szweda! na śmierć! — dodał Kłodziński.

I poszli dalej w obóz, krzycząc: „Do nas! do
kupy! zdrada! — a za nimi ruszyło już kilkuset szlachty z gołemi szablami.

Ale większość niezmierna została na miejscu, a i z tych, co poszli, jaki taki spostrzegłszy, że ich niewiele, poczynał się oglądać i przyzostawać.

A tymczasem drzwi radnego domu otworzyły się znów i ukazał się w nich pan wojewoda poznański, Krzysztof Opaliński, mając po prawej stronie jeneryała Wirtza, po lewej Radziejowskiego. Za nimi szli: Andrzej Karol Grudziński, wojewoda kaliski, Maksymilian Miaskowski, kasztelan krzywiński, Paweł Gębicki, kasztelan międzyrzecki i Andrzej Słupski.

Krzysztof Opaliński trzymał w ręku zwój pergaminowy ze zwieszającemi się pieczęciami; głowę miał podniesioną, ale twarz błądą, a wzrok niepewny, choć widocznie silił się na wesołość. Ogarnął oczama tłumy i wśród ciszy śmiertelnej począł mówić dobitnym, lubo nieco zachrypłym głosem:

— Mości panowie! W dniu dzisiejszym poddaliśmy się pod protekcją najjaśniejszego króla szwedzkiego. Vivat Carolus Gustavus rex!

Cisza odpowiedziała wojewódzie; nagle zabrzmił jakiś pojedyńczy głos:

— Veto!

Wojewoda powłókł oczyma w kierunku tego głosu i odrzekł:

— Nie sejmię tu, więc i veto nie na miejscu. A kto chce weutować, niechajże idzie na armaty szwedzkie ku nam wymierzone, które w godzinę z całego obozu jedno rumowisko uczynić mogą.

Tu umilkł, a po chwili spytał:

?— Kto mówił: „veto?“
Nikt się nie ozwał.

Wojewoda znów zabrał głos i mówił jeszcze dobitniej:

— Wszelkie wolności szlachty i duchowieństwa będą zachowane, po-datki nie będą po-większone a i wybierane będą w tenże sam sposób, jak poprzednio... Nikt nie będzie cierpiał krzywd, ani grabieży; wojska jego królewskiej mości nie mają prawa do konsystencji w dobrach szlacheckich, ani do innej egzakcyi, niż taka, z jakiej komputowe polskie chorągwie korzystały...

Tu umilkł i słuchał chciwie szmeru szlacheckiego, jakby chciał wyrozumieć jego znaczenie, poczem skinął ręką:

— Prócz tego mamy słowo i obietnicę jenerała Wittemberga, daną w imieniu jego królewskiej mości, iż jeśli cały kraj pójdzie za naszym zbawiennym przykładem, wojska szwedzkie wnet ruszą na Litwę i Ukrainę i nie wprzód ustaną wojować, aż wszystkie ziemie i wszystkie zamki będą Rzeczypospolitej powrócone. Vivat Carolus Gustavus rex!

— Vivat Carolus Gustavus rex! — zawołało kilkaset głosów.

— Vivat Carolus Gustavus! — brzmiało coraz donośniej w całym obozie.

Tu na oczach wszystkich wojewoda poznański zwrócił się do Radziejowskiego i uściśkał go serdecznie, potem uściśkał Wirtza; poczem wszyscy poczęli się ściskać z sobą. Szlachta poszła za przykładem dygnitarzy i radość stała się powszechną. Wiwatowano już tak, że aż echa rozbrzmiewały w całej okolicy. Ale wojewoda poznański prosił jeszcze miłą brać o chwilę ciszy i rzekł serdecznym tonem:
— Mości panowie! Jenerał Wittemberg prosi nas dziś na ucztę do swego obozu, abyśmy przy kielichach sojusz braterski z męskim narodem zawarli.

— Vivał Wittemberg! vivat! vivat! vivat!

— A potem, mości panowie — dodał wojewoda — rozjedziem się do domów i przy pomocy Bożej rozpoczęciem żniwa z tą myślą, żeśmy w dniu dzisiejzym ojczyznę ocalili.

— Potomne wieki oddadzą nam sprawiedliwość — rzekł Radziejowski.

— Amen! — dokonczył wojewoda poznański.

Wtem spostrzegł, że oczy mnóstwa szlachty patrzą i przypatrują się czemuś wyżej, ponad jego głową. Obrócił się i ujrzał swego błazna, który wspinając się na palce i trzymając jedną rękę za odrzwi, pisał węglem na ścianie radnego domu, tuż nade drzwiami:

„Mane — Tekel — Fares“.

Na świecie niebo pokryło się chmurami i zbierało się na burzę.
ROZDZIAŁ XI.

We wsi Burzec, położonej w ziemi Łukowskiej, na pograniczu województwa Podlaskiego, a należącej podówczas do państwa Skrzetuskich, w sadzie, między dworem a stawem, siedział na ławie stary człowiek, a przy nogach jego bawiło się dwóch chłopaków: jeden pięcio, drugi czteroletni, czarnych i opalonych, jak cyganiątka, a rumianych iwzdrowych. Stary człowiek również czerstwo jeszcze wyglądał, jak tur. Wiek nie zgarbił szerokich jego ramion; z oczu, a raczej z oka, bo jedno miał bietmem pokryte, patrzyło mu zdrowie i dobry humor; brodę miał białą, ale minę gęstą i twarz czerwoną, zdobną na czołe w szeroką bliznę, przez którą było widać kość czaszki.

Obaj chłopaki, chwyciwzy za uszy od cholewy jego bota, ciągnęły je w przeciwną stronę, a on patrzył na staw, oświecony blaskami słonecznymi, w którym ryby rzucały się gęsto, łamiąc gładką powierzchnię toni.

— Ryby tańczą — mruczał sam do siebie. — Nie bójcie się, będziecie wy jeszcze lepiej tańcowały po spuście, albo gdy was kucharka będzie nożem skrobała.

Poczem zwrócił się do chłopaków:
— Odczepcie się basałyki od cholewym, bo jak który ucho urwie, to i ja mu urwę. Co za bąki uprzykrzone! Idźcie kulki przewracać po trawie i dajcie mi spokój! Longinkowi się nie dziwię, bo młodszy, ale Jaremka winien mieć już rozum. Wezmę którego utrapieńca i w staw wrzućę!

Ale stary widocznie okrutnie był zawojowany przez chłopaków, bo żaden z nich nie uląkł się groźby; natomiast starszy Jaremka począł go jeszcze silniej ciągnąć za cholewę, tupać nogami i powtarzać:

— Żeby dziadzio był Bohunem i porwał Longinka.

— Odczep się, ty żuku, mówię ci, ty smyku, tygomółko!

— Żeby dziadzio był Bohunem!

— Dom ja ci Bohuna, póżcekaj, jeno matki zawiółam!

Jaremka spojrzał na drzwi, wychodzące z domu na ogród, ale ujrzałszy, że zamknięte i nie widząc nigdzie matki, powtórzył po raz trzeci, wysuwając buzię naprzód:

— Żeby dziadzio był Bohunem!

— Zamięć mnie te knoty, nie może inaczej być... Dobrze, będę Bohunem, ale raz jeden tylko. Skaranie Boże! Pamiętaj, żebyś się więcej nie naprzykrzął.

To rzekłszy, stary stęknął trochę, podniósł się z ławki, nagle porwał małego Longinka i wydając dziekie okrzyki, począł go unosić w kierunku stawu.

Longinek jednak miał dzielnego obrańcę w osobie Jaremki, który w takich razach nie nazywał się Jaremką, ale panem Michałem Wołodyjowskim, rotmistrzem dragoniskim.
Pan Michał tedy, zbrojny w pątyk lipowy, zastępujący w nagłym razie szablę, puścił się z impetem za otyłym Bohunem, dognał go wkrótce i począł siekać po nogach bez miłosierdzia.

Longinek, grający rolę mamy, wrzeszczał, Bohun wrzeszczał, Jaremka-Wołodyjowski wrzeszczał; ale męstwo w końcu przemogło i Bohun, opuściwszy swą ofiarę, począł zmykać z powrotem pod lipę, nakoniec dopadłszy ławki, padł na nią, sapiąc straszliwie i po-wtarzając:

— Ha, basałyki!... Cud będzie, jeżeli się nie zatchnę...

Lecz nie tu był jeszcze koniec jego męki, gdyż za chwilę później stanął przed nim Jaremka, zarumieniony, z rozwianą czupryną i rozdętymi nozdrzami, podobny do małego czupurnego jastrzębka i jął powtarzać z większą jeszcze, niż poprzednio, energią:

— Źeby działoś był Bohunem!

Po wielu naleganiach i uroczystym przyczynieniu złożonym przez obydwóch chłopców, że tym razem będzie to na pewno ostatni raz, historia powtórzyła się znowu z całą dokładnością; poczem już siedli we trzech na ławie i Jaremka począł nalegać:

— Dziiadziu! powiedzieć, kto był najmężniejszy.
— Ty, ty! — odrzekł staruszek.
— I wyrosnę na rycerza?
— Pewnie, że wyroślesz, bo dobra w tobie krew żołnierska. Daj ci Boże, abyś był do ojca podobny, bo przy męstwie mniej byłbyś uprzykrzony... Rozumiesz?
— Powiedzieć, ilu tata zabił?
— Mało sto razy mówilem! Prędzejbyście liście na tej lipie policzyli, niż tych wszystkich nieprzyjaciół,
którzycheśmy obaj z waszym ojcem zglądzili. Gdybym miał tyle włosów na głowie, ilum sam położył, bal-wierze w Łukowskiem porobiliby fortuny — nic, tylko na podgalaniu mi czupryny. Szelmą jestem, jeśliim zeż...

Tu pan Zagłoba — onto był bowiem — spo-strzegł, iż nie wypada mu ani zakłinać się, ani prze-klinać wobec chłopaków, więc chociaż w braku innych słuchaczów lubi i dzieciom opowiadać o swych daw-niejszych przewagach, zamilkł tym razem, zwłaszcza, że ryby w stawie poczęły się rzucać z podwójną siłą.

— Trzeba będzie powiedzieć ogrodniczkowi, — rzekł — aby wieczerze na noc zastawił; siła zacnych ryb przy samym brzegu się tłocze.

Wtem drzwi domu, wychodzące na ogród, otwo-rzyły się i ukazała się w nich kobieta piękna jak po-ludniowe słońce, wysoka, tego, czarnowłosa, z ciemnemi rumieńcami na twarzy i oczyma jak aksamit. Trzeci chłopak, trzylatek, czarny jak kula agatu, trzymał się za jej suknię, a ona nakrywszy oczy ręką, poczęła pa-trzeć w kierunku lipy.

Była to pani Helena Skrzetuska, z domu knia-ziów Bułhów-Kurcewiczów.

Ujrzałszy pana Zagłobę z Jaremką i Longinkiem pod lipą, posunęła się kilka kroków ku fosie, wypeł-nionej wodą i zawołała:

— A bywajcieno chłopcy! Pewnie tam dziadu-niowi dokuczacie?

— Co mają dokuczać! Wcale się tu przystojnie zachowali — odpowiedział pan Zagłoba.

Chłopaki skoczyły ku matce, a ona rzekła:

— Co tatuś woli dziś pić, dębniaczek czyli miód?
Świnina była na obiad, to miód będzie grzezniejszy.

Zaraz przyszłę. Ale niech jeno tatże nie drzenie na powietrzu, bo febra pewna.

Dziś ciepło i wiatru niema. A gdzie to Jan, córuchno?

Poszedł do stodół.

Pani Skrzeluska mówiła panu Zagłobie: ojce, a on jej: córuchno, choć wcale nie byli krewni. Jej rodzina mieszkała na Zadnieprzu, w dawnem państwie Wiśniowieckim, a co do niego, Bóg jeden wiedział, zkąd był rodom, gdyż sam rozmaicie o tem powiadał. Ale za czasów, gdy jeszcze była panną, Zagłoba znamienite jej oddał usługi i ze straszliwych niebezpieczeństw ratował, więc też oboje z mężem czcili go jako ojca i w całej okolicy niezmiernie był od wszystkich szanowany, tak dla obrotowego rozumu, jak i dla nadzwyczajnego męstwa, którego liczne w różnych wojnach, a mianowicie w kozackich, dał dowody.

Imię jego głośne było w całej Rzeczypospolitej — sam król kochał się w jego opowiadaniach i dówcipie, a wogóle więcej o nim mówiono, niż nawet o panu Skrzeluskim, chociaż pan Skrzeluski przedarł się w swoim czasie z oblężonego Zbaraża przez wszystkie wojska kozackie.

W chwilę po odejściu pani Skrzeluskiej, pachołek przyniósł pod lipę gąsierek i szklanicę. Pan Zagłoba nalał, następnie zamknął oczy i począł próbować pilnie.

Wiedział Pan Bóg dlaczego pszczoły stworzył! — mrugnął pod nosem.

I jął popijać zwolna, oddychając przytem głęboko spoglądając na staw i za staw, hen, na czarne i sine
bory, ciągnące się jak okiem dojrzać, po drugim brzegu. Godzina była druga po południu, a niebo bez chmurki. Kwiat lipowy spływał bez szelestu na ziemię, a na lipie między liściami śpiewała cała kapela pszczół, które wnet poczęły siadać na ząbkach szklanicy i zgarniać słodki płyn kosmatemi nóżkami.

Nad wielkim stawem, z trzcin odległych, przełomionych mgłą oddalenia, podnosiły się czasem stada kaczek, cyranek lub dzikich gezi i szybowały w błękitem przezroczu, podobne do czarnych krzyżyków; czasem klucz żórawi zaczerniał wysoko na niebie, grając donośnym krzykiem — zresztą cicho było naokoło i spokojnie i słoneczno i wesoło, jak to bywa w pierwszych dniach sierpnia, gdy zboża już dojrzały, a słońce sypie jakoby złoto na ziemię.

Oczy starego człowieka to podnosiły się ku niebu, ściegając stada ptastwa, to znowu ginęły w oddali, ale coraz senniesze, w miarę jak miodu w gąsiorku ubywało i powieki ciężyły mu coraz bardziej — pszczoly śpiewały na różne tony swą piosenkę, jakoby umyslnie do poobiedniej drzemki.

— Tak, tak, dał Pan Bóg piękny czas na żniwa — mruknął pan Zagłoba. — I siano dobrze zebrane i żniwa duchem pójdię... Tak, tak...

Tu przynknął oczy, poczem otworzył je znowu na chwilę — mruknął jeszcze: „Zmęczyły mnie dziecięka...“ — i usnął na dobre.

Spać dość długo, ale po pewnym czasie zbudził go lekki powiew chłodniejszego powietrza, oraz rozmowa i kroki dwóch mężczyzn, zbliżających się szybko pod lipę. Jeden z nich był to pan Jan Skrzetuski, słynny zbarańczyk, który od miesiąca wróciwszy od hetmanów z Ukra-
iny, bawił w domu, lecząc się z febru upartej; drugiego nie znalazł pan Zagłoba, chociaż wzrotem, postawą i nawet rysami twarzy, wielce był do Jana podobny.

— Przedstawiam wam, ojcusku — rzekł Jan — stryjecznego mego, pana Stanisława Skrzetuskiego ze Skrzetuszewa, rotmistrza kaliskiego.

— Wazszość pan tak do Jana podobny, — odparł Zagłoba, mrógając oczyma i strząsając resztki snu z powiek — że gdziebym waszności spotkał, zarazbym powiedział: „Skrzetuski!“ Hej, co za gość w domu!

— Miło mi zabrać znajomość z waępanem dobrodziejem, — odparł Stanisław — tem bardziej, że mię znane mi było dobrze, bo je rycerstwo w całej Rzeczypospolitej ze czcią powtarza i za przykład podaje.

— Nie chwaląc się, robiło się, co mogło, póki się siłę czuło w kościch. Jeszcze i teraz radby człnek wojny pokosztował, bo consuetudo altera natura. Ale czemu to waępanowie tak strapieni jesteście, aż Ja-nowi oblicze poblądło.

— Stanisław straszne przywiozła wieści — od-rzekł Jan. — Szwedzi weszli do Wielkopolski i już ją całkiem zajęli.

Pan Zagłoba zerwał się z ławy, jakby mu czter-dzieści lat ubyło, otworzył szeroko oczy i począł mówić macać się po boku, jakby szukając szabli.

— Jakto? — rzekł — jakto, całą ją zajęli?

— Bo ją wojewoda poznański i inni wydali pod Ujściem w ręce nieprzyjaciela — odparł Stanisław Skrzetuski.

— Dla Boga!... Co waępan mówisz!... Pod-dali się!...

— Nietylko się poddali, ale podpisali ugodę,
w której wyrzekli się króla i Rzeczypospolitej... Odtąd tam ma już być Szwecja, nie Polska.

— Na miłosierdzie boskie! Na rany Ukrzyżowana... To się chyba świat kończy?... Co ja słyszę...?... Jeszcześmy wczoraj z Janem mówili o tej groźbie od Szweda, bo były wieści, że idą, ale obaj byliśmy pewni, że to się na niczem skończy, a co najwiecej na wyrzeczeniu się tytułu króla szwedzkiego przez naszego pana, Jana Kazimierza.

— A tymczasem zaczęło się od utraty prowincji, a skończy się, Bóg wie na czem.

— Przestań waćpan, bo mnie krew zaleje!... Jakże?... I waćpan był pod Ujściem?... I waćpan patrzył na to wszystko własnymi oczyma?... Toż to poprostu zdrada była najzarządziała, w dziejach niesłychana!

— I byłem i patrzyłem, a czy to była zdrada, sam waszność, gdy wszystko usłyszysz, osądzisz. Stałiśmy pod Ujściem, pospolite ruszenie i piechota łańcowa, razem z piętnaście tysięcy ludzi i zalegalizmy pasy nad Notecią ab incursione hostili. Prawda, że wojska było mało, a waszność, jako doświadczony żołnierz, wiesz najlepiej, czy pospolite ruszenie może je zastąpić, a tem bardziej wielkopolskie, gdzie szlachta znacznie od wojny odwyrka. Jednakże, gdyby się wódz był znalazł, można było postaremu dać wstęrę nieprzyjacielowi i przynajmniej zatrzymać go, pókiUBY Rzeczpospolita jakich posiłków nie obmyśliła. Ale ledwie się Wittemberg pokazał, zaczęto zaraz paktować, nim się kropla krwi polała. Potem przyjechał Radziejowski i swemi namowami sprawił to, co mówiłem, to jest i nieszczęście i hańbę, jakiej przykładu dotąd nie było.
— Jakże? nikt się nie opierał?... Nikt nie protestował? Nikt zdrady na oczy tym szelmem nie wyrzucił?... Wszyscy się na zdradę ojczyzny i pana zgodził?...

— Ginie cnota, a z nią i Rzeczpospolita, bo prawiście wszyscy się zgodziłi... Ja, dwóch panów Skoraszewskich, pan Ciświcki i pan Kłodziński, czyniliśmy, cośmy mogli, aby ducha między szlachtą do oporu podbodzić. Pan Władysław Skoraszewski mało nie oszalał; lataliśmy po obozie od powiatu do powiatu i Bóg widzi, nie było tych zakłęć, którychbyśmy nie użyli. Ale coż to pomogło, gdy większość wolała jechać z łyżkami na bankiet, który im Wittemberg obiecał, niż z szablami na bitwę. Widząc to, cnotliwsi rozjechali się na wszystkie strony — jedni do domów, druży do Warszawy. Panowie Skoraszewscy ruszyli właśnie do Warszawy i pierwsi wiadomość królowi przywiozą, a ja, nie mając żony, ni dzieci, tu przyjechałem do brata, w tej myśli, że się przecież razem na nieprzyjaciela wybierzemy. Szczęściem, żem waszmościów w domu zastał!

— To waszmość prosto zpod Ujścia?

— Prosto. Tylem tylko po drodze wypoczywał, ile było trzeba dla koni, a i to jeden mi padł ze zmięczenia. Szwedzi muszą już być w Poznaniu i ztamtał prędko się po całym kraju rozleją.

Tu umilkli wszyscy. Jan siedział z dłońmi opartemi na kolanach, oczy wbił w ziemię i zamyślił się ponuro, pan Stanisław wzdychał, a pan Zagłoba, nie ochłonąwszy jeszcze, spoglądał osłupiałym wzrokiem, to na jednego, to na drugiego...

— Złe to są znaki — rzekł w końcu posępnie Jan.—
Dawniej na dziesięć zwycięstw przychodziła jedna klęska i świat dziwiliśmy mężewem. Dziś przychodzą nie tylko klęski, ale i zdrady — nietylnko pojedynczych osób, ale całych prowincjy. Niech Bóg zmiłuje się nad ojczyzną!

— Dla Boga, — rzekł Zagłoba — widziałem na świecie dużo, słyszę, rozumiem, a jeszcze mi się wierzyć nie chce...

— Co myślisz czynić, Janie? — rzekł Stanisław.

— Pewnie, że w domu nie ostanę, chociaż mnie zimno jeszcze trzęsie. Żonę i dzieci trzeba będzie gdzie bezpiecznie umieścić. Pan Stabrowski, mój krewny, jest łowczym królewskim w puszczu Białowieskiej i w Białowieży mieszka. Choćby cała Rzeczpospolita wpadła w moc nieprzyjaciół, to przecież tam nie trafią. Jutro zaraz żonę i dzieci wyszłe.

— I nie będzie to zbytnia ostrożność, — odrzekł Stanisław — bo choć z Wielkopolski tutaj daleko, kto wie, czy płomień wkrótce i tych stron nie ogarnie.

— Trzeba będzie szlachcie dać znać, — rzekł Jan — ażeby się kupili i o obronie myśleli, bo tu jeszcze nikt o niczem nie wie.

Tu zwrócił się do pana Zagłoby.

— A wy, ojce, pójjdziecie z nami, czyli też Helenie zechcecie do puszczu towarzyszyć?

— Ja? — odpowiedział pan Zagłoba — czy pójdę? Chybaby mi nogi korzenie w ziemię puściły, wtedybym nie poszedł, a i to prosiłbym kogo, żeby mnie wykorczował. Tak mi się chce szwedzkiego mięsa znowu pokosztować, jak wilkowi baraniny! Ha! szelmy, pludraki, pończoszniki!... Pchły im po łydkach inkursyją czynią, więc nogi ich swędzą i przezto w domu usie-


— Było by na to czas — odrzekł Stanisław. — Król jegomość musi tam na gwałt zbierać chorągwie i wprzód nim przyjdzimy, na nieprzyjaciela pociągnie, a może i spotkanie już nastąpi.
— I to być może.
— Jedźmy tedy ku Warszawie, byle spiesznie — rzekł Zagłoba. — Pośluchajcie waćpanowie... Prawda, że nasze imiona groźne są nieprzyjacielowi, ale przecie we trzech niewiele wskóramy, więc jałym radził tak: Skrzyknijmy szlachty na ochotnika, ile się da, żeby tak choć z chorągiewkę panu przyprowadzić! Łatwo ich do tego namówimy, bo i tak muszą ruszyć, gdy przyjdą wici na pospolite ruszenie, więc im to wszystko jedno — a powiemy, że kto przed wiciami dobrowolnie stanie, miłą panu rzecz uczyni. Z większą siłą, więcej można będzie sprawić i przyjmą nas z otwartem rękoma.

— Nie dziw się waszmość moim słowom, — rzekł pan Stanisław — ale po tem, com widział, takiego do pospolitego ruszenia nabrałem wstrętu, że wolę sam iść, niżeli z tłumem ludzi wojny nieznanących.

— To waszmość nie znasz tutejszej szlachty. Tu jednego takiego nie upatrzysz, któryenby w wojsku nie sługiwał. Wszystko ludzie doświadczeni i dobrzy żołnierzne.

— Chyba, że tak.
— Zaś miałoby być inaczej? Ale poczekajcieno! Jan to już wie, że gdy raz pocznę głową robić, to mi sposobów nie brak. Dlatego w wielkiej żyłem konfiden-cy z wojewodą ruskim, księciem Jeremim. Niech Jan zaświadczy, ile razy ten największy w świecie wojownik szedł za moją radą i zawsze na tem wygrywał.

— Mówcieno ojcie, co chcecie powiedzieć, bo czasu szkoda — rzekł Jan.

— Co chciałem powiedzieć? Oto, co chciałem powiedzieć: nie ten broni ojczyzny i króla, kto się króla za poły trzyma, ale ten, kto nieprzyjaciela bije; a bije
ten najlepiej, kto pod wielkim wojownikiem służy. Polo-
czo mamy na niepewne do Warszawy chodzić, kiedy król
jegomość właśnie może już do Krakowa, do Lwow, albo na Litwę wyjechać; ja waszmościom radzę, abyśmy
bez zwłoki udali się pod chorągwie hetmana wielkiego
litewskiego, księcia Janusza Radziwiłła. Szczery to pan
i wojenny. Chociaż go o pychę pomawiają, pewnie nie
będzie on przed Szwedami kapitulował. To przynaj-
mniej wódz i hetman, jak się należy. Ciasno tam bę-
dzie prawda, bo z dwoma nieprzyjaciółmi robota;
ale zato pana Michała Wołodyjowskiego zobaczymy,
który w kompucie litewskim służy i znów postaremu
do kupy się zbierzem, jako za dawnych czasów. Je-
żeli nie dobrze radzę, niechże mnie pierwszy Szwed
za rapie w jasyr poprowadzi.
— A kto wie? a kto wie? — odrzekł żywo Jan —
Może tak będzie najlepiej.
— I jeszcze Halszkę z dziećmi po drodze odpro-
wadzimy, bo właśnie przez puszcę przyjdzie nam je-
chać...
— I w wojsku, nie między pospolitakami będziem
slużyli — dodał Stanisław.
— I będziem się bić, nie sejmikować, ani kury
po wsiach i twarogi wyjadać.
— Waszmość to widzę nietylko w wojnie, ale
i w radzie prym możeszz trzymać — rzekł pan Stanisław.
— Co? ha?
— Istotnie, istotnie! — rzekł Jan. — Najlepsza
to rada. Postarem, kupą z Michałem pójdziemy.
Poznasz, Stanisławie, największego żołnierza w Rzeczy-
pospolitej i przyjaciela mego szczerego, brata. Pójdźmy
teraz do Halszki powiedzieć jej, żeby się też w drogę szykowała.

— Ażeby ona już o wojnie? — zapytał pan Zagłoba.

— Wie, wie, bo przy niej najpierw Stanisław opowiadał. Cała we łzach nieboga... Ale gdym jej rzekł, że trzeba iść, zaraz mi powiedziała: „Idź!”

— Chciałbym jutro już ruszyć! — zakrzyknął Zagłoba.


Poszli.

Pan Stanisław, zdrożony wielce, ledwie się posiliwszy i napiwszy, zaraz spać poszedł, a pan Jan z panem Zagłobą zakrzątnęli się około wyprawy. I że ład był u pana Jana wielki, więc wozy i ludzie ruszyli tegoż jeszcze wieczora, na noc, a nazajutrz w dzień pociągnęła za niemi kolaska, w której siedziała Helena z dziećmi i jedna stara panna, rezydentka. Pan Stanisław, pan Jan, wraz z pięcioma pachołkami, jechali konno koło kolaski. Cały orszak posuwał się żywo, bo po miastach świece konie czekały.

16
Tak jadąc i nie wypoczywając nawet nocami, piętę dnia dojechali do Bielska, aż szóstego pograżyli się już w puszczy od strony Hajnowszczyzny.

Objęty ich wraz mroku olbrzymiego boru, który podówczas kilkadziesiąt mil kwadratowych okrywał, łącząc się z jednej strony pasmem nieprzerwanem aż hen z puszcżą Zielonką i Rogowską, z drugiej z pruskiem borami.

Żaden najeźdnik nie depotał nigdy nogą tych ciemnych głębin, w których człon nieobeznany mógł zabłądzić i błagać się wkoło, aż póki nie padł z wysilenia lub nie poszedł na łup drapieżnym zwierzętom. Nocami odczywali się tu ryki żubrów i niedźwiedzi, wraz z wyciem wilków i beczeniem chrapliwem rysiów. Niepewne drogi wiodły wśród gęstwy lub gołoborza, obok zwalów, wywrotów, bagien i straszliwych śpiących jeziorek, do rozrzuconych wsi budników, smolarzy i osaczników, którzy częstokroć przez całe życie nie wychylali się z puszczy. Do Białowieży tylko samej prowadził szerszy gościniec, przerywany Suchą drogą, którą królówie jeździli na łowy. Tędy też od strony Bielska i Hajnowszczyzny jechali Skrzeluscy.

Pan Stabrowski, łowiecy królewski, stary samotnik i kawaler, siedzący ustawicznie jak żubr w puszczy, przyjął ich z otwaritemi rękami; dzieci zaś mało nie zdusił w pocałunkach. Żył bowiem tylko z osacznikami, szlacheckiej twarzy nie widząc, chyba wtedy gdy dwór zjechał na łowy.

Onto zawiadował całem gospodarstwem myśliwi skiem i wszystkimi smolarniami puszczy. Wielce się strapił wieścią o wojnie, o której się dopiero z ust pana Skrzeluskiego dowiedział.
Częstokroć bowiem tak bywało; że w Rzeczypospolitej paliła się wojna, umierał król, a do puszczy wieść o tem nawet nie dochodziła; dopiero pan łowczy przywoził nowiny, gdy od pana podskarbiego litewskiego wrażał, któremu raz do roku rachunki z puszczańskiego gospodarstwa obowiązany był składać.

— Nudno tu będzie, bo nudno! — mówił pan Stabrowski do Heleny — ale przepiecznie, jakby nigdzie na świecie nie było. Żaden nieprzyjaciel nie przedrze się przez te ściany, a chociaż i próbował, toby mu oszczenicy wszystkich ludzi w lot wystrzelali. Łatwiej Rzeczypospolitą całą zawojować — czego Boże nie daj! — niż puszcę. Dwadzieścia lat już tu żyję, a i ja jej nie znam, bo są miejsca, gdzie dostąpić nie można i gdzie zwierzę tylko mieszka, a może i złe duchy mają swoje stacje, do których się przed głosami dzwonów kościołowych chronią. Ale my żyjemy pobożnym, bo we wsi jest kaplica; do której ksiądz z Bielska raz na rok zjeżdża. Będzie wam tu, jak w niebie, jeśli nuda nie do-kuczy. Zato drzew na opał nie zbraknie...

Pan Jan rad był z całej duszy, że takie schronisko dla żony wynalazł; ale próżno go pan Stabrowski zatrzymywał i ugaszał.

Przenocowawszy tylko, ruszyli rycerze nazajutrz świtem nawskróś puszczy w dalszą drogę, prowadzeni w labiryncie leśnym przez przewodników, których pan łowczy dostarczył.
ROZDZIAŁ XII.

Gdy pan Jan Skrzetuski ze stryjecznym Stanisławem i panem Zagłobą, po uciążliwej drodze z puszczy, przybyli wreszcie do Upity, pan Michał Wołodyjowski mało nie oszalał z radości, zwłaszcza, że dawno już nie miał o nich żadnej wiadomości, o Janie zaś myślał, że znajduje się z chorągwią królewską, której porucznikowali na Ukrainie u hetmanów.

Brał ich też z kolei w ramiona i wyściskawszy, znowu ściskał i ręce zacierał; a gdy mu powiedzieli, że pod Radziwiłłem chcą służyć, uradował się jeszcze bardziej na myśl, że nie prędko się rozłączą.

— Chwała Bogu, że do kupy się zbieramy, starzy zbarażczykowie — mówił. — Człowiek i do wojny większą ma ochotę, gdy czuje konfidentów koło siebie.

— To była moja myśl — rzekł pan Zagłoba — bo oni do króla chcieli lecieć... Ale ja powiedziałem: a czemu więc nie mamy sobie z panem Michaelem starych czasów przypomnieć? Jeśli nam Bóg tak poszczera, jak z Kozakami i z Tatarami szczęślił, to niejednego Szweda wkrótce mieć będziemy na sumieniu.

— Bóg waści natchnął tą myślą! — rzekł pan Michał.
— Ale mi dziwno — rzekł Jan — żeście o Ujściu i o wojnie już wiedzieli. Stanisław ostatnim końskim tchem do mnie przyjechał, a my tak samo tu jechali, myśląc, że pierwsi będziem nieszczęście zwiastowali.

— Musiała przez Żydówwieść tutaj przyjść, — rzekł Zagłoba — bo oni zawsze najpierwsi wszystko wiezą i taka między nimi korespondencya, że jak który rano kichnie w Wielkopolsce, to już wieczorem mówi mu na Żmudzi i na Ukrainie: „na zdrowie!“

— Nie wiem, jak to było, ale od dwóch dni wiemy — rzekł pan Michał — i konsternacja tu okrutna... Pierwszego dnia jeszcześmy nie bardzo wierzyliśmy, ale drugiego już nikt nie negował... Co więcej powiem: jeszcze wojny nie było, a rzekłbyś, ptaki o niej śpiewały w powietrzu, bo wszyscy naraz i bez powodu poczęli o niej gadać. Nasz książę-wojewoda musiał się też jej spodziewać i coś przed innymi wiedzieć, bo się krącił, jak mucha w ukropie i w ostatnich czasach do Kiejdan przyleciał. Zaciągłem ja, Stankiewicz i niejaki Kmicic, chorąży orszański, który, jako słyszałem, już gotowińską chorągiew do Kiejdan odprowadził. Ten się najpierwiej z nas wszystkich uwinął...


— Jak go nie mam znać, kiedyś całą wojnę teraźniejszą pod jego komendą odbywał.

— Co wiesz o jego zamysłach? Zacny to pan?

— Wojownik jest doskonały; kto wie, czy po śmierci księcia Jeremiego w Rzeczypospolitej nie największy... Pobili go, prawda, teraz, ale miał sześć ty-
sięcy wojska na ośmdziestą... Pan podskarbi i pan wojewoda witebski okrutnie go zato potępiają, mówiąc, iż przez to z tak małą siłą się porwał na ową niezmierną potęgę, ażeby się z nimi wiktoryą nie dzielić. Bóg raczy wiedzieć, jak było... Ale stawał mążnie i sam życia nie szczędził... A ja, którym na wszystko patrzyl, tyle tylko powiem, iż gdyby miał dosyć wojska i pieniędzy, noga nieprzyjacielska nie uszłyby z tego kraju. Tak myślę, że szczere on się teraz weźmie do Szwedów i pewno ich tu nie będziem czekali, ale do Inflant ruszamy.

— Z czegożto suponujesz?

— Z dwóch powodów: raz, że książę będzie chciał reputacją swą, nieco po cybichowskiej bitwie zachwianą, poprawić, a powtórze, że wojnę kocha...

— Tak jest — rzekł Zagłoba — znam ja go, bośmy razem w szkołach byli i pensa za niego odrabiałem. Zawsze się kochał w wojnie i dlatego lubił ze mną lepiej niż z innymi kompanią trzymać, bom ja także wolał konia i dzidkę niż łacnę.

— Z pewnością, że to nie wojewoda poznański, z pewnością, że to zgoła inny człowiek — rzekł pan Stanisław Skrzetuski.

Wołodyjowski począł go wypytywać o wszystko, co się pod Ujściem zdarzyło i za czuprynę się targał, słuchając opowiadania; wreszcie, gdy pan Stanisław skończył, rzekł:

— Masz waszmość słuszność! Nasz Radziwiłł do takich rzeczy niezdolny. Pyszny on jak dyabeł i zdaje mu się, że w całym świecie większego rodu od Radziwiłłowskiego niema, prawda! Oporu on nie znosi, prawda — i na pana podskarbiego Gosiewskiego, zacnego człowieka, o to zgniewan, że ten nie skacze, jak mu
Radziwiłły zagrają. Na króla jegomości także krzyw, że mu buławy wielkiej litewskiej dość prędko nie dał... Wszystko to prawda, jak i to, że woli w bezecnych błędach kalwińskich żyć, niż do prawdziwej wiary sięwrócić; że katolików, gdzie może ciśnie; że zbory heretyków stawia... Ale za to przysięgnę, że wolałby ostatnią kroplę swojej pysznej krwi wytoczyć, niż taką kapitulacją, jak pod Ujściem, podpisać... Będziem mieli wojny w bród, bo nie skryba, ale wojownik będzie nam hetmanń.

— W to mi graj! — rzekł Zagłoba. — Niczego więcej nie chcemy. Pan Opaliński skryba i zaraz się pokazało, do czego zdatny... Najpodlejszy to gatunek ludzi! Każdy z nich niech jeno pióro z kupra gęsi wyciągnie, to zaraz myśli, że wszystkie rozumy pojadł... Taki syn innym przymawia, a jak przyjedzie do szabli, to go niemasz. Sam zamłodu rytmy układającem, żeby biało-głowskie serca kaptować i byłbym pana Kochanowskiego w kozi róg z jego fraszkami zapędził, ale potem żołnierska natura wzięła górę.

— Przytem jeszcze i to wam powiem, — rzekł Wołodyjowski — że skoro się tu szlachta ruszy, to się kupa ludzi zbierze, byle pieniędzy nie zabrakło, bo to rzecz najważniejsza.

— Na Boga, nie chcę pospolitaków! — zakrzyknął pan Stanisław. — Jan i jegomość pan Zagłoba znają już moj sentyment, a waszmości powiem, że wolę być ciurą w regularnej chorągwi, niż hetmanem nad całym pospolitem ruszeniem.

— Tutejszy lud męny — odrzekł pan Wołodyjowski — i bardzo sprawny. Mam tego przykład z moego zaciągu. Nie mogłem pomieścić wszystkich, którzy
się garnęli, a między tymi, których przyjąłem, niemasz i jednego takiego, co by poprzednio nie służył. Pokażę waścim tę chorągiewkę i upewniam, że gdybyście nie wiedzieli ode mnie, tobyście nie poznali, że to nie starzy żołnierze. Każdy bity i kuty w ogniu, jak stara podkowa, a w szyku stoją, jako triarii rzymscy. Nie pójdziesz z nimi tak łatwo Szwedom, jak pod Ujściem z Wielkopolanami.


— Co prawda, to okrutniem ciekawy, co też umiejąc — odpowiedział pan Wołodyjowski — i gdyby nie to, że dwie inne wojny jednocześnie ojczyznę gnębia, wcalebym się o tę szwedzką nie rozgniewał. Popróbowaćśliśmy i Turków i Tatarów i Kozaków i Bóg wie nie kogo — godzi się teraz Szwedów popróbować. W korone z tem tylko może być kłopot, że wszystkie wojska z hetmanami na Ukrainie zajęte. Ale tu widzę już, co się stanie. Oto książę wojewoda dotychczasową wojnę panu podskarbiemu Gosiewskiemu, hetmanowi półnemu zostawi, a sam się Szwedami szczërce zajmie. Ciężko będzie, prawda! Wszelako miejscy nadzieją, że Pan Bóg pomoże.

— Jedźmy tedy, nie mieszkając, do Kiejdan! — rzekł pan Stanisław.

— Dostałem też rozkaz, żeby chorągiew mieć w pogońowin, a samemu się w trzech dniach w Kiejda-
nach stawić — odpowiedzial pan Michał. — Ale muszę też waściom ten ostatni rozkaz pokazać, bo już z niego znaczą, że tam książę wojewoda myśli o Szwedach.

To rzekłszy, pan Wołodyjowski otworzył kluczem sepecik, stojący pod oknem na ławie, wydobył z niego papier złożony na dwoje i rozwinięwszy, począł czytać.

„Mości panie Wołodyjowski pułkowniku!

„Z wielką radością odczytaliśmy raport waszmości, że chorągiew już na nogach i w każdej chwili może w pochod ruszyć. Trzymaj ją waćpan w czujności i pogotowiu, bo przychodzą tak ciężkie czasy, jakich jeszcze nie bywało, sam zaś przybywaj jak najspieszniej do Kiejdan, gdzie go niecierpliwie oczekiwac będziemy. Gdyby waszmości dochodziły jakie wieści — tym nie wierz, aż wszystko z naszych ust usłyszysz. Postąpmy tak, jak sam Bóg i sumienie nakazuje, bez uwagi na to, co złość i nieżyczliwość ludzka może na nas wymyślić. Ale zarazem cieszymy się, iż nadchodzą takie terminy, w których pokaże się dowodnie, kto jest szczerym i prawdziwym przyjacielem Radziwiłłowskiego domu i kto nawet in rebus adversis służyć mu gotów. Kmiec, Niewiarowski i Stankiewicz przyprowadzili tu już swoje chorągwie; waszmościina niech w Upicie zostanie, bo tam może być potrzeba, a może przyjdzie wam ruszyć na Podlasie pod komendą brata mojego stryjecznego j. o. x. Bogusława, który tam znaczne partie naszych sił ma pod sobą. O tem wszystkim dowiesz się dokładnie z ust naszych — tymczasem zaś polecamy wierności waszej pilne rozkazów spełnienie i oczekujemy cię w Kiejdanach.

Janusz Radziwiłł,

Xiąże na Birżach i Dubinkach,
wojewoda Wileński, hetman w. litewski.
— Tak jest! widoczna już z tego listu nowa wojna! — rzekł Zagłoba.

— A że książę pisze, że postąpi jak mu Bóg nakazuje, to znaczy, że będzie bił Szweda — dodał pan Stanisław.

— Dziwno mi tylko, — rzekł pan Skrzetuski — że pisze o wierności dla domu Radziwiłłowskiego, nie dla ojczyzny, która więcej od Radziwiłłów znaczy i pilniejszego ratunku potrzebuje.

— To taka ich pańska maniera, — odparł Wołodyjowski — choć i mnie się to zaraz nie spodobało, boć i ja ojczyźnie, nie Radziwiłłom służy.


— Dzis rano i właśnie po południu chciałem ruszyć. Wy się przez ten wieczór wywczasujecie po podróży, a ja jutro pewnie wrócę i zaraz z chorągwią ruszymy, gdzie nam każą.


— Do księcia koniuszego! — powtórzył pan Stanisław.

— Książę koniuszy, Bogusław, także teraz w Kijdanach — odparł Wołodyjowski. — Ciekawa to persona i pilnie mu się przypatruję. Wojownik wielki i rycerz jeszcze większy, ale niemasz w nim za grosz Polaka. Zcud佐ziemska się nosi i poniemiecku, albo zgoła po-francusku gada, jakoby orzechy gryzł, której mowy godzinę możesz słuchać i nic nie wyrozumiesz.

— Książę Bogusław pod Beresteczkiem pięknie sobie poczynał — rzekł Zagłoba — i poczet piękny niemieckiej piechoty wystawił.

— Ci co go bliżej znają, nie bardzo go chwalą, — mówił dalej Wołodyjowski — bo się jeno w Niemcach
i Francuzach kocha, co nie może inaczej być, gdyż się z niemkini rodzii, elektorówny brandeburskiej, za którą ojciec jego nieboszczyk, nietylno, że wiana żadnego nie wziął, ale, jakto wdać u tych książątek chuda fara jeszcze dopłacić musiał. Ale Radziwiłłom chodzi o to, by w rzeszy niemieckiej, której są książętami, suffragiu mieli i dlatego radzi z Niemcami się łączyć. Powiadał mi o tem pan Sakowicz, dawny sługa księcia Bogusława, któremu ten starostwo oszmiańskie puścił. On i pan Niewiarowski, pułkownik, bywali z księciem Bogusławem za granicą po różnych zamorskich krajach i zawsze na świadków do pojedynków sługiwały.

— Tyleż to on pojedynków odbywał? — pytał pan Zagłoba.

— Ile ma włosów na głowie! Różnych on tam książąt i grafów zagranicznych, francuskich i niemieckich, siła poszczerbił, boso, mówią, człowiek bardzo zapalczywy a mężny i o lada słowo na pole wyzywa.

Pan Stanisław Skrzetuski rozbudził się z zamyślenia i rzekł.

— Słyszałem i ja o księciu Bogusławie, bo to od nas do elektora niedaleko, u którego on ciągle przesieduje. Pamiętam i to jeszcze, co ojciec wspomniał, że jak się rodzic księcia Bogusława z elektorowną żenił, to ludzie sarkali, że tak wielki dom jak Radziwiłłowski, z obcymi się łączy, ale bogdaj, że lepiej się stało, gdyż teraz elektor, jako radziwiłłowski koliżat, tem życiwszy powinien być Rzeczypospolitej, a od niego teraz siła zależy. To, co waszmaść powiadasz, że u nich chuda fara, to tak nie jest. Pewnie, że gdyby kto Radziwiłłów wszystkich sprzedał, toby za nich elektora z całym księstwem kupił, ale dzisiejszy kurfish Fryderyk Wil-
helm zebrał już niemało grosza i ma dwadzieścia tysięcy wojska bardzo porządnego, z którym śmiało mógłby się Szwedom zastawić, co jako lennik Rzeczypospolitej powinien uczynić, jeżeli Boga ma w sercu i pamięta wszystkie dobrodziejstwa, które Rzeczpospolita jego domowi świadczyła.

— Zali on to uczy? — pytał Jan.

— Czarna byłaby to niewdzięczność i wiarołomstwo z jego strony, gdyby inaczej postąpił! — odparł Stanisław.

— Ciężko to na wdzięczność cudzą liczyć, a zwłaszcza na heretycką— rzekł pan Zagłoba.— Pamiętam jeszcze wyrostkiem tego waszego kurfirsta; zawsze to mruk był, rzekłbyś ciągle słuchał, co mu dyabłę do ucha szepce. Powiedziałem mu to w oczy, gdyśmy z panem Koniecpolskim nieboszczykiem w Prusach byli. Taki on luter, jak i król szwedzki. Daj Boże, żeby się jeszcze ze sobą przeciw Rzeczypospolitej nie sprzymierzili...


— Tem bardziej, że chorągiew kazał w Upicie zatrzymać — odrzekł pan Michał.

— Dobrze mówicie! — zawołał pan Zagłoba — pojedę i ja!

— To jedźmy wszyscy razem — dodał pan Stanisław.

— Akurat na jutro rano będziemy w Kiejdanach,— rzekł pan Wołodyjowski — a w drodze i na kulbakach można się słodko przedrzeć.
We dwie godziny później, podjadłszy i podpivszy nieco, ruszyli rycerze w podróż i jeszcze przed zachodem słońca stanęli w Krakowie.

Przez drogę opowiadał im pan Michał o okolicy, o sławnej szlachcie laudańskiej, o Kmicicu i o wsy- stkiem, co się od pewnego czasu zdarzyło. Przyczyną się i do afektu swego dla panny Bilewiczówny, nieszczę- śliwego, jak zwykle.

— Cała rzecz, że wojna bliska, — mówił — bo inaczej srodełbym się zmartwił, gdyż czasem myślę, że ta- kieto już moje nieszczęście i że chyba przyjdzie mi i umrzeć w kawalerskim stanie.

— Nic stanie ci się krzywda,— rzekł pan Zagłoba — bo zacny to jest stan i Bogu miły. Umyśletem też trwać w nim do końca życia. Czasem i żal, że nie będę komu sławy i imienia przekazać, bo chociaż miłuję dzieci Jana, jak swoje, wszelako Skrzeżuscy, to nie Za- głobowie.

— O niecnoto! — rzekł Wołodyjowski. — Takeś się waćpan wcześnie z tem postanowieniem wybrał, jak wilk, który ślubował owieć nie dusić, gdy mu wszystkie zęby wypadły.

stanieją i będziemy je na tuziny na jarmarku kupowali.

— Może i mnie zginąć przyjdzie — rzekł pan Michał. — Dość mam tego kołatania się po świecie. Nigdy waśniom nie zdołam wypowiedzieć, jak zacna jest i urodziwa panna, ta Billewiczówna. Byłyby ją człowiek miłował i hołubił, jakby co najlepszego... Nie! musieli dyabli przynieść tego Kmicica... Chyba on jej coś zadał, nie może inaczej być, bo gdyby nie to, pewnieby mnie nie przepędziła. Ot, patrzcie! Właśnie tam zza górek Wodokty widać, ale w domu niemasz nikogo, bo ona pojechała Bóg wie gdzie... Moje to byłoby schronisko; niechbym był tu żywota dokonał... Niedźwiedź ma swój barłóg, wilk swoję jamę, a ja, ot! jeno tę szkapę i tę kalbą, na której siedzę...

— To widzę, że cię jak cierń zakłóta? — rzekł pan Zagłoba.

— Pewnie, że jak sobie wspomniał, albo, mimo przejeżdżając, Wodokty zobaczę, to mi jeszcze żal... Chciałem klin klinem wybić i pojechałem do pana Szyllinga, który ma córkę bardzo urodziwą. Raz ją w drodze zdaleka widziałem i okrutnie mi w oko wpadła. Pojechałem tedy — i coź waępaństwo powiecie — ojcam w domu nie zastał a panna Kachna myślała, że to nie pan Wołodyjowski, tylko pachołek pana Wołodyjowskiego przyjechał... Takem ten afront wziął do serca, żem się tam więcej nie pokazał.

Zagłoba począł się śmiać.

— Bodajże cię, panie Michale! Cała rzecz w tem, żebyś znalazł żonę tak nikczemnej urody, jak sam jesteś. A gdzie się to ona bestykła podziała, co to przy księżnie Wiśniowieckiej respektową była, z którąto nieboszczyk
pan Podbiępta — Panie! świec nad jego duszą, — miał się żenić? Ta miała urodę w sam raz dla ciebie, bo istna to była pestka, choć jej się oczy okrutnie świety.

— To Anusia Borzobohata Krasieńska — rzekł pan Jan Skrzetuski. — Wszyscyśmy się w niej swego czasu kochali i Michał także. Bóg raczy wiedzieć, co się z nią teraz dzieje.


— Mniejsza z tem — rzekł Jan Skrzetuski. — W jego ręku teraz zbawienie ojczyzny, a że gotów za nią życie oddać, niech mu Bóg błogosławi.

Takto rozmawiali rycerze,jadąc wśród nocy i to dawne sprawy wspominali, to mówili o teraźniejszych ciężkich czasach, w których trzy wojny naraz zwaliły się na Rzeczpospolitę.

Później zabrali się do pacierzy wieczornych i do odmawiania litanii, a gdy ją skończyli, sen ich zmorzył i zaczęli dzierać i kiwać się na kulbakach.

Potop T. I. 17
Noc była pogodna, ciepła; gwiazdy migotały tysiącami na niebie; oni, jadąc noga za nogą, spali smaczno, aż dopiero, gdy zaczęło świtać, zbudził się pierwszy pan Michał.

— Mości panowie, otworzyć oczy, Kiejdany już widać! — zakrzyknął.

— A ot, tam! Wieże widać.
— Zacne jakieś miasto — rzekł Stanisław Skrzetuski.

— Bardzo zacne — odpowiedział Wołodyjowski — i po dniu jeszcze lepiej się waszmościowie o tem przekonacie.

— Wszakże to dziedzictwo księcia wojewody?


Zagłoba przetarł oczy.

— A to jacyś grzeczni ludzie tu mieszkają. Coto za okrutną budowlę widać tam na podniesieniu?

— To zamek świeżo zbudowany, już za panowania Janusza.

— Obronny?

— Nie, ale rezydencja wspaniała. Nie czyniono go warownym, bo nieprzyjaciel nigdy nie zachodził w te strony od czasów krzyżackich. Ten spiczasty szczyt, który tam w środku miasta widzieć, to od kościoła farnego. Krzyżacy go wznieśli jeszcze za czasów pogańskich, później był kalwinom oddany, ale go ksiądz Ko-
byliński znowu dla katolików wyprocesował od księcia Krzysztofa.
— To i chwała Bogu!
Tak rozmawiając, dojechali bliżej do pierwszych domków przedmieścia.
Tymczasem stawało się coraz jaśniejsze na świecie i słońce poczynało wschodzić. Rycerze przyglądali się z ciekawością nieznanemu miastu, a pan Wołodyjowski dalej opowiadał:
— To jest ulica Żydowska, w której mieszkają ci z Żydów, którzy mają pozwolenie. Jadąc tędy, dostaniesz się aż na rynek. Oho! już ludzie budzą się i poczynają z domów wychodzić. Patrzcie! siła koni przed kuźniami i czeladź nie w barwach radziwiłłowskich. Musi być jaki zjazd w Kiejdanach. Pełno tu zawsze szlachty i panów, a czasem aż z obcych krajów przyjeżdżają, bo to jest stolica heretyków ze wszystkiej Żmudzi, którzy tu pod osłoną Radziwiłłów bezpiecznie swoje gusła i praktyki zabobonne odprawiają. Ot, i rynek! Uważcie waszmościowie jaki zegar na ratuszu! Lepszego ponoć i w Gdańsku niemasz. A to, co bierzecie za kościoł o czterech wieżach, to zbor helwecki, w którym co niedziela Bogu bluźnią — a tam to kościoł luterański. Myślicie zaś, że tu mieszczanie Polacy albo Litwini — wcale nie! Sami Niemcy i Szkoci, a Szkotów najwięcej! Piechota z nich bardzo przednia, szczególnie berdyszami sieką okrutnie. Ma też książę jegomość regiment jeden szkocki z samych ochotników kiejańskich. Hej! co wozów z łupami na rynku! Pewnie zjazd jaki. Gospody żadnej niemasz w tem mieście, jeno znajomi do znajomych zajeżdżają, a szlachta do zamku, w którym są oficyny długie na kilkadziesiąt łokci, tylko
dla gości przeznaczone. Tam podejmują każdego uczę-
wie, choćby i przez rok, na koszt księcia pana, a są-
tacy, którzy całe życie tu siedzą.

— Dziwno mi to, że piorun tego zboru helwe-
ckiego nie zapalił? — rzekł Zagłoba.

— Jakbyś waśc wiedział, że się to zdarzyło. 
W środku, między czterema wieżami, była kopuła jako 
czapka, w którą kiedyś jak trzasło, tak się nic z niej nie 
zostało. Tu, w podziemiach, leży ojciec księcia koniu-
szego Bogusława, Janusz, ten, który do rokoszu prze-
ciw Zygmunтовi III. należał. Własny najduń mu czaszkę 
rozpłatał i tak zginął marnie, jak i żył grzesznie.

— A to co za rozległa budowla, do szopy mu-
rowanej podobna? — pytał Jan.

— To jest papiernia od księcia założona, a tu 
obok drukarnia, w której się księgi heretyckie drukują.

— Tłu! — rzekł Zagłoba — zaraza na to miasto, 
gdzie człek innego powietrza jak heretyckie do brzucha 
nie wciąga. Lucyper mógłby tu tak dobrze panować, 
jak i Radziwiłł.

— Mości panie! — odpowiedział Wołodyjowski — 
nie błuźni Radziwiłłowi, bo może wkrótce ojczyzna 
zbawienie będzie mu winna...

I dalej jechali w milczeniu, poglądając na miasto 
i dziwiąc się jego porządkiem, bo ulice całkiem były 
brukowane kamieniami, co w owych czasach za oso-
bliwość uchodziło.

Przejechawszy rynek i ulicę Zamkową, ujrzenia na 
podniesieniu wspaniałą rezydencją, świeżo przez księża 
Janusza wzniesioną. nie obronną istotnie, ale ogromem 
nietylko pałace, lecz i zamki przewyższającą. Gmach 
stał na wywyższeniu i patrzył na miasto, jakoby u stóp
jego leżące. Z obu stron głównego korpusu biegły dwa skrzydła niższe, załamując się pod kątami prosteni i tworząc olbrzymi dziedziniec, zamknięty od przodu kratą żelazną, nabijaną długimi kolcami. W środku kraty wznosiła się potężna brama murowa, na niej herby radziwiłłowskie i herb miasta Kiejdan, przedstawiający nogę orła ze skrzydłem czarnym w złotem polu, a u nogi podkowę o trzech krzyżach czerwoną. Nisko w Bramie był odwach i trabanci szkoccy straż tam trzymali, dla parady, nie dla obrony przeznaczoną.

Godzina była ranna, ale na dziedzińcu ruch już panował, albowiem przed głównym korpusem musztrował się pułk dragonów, przybrany w błękitne kolety i szwedzkie hełmy. Długi ich szereg stał właśnie nieruchomie, z gołemi rapierami w ręku, oficer zaś przejeżdżając przed frontem, mówił coś do żołnierzy. Na około szeregu i dalej pod ścianami, mnóstwo czeładzi w rozmaitych barwach gapilo się na dragonów, czyńc sobie wzajem rozmaite uwagi i spostrzeżenia.

— Jak mi Bóg miły! — rzekł pan Michał — toż to Charlamp pułk musztruje.

— Jakto? — zawiolał Zagłoba — tenże to sam, z którym miałeś się pojedynkować, w czasie elekcji w Lipkowie?

— Tenże sam. Ale my od tego czasu w dobrej komitywie żyjemy.

— A prawda! — rzekł pan Zagłoba — poznaję go po nosie, który mu zpod hełmu sterczy. Dobrze, że przybice wyszły z mody, bo ten rycerz nie mógłby żadnej zamknąć; ale on i tak osobnej zbroi na nos potrzebuje.
Tymczasem pan Charlamp, spostrzegłszy Wołodyjowskiego, puścił się ku niemu rysią.
— Jak się miewasz Michałku? — zawołał. — Dobrze, żeś przyjechał!
— Lepiej, że ciebie pierwszego spotykam. Oto jest pan Zagłoba, któregoś w Lipkowie poznał, ba, przedtem jeszcze w Siennicy, a to panowie Skrzetuscy, Jan, rotmistrz królewskiej husarskiej chorągwi, zbarażczyk...
— Na Boga! toż ja największego w Polsce rycerza widzę! — zakrzyknął Charlamp. — Czołem, czołem!
— A to Stanisław, rotmistrz kaliski — mówił dalej pan Wołodyjowski — który zpod Ujścia wprost jedzie.
— Zpod Ujścia?... Na okrutną tedy hańbę wać pan patrzyłeś... Wiemy już co się tam stało.
— Właśnie dlatego, że się tam to stało, ja tu przyjechałem w tej nadziei, że tu nic podobnego się nie stanie.
— Możesz waszmość być pewien. Radziwiłł, to nie Opaliński.
— Toż samo wczoraj mówiliśmy w Upiecie.
To rzekłszy, pan Charlamp skoczył znów do szeregu i zakomenderował krótkim donośnym głosem:
— Lewo! zwrot — w tył!
Kopyta zadźwięczały po bruku. Szereg rozłamał
się na dwoje, połowy rozłamały się znowu, aż wreszcie sformowały się czwórki, które wolnym krokiem poczęły oddalać się w stronę cekhauzu.

— Dobrzy żołnierze — rzekł Skrzetuski, patrząc okiem znawcy na mechaniczne ruchy dragonów.

— Sama to drobna szlachta i bojarzynkowie putni w tej broni służą — odparł pan Wołodyjowski.

— O Boże! zaraz znać, że to nie pospolitaki! — zawołał pan Stanisław.

— Ale źe to Charłam im porucznikuje? — pytał Zagłoba. — Czyli się mylę, ale pamiętam, że on w piatyhorskiej chorągwi służył i srebrną pętelkę nosił na ramieniu?

— Tak jest — rzekł Wołodyjowski. — Ale już z parę lat, jak pułkiem dragońskim dowodzi. Stary to żołnierz i kuty.

Tymczasem Charłam, odesławszy dragonów, zbliżył się do naszych rycerzy.

— Proszę waszmościów za mną... Ot, tam cekhauz za pałacem.

W pół godziny później siedzieli już w pięciu nad misą piwa grzanego, dobrze zabieloną śmietaną i rozmawiali o nowej wojnie.

— A u was tu co słychać? — pytał pan Wołodyjowski.

— U nas słychać codzień co innego, bo się ludzie gubią w domysłach i coraz to inne nowiny puszczają — odparł Charłam. — A naprawdę, to jeden książę wie, co się stanie. Waży on coś w umyśle, bo choć symuluje wesłość i na ludzi tak łaskaw, jak nigdy, to przecież okrutnie zamyślny. Po nocach, powiadam, nie sypia, jeno po wszystkich komnatach ciężkim krokiem chodzi
i sam ze sobą głośno gada, a we dnie przez całe godziny naradza się z Harasimowiczem.

— Cóżto za Harasimowicz? — spytał pan Wółodyjowski.

— To gubernator z Zabłudowa, z Podlasia, niewielka figura i tak wygląda, jakby dyabła za pazuchą hodował; ale księcia pana poufny i podobno wszystkie jego arkana znający. Wedle mojej głowy, to okrutna i mściwa wojna ze Szwedem z tych narad wyniknie, do której wojny wszyscy wzdychamy. Tymczasem listy tu latają: od księcia kurlandzkiego, od Chowańskiego i od elektora. Są tu tacy, którzy powiadamają, że książe z Moskwą paktuje, by ją do ligi przeciw Szwedowi wciągnąć; inni, że przeciwnie; ale zdaje się, że z nikim ligi nie będzie, jeśn wojna, jak rzekłem, z tymi i z owymi. Wojsk coraz więcej przychodzi, rozpisują listy do szlachty co najwierniejszej dla radziwiłłowskiego domu, aby się zjeżdżała. Wszyscy pełno zbrojnego ludu... Ej, mości panowie! na kim się skrupi, na tym się zmieć, ale ręce będziem mieli po łokcie czerwone, bo jak Radziwiłł raz ruszy w pole, to nie będzie paktował.

— Oj, to! oj, to! — rzekł Zagłoba, zacierając dłonie. — Przysięgło już niemało krwi szwedzkiej na moich rękach i jeszcze niemało przyschnie... Niewielu już tych starych żołnierzy żyje, którzy mnie pod Puckiem i pod Trzcianną pamiętają; ale ci, którzy dotąd żyją, nigdy nie zapomną.

— A książe Bogusław tu jest? — pytał pan Wółodyjowski.

— A jakże. Prócz tego spodziewamy się dziś jakichś wielkich gości, bo pokoje górne wyprzątają, a wie-
czorem ma być bankiet w zamku. Wątpię, Michale, czy się dziś do księcia dostaniesz.

— Samże on mnie na dziś wezwał.
— To nic, ale okrutnie zajęty... Przytem... nie wiem, czy mogę waszmościom o tem mówić... wszelako, za godzinę i tak wszyscy o tem wiedzieć będą... więc powiem... Tu się nadzwyczajne jakieś rzeczy dzieją...
— Owoż trzeba waćpanom wiedzieć, że przed dwoma dniami przyjechał tu pan Judycki, kawaler maltański, o którym musieliście słyszeć.
— A jakże — rzekł Jan — wielki rycerz!
— Zaraz zaś po nim nadjechał i pan hetmn polny Gosiewski. Dziwiliśmy się wielce, bo wiadoma rzecz, w jakiej emulacyi i nieprzyjaźni pan hetman polny żyje z naszym księciem. Niektórzy tedy cieszyli się, że zgoda nastąpiła między panami i mówili, że to ją właśnie in-kursya szwedzka sprowadziła. Sam tak myślałem; tymczasem wczoraj zamknęli się we trzech na naradę, po-zamykali wszystkie drzwi, nikt nic nie mógł słyszeć o czem radzili; jeno pan Krepsztul, który wartę za drzwiami trzymał, mówił nam, że okrutnie głośno roz-prawiali, a zwłaszcza hetman polny. Później sam książę odprowadził ich do komnat sypialnych, a w nocy, ima-ginując sobie, (tu pan Charłamp zniżył głos) wartę każdemu przy drzwiach postawili.

Pan Wołodyjowski aż się zerwał z miejsca.
— Na Boga! nie może być!
— A przecież tak jest... Przy jednych i przy drugich drzwiach szkoci z rusznicami stoją i mają rozkaz pod gardłem nikogo nie wpuszczać i nie wypuszczać...
Rycerze spoglądali na się w zdumieniu, a pan Charłamp niemniej był zdumiony własnymi słowami i patrzył na nich, wytrzeszczając oczy, jakoby czekał od nich wyjaśnienia zagadki.

— To się znaczy, że pan podskarbi w areszt wzięty?... Hetman wielki aresztował polnego? — mówił Zagłoba — coto jest?

— Albo ja wiem. I Judycki, taki rycerz!

— Musieli przecież oficerowie książęcy mówić ze sobą o tem, zgadywać powody... Nicześ nie słyszał?

— Pytałem jeszcze wczoraj w nocy Harasimowicza...

— I coź waępanu powiedział — pytał Zagłoba.

— Nic nie chciał mówić, jeno palce na gębę położył i rzekł: „To zdrajczy!”


— Dziś nikomu nie można wierzyć — odparł posępnie Stanisław Skrzetuski. — Albo to Krzysztof Opaliński nie uchodził za Katona? Alboż nie wyrzucał innym przywar, występków, prywaty?... A gdy przyszło co do czego, pierwszy zdradził i nie własną tylko osobę, ale całą prowincję do zdrady pociągnął.

— Ależ ja za pana podskarbiego i za pana Judyckiego głowę daję! — wołał Wołodyjowski.

— Nie dawaj, Michałku, głowy za nikogo — odrzekł Zagłoba. — Jużci nie bez kozery ich aresztowano. Musieli w jakieś konspiracje wchodzić, nie może być inaczej... Jakto? książę gotuje się na wojnę okrutną
i każda pomoc mu miła... Kogoż więc może w takiej chwili w areszt brać, jeżeli nie tych, co mu do wojny przeszkadzają?... Co jeśli tak jest, jeżeli ci dwaj pano-wie istotnie przeszkadzali, to chwała Bogu, że ich uprzedzono. Warchi w podziemiu siedzieć... Ha! szel-my!... W takiej chwili praktyki czynić, z nieprzyja-cielem się znosić, na ojczyznę nastawać, wielkiemu wojownikowi w imprezie przeszkadzać. Na Matkę Naj-świętszą, mało i tego, co ich spotkało!

— Dziwy to są, takie dziwy, że w głowie się nie chcą pomieścić — rzekł Charłamp — bo już pominąwszy, że to tak wiele dygnitarze, aresztowano ich bez sądu, bez sejmu, bez woli Rzeczypospolitej całej, czego i sam król nie ma prawa uczynić.

— Jako żywo! — zakrzyknął pan Michał.

— Widać księdze jegomość rzymskie chce u nas zaprowadzić zwyczaje — rzekł Stanisław Skrzetuski — i dyktatorem w czasie wojny zostać.

— A niech będzie i dyktatorem, byle Szwedów bił — odpowiedział Zagłoba. — Ja pierwszy votum za tem daję, aby mu dyktatura została powierzona.

Jan Skrzetuski zamyślił się i rzekł po chwili:

— Byle nie chciał zostać protektorem, jako ów angielczyk Kromwel, którego na pana własnego nie wahał się świętokradzkiej ręki podnieść.

— Ba, Kromwel! Kromwel heretyk! — zakrzy-

knał Zagłoba.

— A książe wojewoda? — spytał poważnie pan Jan Skrzetuski.

Na to unikli wszyscy ze strachem przez chwilę patrzyli w przyszłość ciemną, tylko pan Charłamp na-srożył się zaraz i rzekł:
Służyłem pod księciem wojewodą z młodych lat, choć małom młodszy od niego, bo najprzód, młodsziem jeszcze, był moim rotmistrzem, potem hetmanem polnym, a dziś jest wielkim. Znam go lepiej od waćpanów, a zarazem czczę i miłuję, dlatego proszę, nie równajcie go z Kromwelem, abym zaś nie musiał wam na to powiedzieć czegos, czego mi, jako gospodarzowi w tej izbie, mówić nie wypada...

Tu pan Charlampa począł okrutnie wąsiskami ruszać i trochę z podełba spoglądać na pana Jana Skrze-
tuskiego, co widząc pan Wołodyjowski, utkwił znów w pana Charłampa wzrok zimny i bystry, jakby mu chciał rzec:

— Warknijnjo tylko!

Wąsal pomiarokował się zatem natychmiast, bo pana Michała miał w nadzwyczajnej estymie, a zresztą niebezpiecznie było się z nim gniewać, więc mówił dalej, tonem daleko już łagodniejszym:

— Kalwin książę jest, ale przecie wiary prawdziwej dla błędów nie porzucił, jeno się w nich urodził. Nigdy on nie zostanie ani Kromwelem, ani Radzie-
jowskim, ani Opalińskim, choćby Kiejdany miłły się w ziemię zapaść. Nie takato krew, nie takito ród!

— Jeśli jest dyabłem i ma rogi na głowie, — rzekł pan Zagłoba — to tem lepiej, bo będzie miał czem Szwedów bość.

— Ale że pan Gosiewski i pan kawaler Judycki aresztowani?... no! no! — mówił, kręcając głową Wołodyjowski. — Nie bardzo książę na swych gości, którzy mu zaufani, łaskaw.

— Co mówisz, Michale! — odparł Charłamp. — Tak łaskaw, jak nigdy w życiu nie był... Ojciec to
teraz prawdziwy dla rycerstwa. Pamiętasz, jak to dawniej miał wiecznie kosz na czoła, a w gębie jedno słowo: „służba!” Większy strach brał zbliżyć się do jego majestatu, niż do królewskiego, a dziś każdego dnia między porucznikami i towarzystwem chodzi, a rozmawia, a każdego pyta o familię, o dzieci, o fortunę i po nazwisku każdemu mówi, a rozpiętuje, czy się komu w służbie krzywda nie dzieje. On, który pomiędzy największymi panami nie chce mieć równych, wczoraj, nie, onegdaj chodził pod rękę z młodym Kmicicem, ażeśmy wszyscy oczom wierzyć nie chcieli, bo choć wielkito ród Kmicica, ale to całkiem młodziak i podobno siła grawaminów na nim cięży, o czem ty wiesz najlepiej.

— Wiem, wiem — rzekł Wołodyjowski. — To Kmicic dawno tu jest?

— Teraz go niema, bo wczoraj pojechał do Czejkiszek po regiment piechoty, który tam stoi. Nikt teraz nie jest w takich favorach u księcia, jak Kmicic. Gdy odjeżdżał, książę spoglądał za nim przez chwilę, a potem rzekł: „Do wszystkiego tento człowiek i gotów samego dyabła za ogon przytrzymać, gdy mu każe!” Słyszeliśmy to na własne uszy. Prawda, że taką chorągiew Kmicic przyprowadził, jakiej drugiej w całem wojsku nie masz. Ludzie i konie, jak smoki.

— Niema co i gadać, dzielny to żołnierz i naprawdę gotów na wszystko — odrzekł pan Michał.

— Cudów ponoć dokazywał w ostatniej wojnie, aż cene na jego głowę nałożono, bo wolentarzami dowodził i na własną rękę wojował.

Dalszą rozmowę przerwało wejście nowej postaci. Był to szlachcic, lat około czterdziestu, mały, suchy,
ruchliwy, wijący się jak piskorz, z drobną twarzą, cienkimimi wargami, porosłemi rdzakiem wąsem i trochę ko-semi oczyma. Ubrany był tylko w żupan drelichowy z tak długimi rękawami, że zupełnie pokrywały mu dłonie. Wszedłszy, zstąpił się we dwoje, potem wyprostował się nagle, jakby sprężyną podrużony, potem znów schylił się w niskim ukłonie, zakręcił głową, jakby ją wydobywał zpod własnej pachy i zaczął mówić szybko głosem, przypominając skrzypienie zardzewiałej chorągiewki:

— Czołem, panie Charłamp, czołem, ach! czołem, panie pułkowniku, najniższy sługa!
— Czołem, panie Harasimowicz — odrzekł Charłamp. — A czego to waść życzysz?
— Bóg dał gości, znamienitych gości! Przyszedłem służyby ofiarować i o godność spytać.
— Zali do ciebie przyjechali, panie Harasimowicz?
— Pewnie, że nie do mnie, bom tego i nie godzien... Ale że to marszałka nieobecnego zastępuję, więc przyszedłem powitać, nisko powitać!
— Daleko wąpam do marszałka, — odrzekł Charłamp — bo marszałek jest personat i pesesyonat, a wąpam sobie, z przeproszeniem, podstarości zabłudowski.

— Służa słuć radziwiłłowskich! Tak jest, panie Charłamp. Nie zapieram, Boże mnie chroń... Ale że księże, dowiedziawszy się o gościach, przysłał mnie pytać, co za jedni, więc waść odpowiesz, panie Charłamp, odpowiesz zaraz, choćbym był nawet hajdukiem, nietyklo podstarościom zabłudowskim.
— Nawet i małpiebym odpowiedział, gdyby do
mnie z rozkazem przyszła — rzekł nosacz. — Słuchaj więc waść i zakonotuj sobie nazwiska, jeśli ci głowy nie staje, aby spamiętać. To jest pan Skrzetuski, ów zbarażczyk i jego stryjeczny Stanisław.

— Wielki Boże, co słyszę! — zakrzyknął Harasimowicz.

— To pan Zagłoba.

— Wielki Boże! co słyszę!...

— Jeśli się waćpan tak skonfundował, usłyszawszy moje nazwisko — rzekł Zagłoba — zrozum, jak nieprzyjaciele w polu muszą się konfundować.

— A to pan pułkownik Wołodyjowski — dokończył Charłamp.

— I to głośna szabla a przytem radziwiłłowska — rzekł z ukłonem Harasimowicz. — Księżu panu głowa pęka od roboty, ale przecie dla takich rycerzy znajdzie czas, niezawodnie znajdzie... Tymczasem, czem można służyć waszmościom? Cały zamek na usługi miłych gości i piwniczka także.

— Słyszeliśmy o sławnych miodach kiejdańskich — rzekł pośpiesznie Zagłoba.


— Po to my tu i przyjechali, żeby od boku księcia wojewody nie odstępować — rzekł pan Stanisław.

— Chwalebna intencja waszmościów, tem chwalebniejsza, że tak ciężkie czasy idą.

To rzekłszy Harasimowicz, skurczył się i stał się tak mały, jakby go łokieć ubyło.
— Co słychać? — pytał pan Charlamp. — Są jakie nowiny?

— Książę oka całą noc nie zmrużył, bo przyjechało dwóch posłańców. Źle słychać i coraz gorzej. Carolus Gustavus już wszedł za Wittembergiem do Rzeczypospolitej; Poznań już zajęty, cała Wielkopolska zajęta, Mazowsze wkrótce będzie zajęte; Szwedzi już są w Łowiczu, tuż pod Warszawą. Nasz król uciekł z Warszawy, którą bez obrony zostawił. Dziś, jutro, Szwedzi do niej wejdą. Mówią, że i bitwę znaczną przegrał, że do Krakowa chce umykać, a ztamtaď do cudzych krajów, o pomoc prosić. Źle, mości panowie dobrodzieje! Choć są tacy, którzy mówią, że to dobrze, bo Szwedzi żadnych gwałtów nie czynią, umów święcie dotrzymują, podatków nie wybierają, wolności obserwują, w wierze przeszkody nie czynią. Dlatego wszyscy chętnie przyjmują protekcję Karola Gustawa...
Zawiniłbo nasz pan, Jan Kazimierz, środze zawinił...
Przepadło już wszystko dla niego, przepadło!.. Płakać się chce, ale przepadło, przepadło!

— Czego się waćpan, u dyabła, tak wiesz, jak piskorz, gdy go w garnek kładą! — huknął Zagłoba — i o nieszczęściu mówisz, jakbyś był z niego rad?

Harasimowicz udał, że nie słyszy i wzniósł szy oczy w górę, powtórzył jeszcze kilkakrotnie:

— Przepadło wszystko, na wieki przepadło!... Trzem wojnom nie oprze się Rzeczpospolita... Przepadło!... Wola Boska!... Wola Boska!... Jeden nasz książę może Litwę ocalić...

Złowrogie słowa jeszcze nie przebrzmiały, gdy Harasimowicz zniknął tak szybko za drzwiami, jakby
się w ziemię zapadł, a rycerze siedzieli posępnie, brzeżnieniem strasznych myśli przygnieciony.
— Zwaryować przyjdzie! — zakrzyknął wreszcie Wołodyjowski.
— Słusznie wątpisz mówisz, — rzekł Stanisław — dajże Boże wojnę, wojnę jak najpędnej, w której człowiek w domysłach się nie gubi, duszy w desperację nie podaje, jeno się bije.
— Przyjdzie żałować pierwszych czasów Chmielnickiego, — rzekł Zagłoba — bo wtedy były klęski, ale zdrajców przynajmniej nie było.
— Takie straszne trzy wojny, gdy po prawdzie, na jednę sił nam brak! — rzekł Stanisław.
— Nie odetchnę, aż w polu! — rzekł Stanisław.
— Żebyto już pędnej tego księcia zobaczyć! — zakrzyknął Zagłoba.
Życzenia jego spełniły się niebawem, gdyż po godzinie czasu przyszł znów pan Harasimowicz z niższemi jeszcze uklonami i z oznajmieniem, że książę pilno żąda widzieć ichmościów.
Porwali się tedy zaraz, bo już byli przybrani i po szli. Harasimowicz, wyprowadziaszy ich z cekhauzu, przeprowadził przez dziedziniec, na którym pełne było już wojskowych i szlachty. W niektórych miejscach rozprawiano tłumnie, widocznie nad temi samemi nowinami, które rycerzom przyniósł podstarości zabludowski. Na wszystkich twarzach malował się żywy niepokój i jakieś oczekiwanie gorączkowe. Pójedyńcze grupy oficerów i szlachty słuchały mówców, którzy stojąc po-

Potop. T. I. 18
środku, gestykulowali gwałtownie. Po drodze słychać było słowa: „Wilno się pali! Wilno spalone!... Ni śladu, ni popiołu! Warszawa wzięta!... Nieprawda, jeszcze nie wzięta!... Szwedzi już w Małopolsce! Sieradzanie opór dadzą!... Nie dadzą! pójdą śladem Wielkopolanów! Zdrada! Nieszczęście! O Boże, Boże! Nie wiadomo, gdzie ręce i szablę wetknąć!”

Takie słowa, jedne od drugich straszniejsze, odbijły się o uszy rycerzy, a oni szli, przeciskając się za Harasimowiczem z trudnością przez wojskowych i szlachtę. Miejscami znajomi witali pana Wołodyjowskiego: „Jak się masz Michale? Żle z nami! Giniemy! Czołem, moi pułkowniku! A to co za gości prowadzisz do księcia?” Pan Michał nie odpowiadał, chcąc zwłoki uniknąć, i tak doszli aż do głównego korpusu zamkowego, w którym janczarowie książęcy, przybrani w kolczugi i olbrzymie białe czapki, straż trzymali.

W sieni i na głównych schodach, obstawionych pomarańczowemi drzewami, scisk był jeszcze większy, niż na podwórzu. Rozprawiano tu o aresztowaniu Gierszewskiego i kawalera Judyckiego, bo rzecz już się była wydała i poruszyła do najwyższego stopnia umysły. Zdumiewano się, gubiono w przypuszczeniach, oburzano się lub chwalono księżą przezorność; wszyscy zaś spo- dziewali się usłyszeć wyjaśnienie zagadki z ust samego księcia, dlatego rzeka głow płynęła po szerokich schodach na górę do sali audyencyjnej, w której w tej chwili księże przyjmował pułkowników i znakomitszą szlachtę. Trabanci rozstawieni wzdłuż kamiennych po- ręczy, pilnowali, aby nie było zbyt wielkiego natłoku, powtarzając co chwila: „Zwolna, moiści panowie! zwol- na!” — a tłum posuwał się lub zatrzymywał chwilami,
gdy trabant zagradzał drogę halabardą, aby idący na-
przód mieli czas wejść do sali.

Nakoniec lazurowe sklepienia sali zabłysły przez
otwarte drzwi i nasi znajomi weszli. Wzrok ich padł
najprzód na wzniesienie, ustawione w głębi sali, zajęte
przez świetny orszak rycerstwa i panów w pysznych
różnobarwnych strojach. Na przedzie stało puste krze-
sło, wysunięte więcej od innych, z wysokim tylmem
oparciem, zakończonem złoceną mitrą książęcą, zpod
której spływał na dół amarantowy aksamit, obramowy-
wany gronostajami.

Księcia nie było jeszcze w sali, ale Harasimowicz,
wiadąc ciągle za sobą rycerzy, przecisnął się przez
zebraną szlachtę, aż do małych drzwi, ukrytych w ścia-
nie obok wzniesienia; tam kazał się im zatrzymać,
a sam zniknął za drzwiami.

Po chwili wrócił z doniesieniem, że książę prosi.

Dwaj Skrzetuscy z Zagłobą i Wołodyjowskim
weszli teraz do niewielkiej komnatki, bardzo widnej,
obitej skórą wytłaczaną w złociste kwiaty i zatrzymali
się, widząc w głębi za stołem, pokrytym papierami,
dwóch ludzi pilną zajętych rozmową. Jeden z nich,
młody jeszcze, przybrany w strój cudzoziemski i pe-
rękę o długich lokach, spadających na ramiona, szeptał
coś do ucha starszego towarzysza, ten zaś słuchał ze
zmarszczoną brwią i kiwał od czasu do czasu głową;
tak zajęty był przedmiotem rozmowy, że nie zwrócił
zrazu uwagi na przybyłych.

Był to człowiek czterdziesiętki, postaci olbrzymiej i barczyстой. Ubrany był w strój szkarłatny
polski, spięty pod szyją kosztownemi agrafami. Twarz
miał ogromną, o rysach, z których biła pycha, powaga
i potęga. Była to gniewliwa lwia twarz wojownika i władcę zarazem. Długie, zwieszające się w dół wąsy, nadawały jej wyraz posępny i cała w swej potędze i ogromie była jakby wykuta wielkimi uderzeniami młota z marmuru. Brwi miał w tej chwili zmarszczone z powodu natężonej uwagi, ale zgadłeś łatwo, że gdy je zmarszczy gniew, wówczas biada tym ludziom, tym wojskom, na których gromy owego gniewu spadną.

Było coś tak wielkiego w tej postaci, że patrzącym na nią rycerzom wydawało się, iż nietylnko owa komnata, ale i cały zamek dla niej zacisny; jakoż nie myliło ich pierwsze wrażenie, albowiem siedział przed nimi Janusz Radziwiłł, książę na Birżach i Dubinkach, wojewoda wileński i hetman wielki litewski, pan tak potężny i dumny, że mu było w całej niezmiernej fortunie, we wszystkich godnościach, ba! nawet na Żmudzi i w Litwie za ciasno.

Młodszy jego towarzysz, w długiej peruce i w cudzoziemskim stroju, był to książę Bogusław, stryjeczny Janusza, koniuszy wielkiego Księstwa litewskiego.

Przez chwilę szeptał on jeszcze coś do ucha hetmana, nakoniec rzekł głośno:
— Zostawiam więc swój podpis na dokumencie i wyjeżdżam.
— Skoro nie może być inaczej, to jedź w. ks. mość — rzekł Janusz, — choć wolałbym, żebyś został, bo nie wiadomo, co się stać może.
— W. ks. mość obmyślłeś wszystko jak należy, zaś tam pilniej w sprawy trzeba wejrzeć, a zatem Bogu w. ks. mość polecam.
— Niech Bóg ma w opiece cały nasz dom i chwały mu przyczyni.
— Adieu, mon frère.
— Adieu.

Dwaj książęta podali sobie ręce, pocz�em koniu-szy wyszedli spiesznie, a hetman wielki wr�ci� si� do przybytych.
— Wybaczcie waszmo�ciowie, �e pozwoli�m cze-ka�, — rzekl niskim, powolnym glosem — ale teraz i uwa�a i czas rozerwane na wszystkie strony. Sły-sza�em ju� nazwiska waszmo�ciów i ucieszy�em si� w duszy, �e Bóg w takich chwilach zsy�a mi takich rycerzy. Siadajcie mi� gostice. Kt�ry z waszmo�ciów jest pan Jan Skrzetuski?
— Jam jest, do uslug waszej ksi��czej mo��i — rzekl Jan.
— To waszmo�� jeste� starost�… bodajże cię… zapomnia�em…
— Zadnym starost� nie jestem — odrzekl Jan.
— Jakto? — rzekl ksi��çe, marszczacy swe po-t��ne brwi — wa�ci nie dali starostwa za to, co pod Zbara�em uczynili?
— Nigdym o to nie zabiega�.
— Bo ci powini� byli da� bez starania. Jakto? Co wacpan mowisz? Niczem nie nagrodzono? Zapomniano zgo��a! To mi i dziwno. Ale ba! zle mowie, nie powinno to nikogo dziwi�, bo teraz tacy tylko otrzymuj� nagrody, kt�rzy maj� grzbiet wierzbowy, łatwo si� gnacy. Waszmo�� nie jeste� starost�, pro-sze!… Niechze Bogu b�d�� dzi��, �e�� tu przyjecha�, bo tu nie mamy tak kr��tej pami��ci i zdana zaslu�a nie pozostanie bez nagrody — jako i twoja, mo�c pu�kownikui Wo��odyjowski…
— Na nic jeszcze nie zaslu�ylem…
— Zostaw to mnie, a tymczasem weź ten doku-
ment, w Rosieniach już roborowany, którym ci Dydkie-
nie w dożywocie puszczam. Nieży to kawał ziemi i sto
pługów wychodzi w nim co wiosnę orać. Weźże i to, bo
nie mogę dać więcej, a powiedz panu Skrze
tuskiemu, że Radziwiłł nie zapomina swych przyjaciół, ani tych,
którzy ojczyźnie pod jego wodzą oddali usługi.
— Wasza książęca mość!... — wyjąkał zmieszany pan Michał.
— Nie mów nic i wybaczaj, że tak mało, ale
powiedz, powiedz ichmościom, że nie zginie, kto swoję
fortunę na zło i na dobro z radziwiłłowską połąčę.
Nie jestem królem, ale — gdybym nim był — Bóg mi
świadek, że nie zapomniałbym nigdy takiego Jana
Skrzetuskiego, ani takiego Zagłoby...
— To ja! — rzekł Zagłoba, wysuwając się raźno
naprzód, bo już go to niecierpliwić zaczynało, że nie
było o nim dotąd wzmianki.
— Zgaduję, że to waszmość, gdyż mi powiadano,
żeś człek w lata podeszły.
— Do szkół z dostojnym rodzicem waszej ksią-
żęcej mości chodziłem, a jako rycerska w nim była
od dzieciństwa inklinacya, przeto mnie do pousałości
przypuszczał, bo i ja wolałem dzidkę od łaciny.

Panu Stanisławowi Skrze
tuskiemu, który Zagłobę
mniej znał, dziwno to było słyszeć, gdyż wczorajszego
jeszcze dnia Zagłoba mówił w Upicie, że nie z nie-
boszczykiem księciem Krzysztofem, ale z samym Janu-
szem do szkół chodził, co było niepodobne, bo książę
Janusz znacznie był młodszy.
— No proszę, — rzekł książę — to waćpan z Litwy
rodem?
— Z Litwy! — odrzekł bez zająkienia pan Zagłoba.

— To zgaduję, żeś i waszmość żadnej nagrody nie otrzymałeś, bo my Litwini już przywykli do tego, że nas niewdzięcznością karmią... Dla Boga! gdybym waszmościom to dał, co im się słusznie należy, tedyby dla mnie samego nic nie zostało. Ale takito los! My niesiem krew, życie, fortuny i nikt nam za to głowę nie kiwnie. Ha! trudno! jakie ziarno sięją, taki plon będą zbierali... Tak każe Bóg i sprawiedliwość... Waćpanże to usiekle przesławnego Burłaja i ściąłeś trzy głowy pod Zbarażem?

— Burłaja ja usieklem, wasza księżęca mość — rzekł Zagłoba — bo powiadamali, że z nim się żaden człowiek mierzyć nie może, więc chciałem pokazać młodszym, że męstwo nie całkiem jeszcze wygasło w Rzeczpospolitej... A co do trzech głów, mogło się to w gęstwie bitwy przytrafić... ale pod Zbarażem uczy- nił to kto inny.

 Książe zamilkł na chwilę, poczem odezwał się znowu:

— Zali nie bolesna waszmościom, ta wzgarda, jaką wam zapłacono?

— Co czynić, wasza ks. mość, choć człowiekowi i markotno — odpalił Zagłoba.

— Pocieszęże się, bo się to musi zmienić... Już za to, żeście tu przyjechali, dłużnikiem waszym jestem, a chociażem nie król, przecież się u mnie na obietnicach nie kończy.

— Wasza ks. mość — rzekł na to żywo i trochę dumnie pan Skrzetuski — nie po nagrody i fortuny my tu przyjechali... Jeno że nieprzyjaciół nasziedł ojczynę,
więc chcemy jej zdrowiem naszem iść w pomoc pod wodzą tak wsławionego wojownika. Brat mój, Stanisław, patrzył pod Ujściem na bojaźń, nieład, hańbę i zdradę, a w końcu na triumf nieprzyjaciela. Tu pod wielkim wodzem i wiernym obrońcą ojczyzny i majestatu służyć będziem. Tu nie wiktorye, nie tryumfy, ale klęski i śmierć czekają na nieprzyjaciół... Ot, dlaczego służyby nasze waszej ks. mości przybyliśmy ofiarować. My żołnierze, bić się chcemy i pilno nam do boju.

— Jeśli taka wasza chęć, tedy i w niej będziecie mieli ukontentowanie — odparł książę poważnie. — Nie będziecie długo czekali, choć najprzód na innego nieprzyjaciela ruszymy, bo nam popioły wileńskie pomścić trzeba. Dziś, jutro, ruszymy w tamtą stronę i da Bóg, z nawiązką krzywdy zapłacim... Nie zatrzymuję dłużej waszmościów, bo i wy wypoczynku potrzebujecie i mnie robota pali. A przyjdzieże wieczorem na pokoje, może się i jaka słuszną zabawę przed pochodem zdarzy, bo siła białogłów pod nasze skrzydła do Kiejdan się przed wojną zjechało. Mości pułkowniku Wołodyjowski, podejmujże drogich gości jakoby w domu własnym i pamiętajcie, że co moje, to i wasze!... Panie Harasimowicz, powiedz tam w sali zebranym panom braciom, że nie wyjdę, bo czasu nie mam, a dziś wieczorem dowiedzą się wszystkiego, co chcą wiedzieć... Bądźcie waszmościowie zdrowi i bądźcie Radziwiłłowi przyjaciołmi, gdyż mu siła teraz na tem zależy.

To rzekłszy ów potężny i dumny pan, począł podawać zkolei rękę panu Zagłobie, dwom Skrzetuskim, Wołodyjowskiemu i Charłampowi, jakby sobie równym. Posępne oblicze rozjaśniło mu się serdecznym i łaska-
wym uśmiechem i owa nieprzystępność, otaczająca go zwykle jakoby ciemną chmurą, znikła zupełnie.

— To wódz, to wojownik! — mówił Stanisław, gdy z powrotem przeciskali się przez tłum szlachty, zebrany w sali audiencyjonalnej.

— W ogieńbym za niego poszedł! — zawołał Zagłoba. — Uważaliście, jak wszystkie moje przewagi na pamięć umie?... Ciepło będzie Szwedom, gdy ten lew zaryczy, a ja mu zawtóruję. Niemal takiego drugiego pana w Rzeczypospolitej, a z dawnym jeden tylko książę Jeremi, a drugi pan Koniecpolski, ojciec, mogli z nim wejść w paragon. To nie lada kasztelanina, coto pierwszy z rodu na senatorskim krześle zasiadł i hajdawerów jeszcze sobie na niem nie wytarł, a już nosa zadziera i szlachtę młodszą bracią nazywa i swój konterfekt zaraz każe malować, aby, nawet jedząc, miał swoje senatorstwo przed sobą, gdy się go za sobą dopatrzyć nie może... Panie Michale, doszedłeś do fortuny!... Już tak widać jest, że kto się o Radziwiłła otrze, ten sobie wytarty kubrak zaraz ozłoci. Łatwiej tu widzę o promocję, niż u nas o kwartę gniłek. Wsadzisz rękę w wodę z zamkniętymi oczami i już szczupaka dzierżyysz. To mi pan z panów! Szczęść ci Boże, panie Michale. Skonfundowałeś się, jak panna po ślubie; ale to nic!... Jakże się to twoje dożywocie nazywa? Dudkowo, czy jak?... Pogańskie nazwy w tej krainie. Jak orzechami o ścianę rzucisz, to właśnie imię wioski albo szlachcica uczynisz. Ale byle intrata była dobra, to nie żał i język sobie wystrzępić.

— Skonfundowałem się okrutnie, przyznaję — rzeczy pan Michał — bo to, co waćpan mówisz, że tu tak o promocją łatwo, to nieprawda. Nierzaz ja słyszałem
starych żołnierzy, pomawiających księcia o awarycyą, a teraz zaczynają się niespodzianie łaski sypać jedna za drugą.

— Zatknijże sobie ten dokument za pas, uczyń to dla mnie... A jeżeli ktoś jeszcze będzie na niezdzielną książęcą narzekał, to go zza pasa wycańgij i daj mu nim w pysk. Lepszego argumentu nie znajdziesz.

— Jedno widzę jasno, że książę sobie ludzi kapituje — rzekł Jan Skrzetuski — i że chyba jakieś zamiary tworzy, do których mu pomoc potrzebna.

— Alboż to nie słyszał o tych zamiarach? — odrzekł Zagłoba. — Alboż to nie powiedział, że mamy iść popioły wileńskie pomścić?... Powiadali na niego, że Wilno zrabował, a on chce pokazać, że nietykko cudzego nie potrzebuje, ale i swoje gotów jeszcze oddać... Piękna to ambicja, panie Janie. Daj nam Boże więcej takich senatorów!

Tak rozmawiając, znaleźli się znowu na dziedzińcu zamkowym, na który wjeżdżały co chwila to oddziały konnych wojsk, to gromady zbrojnej szlachty, to kolaski wiozące personatów okolicznych z żonami i dziećmi. Postrzegłszy to pan Michał, pociągnął wszystkich ze sobą do Bramy, aby się wjeżджającym przypatrywać.

— Kto wie, panie Michale, dziś twój fortuny dzień... Może tu i żona dla ciebie pomiędzy temi szlachciankami jedzie — rzekł pan Zagłoba. — Obacz! Ot, jakaś kolaska odkryta się tu zbliża, a w niej coś białego siedzi...

-- Nie panna to jeszcze jedzie, ale ten, który mi może ślub z nią dać, — odrzekł bystrooki pan Wołodyjowski — gdyż zdaleka poznam, że to ksiądz biskup Par-
czewski nadjeżdża z księdzem Białoziorem, archidyako-
nem wileńskim.

— Zali oni księcia, choć kalwina, odwiedzają?
— Cóż mają czynić; gdy tego potrzeba dla spraw
publicznych, muszą ze sobą politykować.

— Ej, rojno też tu! ej, gwarno! — rzekł z radością
pan Zagłoba. — Człowiek już zardzewiał na wsi, jak
stary klucz w zamku... Tu się lepsze czasy przy-
pomną. Szelmą jestem, jeżeli dzisiaj do jakiej dziewczki,
gładyszki, w zaloty się nie puszczę!

Dalsze słowa pana Zagłoby przerwali żołnierze,
trzymający straż w bramie, którzy wypadłyszy z odwa-
chu, stanęli w dwa szeregi na przyjęcie księcia bi-
skupa; on zaś przejechał, czyniąc krzyż ręką na obie
strony, błogosławiając żołnierzy i zebraną wpółbiżu
szlachtę.

— Polityczny to pan, książe, — rzekł Zagłoba — że
tak księda biskupa honoruje, chociaż sam zwierzchno-
ści kościelnej nie uznaje... Dałby Bóg, żeby to był
pierwszy krok do nawrócenia.

— E! nie będzie z tego nic. Niemało o to starań
czyniła pierwsza jego żona i nic nie wskórała, aż umarła
ze zmartwienia... Ale czemu choć sekty z warty nie
schodzią? Widać znowu ktoś godny będzie przejeżdżał.

Jakoż w dalekości ukazał się cały orszak zbroj-
nych żołnierzy.

— To dragony Ganchofa, poznaję; — rzekł Woło-
dyjowski — ale jakieś karety w środku idą!

Wtem bębnny poczęły warczeć.

— Oho! to widać ktoś większy od księcia biskupa
żmudzkiego! — zawołał Zagłoba.

— Czekaj waść, już są.
— Dwie karety wprost od centrum.
— Tak jest. W pierwszej to pan Korf, wojewoda wendeński.
— Jakże! — zakrzyknął Jan — to znajomy ze Zbaraża...

Jakoż wojewoda poznał ich, a najpierw Wołodyjowskiego, którego widocznie częściej widywał; więc przejeżdżając, wychylił się z kolaski i zakrzyknął:
— Witam waszmościów, starzy towarzysze!... Ot, gości wieziem!

W drugiej karecie, z herbami księcia Janusza, zaprzągniętej w cztery białe ogiery, siedziało dwóch panów wspaniałej postaci, ubranych zcudzoziemska, w kapelusze o szerokich koliskach, zpod których jasne pukle peruk spływały im aż na ramiona, na koronkowe, szerokie kołnierzze. Jeden, bardzo otyły, nosił spiczastą płową brodę i wąsy rozstrzępione na końcach i podniesione do góry; drugi młodszy, ubrany całkiem czarno, mniej rycerską miał postawę, ale może wyższy jeszcze urząd, gdyż na szyi błyszcztał mu złoty łańcuch, zakończony jakimś orderem. Obaj widocznie byli cudzoziemcami, spoglądali bowiem ciekawie na zamek, na ludzi i na ubiory.

— Co za dyabły? — pytał Zagłoba.
— Nie znam ich, nigdy nie widziałem! — odrzekł Wołodyjowski.

Wtem karoca przejechała i poczęła okrążać dziedziniec, by zajechać przed główny korpus zamkowy, dragoni zaś zatrzymali się przed Bramą.

Wołodyjowski poznał dowodzącego nimi oficera.
— Tokarzewicz! — zakrzyknął — a bywajno waszmość!
— Czołem, mości pułkowniku!
— A jakich to szołdrów wieziecie?
— To Szwedzi.
— Szwedzi?
— Tak jest i znaczen ludzie. Ten gruby, to hradia Löwenhaupt, a ów cieńszy, to Benedykt Shitte baron von Duderhoff.
— Duderhoff?! — rzekł Zagłoba.
— A czego on tutaj chcą? — pytał pan Wołodyjowski.
— Ha, szelmy! tchorz was oblucuje! — wołał Zagłoba. — To Wielkopolskę najeżdżacie, króla rugujecie, a tu kłaniacie się Rądziwiłłowi, by was w Infantry nie połechtał. Poczekajcie! będzicie zmykać do waszych Dunderhoffów, aż wam pończochy opadną! Zaraz my tu z wami podunderujemy. Niech żyje Rądziwiłł!
— Niech żyje — powtórzyła stojąca przy bramie szlachta.
— Defensor patriae! Obrońca nasz! Na Szweda, mości panowie! na Szweda!
Uczyniło się koło. Coraz więcej szlachty zbierało się z dziedzińca, co widząc Zagłoba, skoczył na wystający cokół bramy i począł wołać:
— Mości panowie, słuchajcie! Kto mnie nie zna, temu powiem, żem jest stary zbarażczyk, który Burłaja, największego hetmana po Chnielnickim, tą oto starą ręką usiekił; kto zaś nie słyszał o Zagłobie, ten widać czasu pierwszej kozackiej wojny groch łąszył, kury
macał albo ciełęta pasał, czego po tak żących kawalerach się nie spodziewam.

— Wielki to rycerz! — ozwały się liczne głosy. — Niemasz w Rzeczypospolitej większego!... Słuchajcie!

— Słuchajcie, moi panowie! Starym kościołem chciało się wypoczynku; lepiejby mi było po piekarniach się wylegać, twaróg ze śmietaną jadać, po sadach chodzić i jabłka zbierać, albo ręce w tyl założywszy, nad żniwakami stać lub dziewczki po łopatkach poklepywać. Pewnie i nieprzyjaciel byłby mnie dla własnego dobra ostawił w spokoju, bo i Szwedzi i Kozacy wiedzą, że mam rękę przyciężką i dałby Bóg, aby moje imię tak było znane waćpanom, jak hostibus jest znane.

— A coto za kur tak górne pieje? — spytał nagle jakiś głos.

— Nie przerywaj! bodaj cię zabito! — wołali inni. Lecz Zagłoba dosłyszał.

— Wybaczcie waćpanowie temu kogutkowi! — zakrzyknął — bo on jeszcze nie wie, z której strony ogon, a z której głowa.

Szlachta wybuchnęła ogromnym śmiechem, a zmieszany preopinant cofał się przedzej poza tłum, aby ujść szyderstw, które poczęły się sypać na jego głowę.

— Wracam do matery! — mówił Zagłoba. — Owoż, repeto, należałby mi się wypoczynek, ale że ojczyzna w paroksyzmie, że nieprzyjaciel depce naszą ziemię, przetom tu jest, moi panowie, aby razem z wami oponować się hostibus, w imię tej matki, która nas wszystkich wykarmiła. Kto przy niej dziś nie stań, kto jej na ratunek nie pobieży, ten nie syn, ale pasierb, ten nie godzien jej miłości. Ja stary idę, niech się dzieje wola Boża, a jeśli zginąć przyjdzie, tedy osta-
tnim tchem będę wołał: na Szweda! panowie bracia! na Szweda!... Poprzysięgnijmy sobie, że nie prędzej popuśmy nim szable z dłoni, aż ich z ojczyzny wyże-

— My i bez przysiąg na to gotowi! — zawołały liczne głosy. — Pójdzie, gdzie nas nasz hetman książę poprowadzi; zajedziem gdzie potrzeba!

— Mości panowie bracia!... Widzieliście, jako dwóch pludraków przyjechało w złocistej karecie. Wie-

dzą oni, że nie z Radziwiłłem to igrać. Będą za nim po komnatach chodzić i w lokcie go całować, by im dał pokój. Ale książę, mości panowie, od którego z narady wracam, upewnił mnie imieniem całej Litwy, że nic z pactów, nic z pergaminów, jeno wojna i wojna!!

— Wojna! wojna! — powtórzyły jak echa głosy słuchaczy.

— Lecz że i wódc — mówił dalej Zagłoba — tem śmiejej sobie poczyna, im swoich żołnierzy pewniejszy, okażmy tedy, mości panowie, nasze sentymenta. A nuże! Pójdżmy pod pańskie okna zakrzyknąć: hajże na Szweda! Za mną, mości panowie!

To rzekłszy, zeskoczył z cokołu i ruszył naprzód, a tłum za nim i tak przyszli pod same okna, czyniąc gwar coraz większy, który w końcu złał się w jeden olbrzymi okrzyk:

— Na Szweda! na Szweda!

Po chwili wypadł z sieni pan Korf, wojewoda wendeński, zmieszany bardzo, za nim Ganchoff, puł-
kownik rajtarów książęcych i obaj poczęli hamować szlachtę, uciszać, prosić, żeby się rozeszła.

— Na Boga — mówił pan Korf — tam na górze aż szyby drżą, a waćpanowie ani wiecie, jakeście się nie
w porę z waszemi okrzykami wybrali. Jakżeto możecie posłom zniewagi czynić, przykład niekarności dawać! Kto was do tego pobudził?

— Ja! — odrzekł Zagłoba. — Powiedz wasza miłość księciu panu w imieniu nas wszystkich, że go prosimy, aby był twardy, bo do ostatniej kropli krwi gotowismy przy nim wytrwać.

— Dziękuję waszmościom w imieniu pana hetmana, dziękuję waszmościom, ale już się rozejdzie. Rozwagi, mości panowie! Na żywych Bóg, rozwagi, bo ojczyznę do reszty pogrążycie! Niedźwiedzą przysługę ojczyźnie oddaje, kto dziś posłów znieważy.

— Co nam do posłów! Chcemy się bić, nie paiktować!

— Cieszę mnie animusz waszmościów! Przyjdzie na to pora niezadługo, bogdaj, że i bardzo prędko. Wypocznijcie teraz przed wyprawą. Pora na gorzałkę i przekąskę! Źle się bić o pustym brzuchu.

— Prawda, jako żywo! — zawołał pierwszy pan Zagłoba.

— Prawda, w sedno utrafił. Skoro książę zna nasze sentymenta, to nie mamy tu co robić!

I tłum począł się rozpraszać, największy zaś płynął do oficyn, w których liczne stoły były już zastawione. Pan Zagłoba szedł na czele — pan Korf zaś wraz z pułkownikiem Ganchofem udali się do księcia, który siedział na naradzie z posłami szwedzkimi, z księdzem biskupem Parczewskim, z księdzem Białozorem, z panem Adamem Komorowskim i z panem Aleksandrem Mierzejewskim, dworzaniem króla Jana Kazimierza, czasowo bawiącym w Kiejdanach.
— Kto tam był sprawcą tej wrzawy? — pytał książe, z którego lwiej twarzy gniew jeszcze nie ustąpił.
— To ów szlachcic ścieżko przybyły, sławny pan Zagłoba! — odpowiedział wojewoda wendeński.
— Mężyno rycerz, — odparł książe — ale za-wcześniej mi się rządzić poczyna.
To rzekłszy, skinął na pułkownika Ganchofa i począł mu coś szeptać do ucha.

Pan Zagłoba tymczasem rad z siebie, szedł do sal dolnych uroczystym krokiem, mając przy sobie pa-nów Skretuskich i pana Wołodyjowskiego, do których mówił zcicha:

— A co, amici, ledwiem się pokazał, jużem afekt w tej szlachcie ku ojczyźnie rozbudził. Łatwiejże teraz księciu odprawić z niczem posłów, bo się na nasze sufragia potrzebuje tylko powołać. Nie będzie to, jak myślę, bez nagrody, choć najwięcej mi o honor cho-
dzi. Czegoż tak stanął, panie Michale, jak skamie-
niały i oczy utkwiłeś w onę kolaskę przy bramie?
— To ona! — rzekł, ruszając wąsikami pan Michał. — Na Boga żywego, ona sama!
— Któ taki?
— Bilewiczówna...
— Ta, która ci dała rekuzę?
— Tak jest. Patrzcie waszmościowie, patrzcie! Nie zmarniećże tu człeku od żałości?
— A poczekajcjo! — rzekł Zagłoba — trzeba się przyjrzeć.

Kolaska tymczasem zatoczywszy koło, zbliżyła się do rozmawiających. Siedział w niej okazały szlachcic z siwowającym wąsem, a obok niego panna Aleksandra; piękna jak zawsze, spokojna i poważna.
Pan Michał utkwił w nią wzrok rozżalony i skło- nił się nisko kapeluszem, ale ona nie dostrzegła go w tłumie. Zagłoba zaś rzekł, spoglądając na jej deli- katne szlachetne rysy:

— Pańskie to jakieś dziecko, panie Michale, i za misterna dla żołnierza. Przyszpanie, że gladka, ale ja wolę takie, coto i zrazu nie poznasz: armata, czy białogłowa?

— Nie wiesz waszmość, kto to przyjechał? — spytał pan Michał stojącego obok szlachcica.

— Jakże nie wiem! — odparł szlachcic — to pan Tomasz Billewicz miecznik rosieński. Wszyscy go tu znają, bo to dawny radziwiłłowski sługa i przyjaciel.
ROZDZIAŁ XIII.


Harasimowicz opowiadał szlachcie, że wozy pójdą do Tykocina na Podlasie, bo niebezpiecznieby było, aby skarbiec zostawał w nieobronnym kiejdańskim zamku. Przygotowywano i rekwizyta wojenna, które miały iść za wojskiem.

Rozeszły się wieści, że hetman polny Gosiewski dlatego został aresztowany, że nie chciał połączyć swych chorągwi, stojących w Trokach, z radziwiłłowskim, przeto na jawną zgubę całą wyprawę wystawiał.
Zreszta przygotowania do pochodu, ruch wojsk, turkot armat, wytaczanych z zamkowego arsenału i ów rozgardyasz towarzyszący zawsze pierwszym chwilom wojennych wypraw, odwrócił uwagę w inną stronę i każał zapomnieć rycerstwu o aresztowaniu pana Gosiewskiego i kawalera Judyckiego.

Obiadująca w olbrzymich dolnych salach oficyn szlachta, o niczem nie rozprawiała, jeno o wojnie, o pożarze Wilna, które już dziesięć dni gorzało, coraz szerzym pałac się pożarem, o wieściach z Warszawy, o postępach Szwedów i o Szwedach samych, przeciw którym, jako przeciw wiarołomcom, napadającym sąsiada wbrew traktatowi mającemu jeszcze na sześć lat siłę, burzyły się serca, umysły i wzrastała w duszach zawziętość. Wieści o szybkich postępach, o kapitułacjy Ujścia, zalaniu Wielkopolski wraz ze szczypiorkami miastami, o grożącym najściu Mazowsza i nieuniknionem wzięciu Warszawy, nietykio nie budziły trwogi, ale przeciwnie podniecały odwagę i ochotę do boju. Działo się to dlatego, że jasne już były dla wszystkich przyczyny tego szwedzkiego powodzenia. Oto dotychczas nie zetknęli się jeszcze ani razu z wojskiem, ani z wodzem prawdziwym. Radziwiłł był pierwszym wojownikiem z rzemiosła, z którym mieli się zmierzyć, a który tymczasem wzbudzał absolutną ufność w swe zdolności wojenne w zebranej szlachcie, zwłaszcza, że i pułkownicy jego zaręczali, iż pobiją Szwedów w otwartem polu.

— Nie może być inaczej! — mówił pan Michał Stankiewicz, stary i doświadczony żołnierz. — Pamiętam wojny dawniejsze i wiem, że bronili się zawsze w zamkach, w warownych obozach, zza szańczyków, nigdy nie śmieли stawić się nam w otwartem polu, bo się jazdy
okrutnie bali, a gdzie dufając w siłę, wystąpili, tam słuszne otrzymali ćwiczenie. Nie wiktorya to dała w ich ręce Wielkopolskę, ale zdrada i pospolitego ruszenia niedolęstwo.

— Tak jest! — rzecze pan Zagłoba. — Mdły to naród, bo ziemia tam okrutnie nieurodzajna i chleba nie mają, bo jeno szyszki sosnowe miela, z takiejeto mąki podpłomyki czyniąc, które żywicą śmierdzą. Inni nad morzem chodzą i co tylko fala wyrzuca, to żrą, jeszcze się z sobą o owe specytały bijąc. Holota tam okrutna, dlatego niemals narodu na cudze łapczywszego, bo nawet Tatarzy końskiego mięsa ad libitum mają, a oni czasem po roku mięsa nie widują i ciągle głodem przymierają, chyba, że połów ryb zdarzy się obfity.

Tu Zagłoba zwrócił się do pana Stankiewicza:

— A waszmość to kiedy ze Szwedami się zapoznał?

— Pod księciem Krzysztofem, ojcem teraźniejszego pana hetmana.

— A ja pod panem Koniecpolskim, ojcem dziesięcioletnego chorążego. Srodześmy kilkakroć Gustawa Adolfa w Prusach porazili i jeńców niemałośmy nabrać; tamem ich na wylot przeznali i wszelkie ich sposoby. Nacudowali się nad nimi nasi chłopcy niemało, bo trzeba waszmościom wiedzieć, że Szwedzi, jako to naród ustawicznie w wodzie brodzący i z morza największe ciągnący intraty, nurkowie są exquisitissimi. Tośmy się im popisywać kazali i co waszmościowicie na to powiecie: rzuczisz szelnię w jednę przerębel, to on ci drugą wypłynie i jeszcze śledzia żywego w pysku trzyma...

— Na Boga, co waszmość mówisz?!

Podobno najpierw nie na nich pójdziemy,— mówił pan Szczyt — jeno za Wilno pomścić? — Tak jest. Sam to księciu radziłem, gdy się pytał, co w tej materii myślę — odparki Zagłoba. — Ale skończywszy z jednymi, pójdziemy wnet na drugich. Muszą się tam ci posębkwie pocić.

Politycznie ich przyjmują, — rzekł pan Załęski — ale nic chudzątka nie wskórają, a najlepszy dowód rozkazy wojsku dane.

Miły Boże, miły Boże! — mówił pan Twarowski, sędzia rosieński — jak to wraz z niebezpieczeństwy ochoty przybywa... Jużeśmy mało nie zdesperowali, z jednym nieprzyjacielem do czynienia mając, a teraz nam na obydwóch.

Nie może być inaczej — odparki Stankiewicz. — Nierzaz to bywa, że się pozwolisz bić pójty, póki ci cierpliwości nie zbraknie, a potem ni ztąd, ni zowąd, znajdzie się i wigor i fantazja. Małośmy to ucierpieli, mało przenieśli?... Spuszczałem się na króla i pospolite ruszenie koronne, na własne siły nie licząc, aż wreszcie mamy wóz i przewóz, trzeba albo obydwóch bić, albo zginąć z kretsem...

Bóg nam pomoże! Dosyć tego zwlekania!

Sztych nam do gardła przyłożyli!
Przyłożmy im i my! Pokażemy koroniarczykom, jacy to tu żołnierze! Nie będzie u nas Ujścia, jako Bóg w niebie!

I w miarę kielićów rozgrzewały się czupryny i rosły humory wojenne. Tak nad brzegiem przepaści ostatni wysiędek częstokroć o ocaleniu stanowi. Zrozumiały to te tłumy żołnierzy i owa szlachta, którą tak niedawno jeszcze Jan Kazimierz do Grodna wzywał przez rozpaczliwe uniwersały na pospolitę ruszenie. Teraz wszystkie serca, wszystkie umysły zwrócone były ku Radziwillowi; wszystkie usta powtarzały to groźne imię, z którym do niedawna zawsze zwycięstwo szło w parze. Jakoż od niego tylko zależało zebrać rozproszone, poruszyć uśpione siły kraju i stanąć na czele potęgi, dostatecznej do pomyślnego rozstrzygnięcia obydwóch wojen.

Po obiedzie wzywano do księcia kolejno pułkowników: Mirskiego, który w pancernej hetmańskiej chorągwi porucznikował, a po nim Stankiewicza, Ganchofa, Charłampa, Wołodyjowskiego i Sołohuba. Zdziwili się trochę starzy żołnierze, że ich pojedyńczo nie wspólnie, na naradę zapraszając; ale miłe to było zdziwienie, każdy bowiem odchodził z jakąś nagrodą, z jakimś widocznym dowodem książęcego faworu; w zamian zaś żądał tylko książki wierności i ufności, które i tak wszyscy z duszy serca mu osiąrowali. Wypytywał się też pan hetman trośkliwie, czy pan Kmiec nie wrócił i kazał sobie dać znać, gdy wróci.

Jakoż wrócił, ale dopiero późnym wieczorem, gdy już sale były oświetlone i goście poczęli się zbierać. W cekhauzie, dokąd przyszedł się przebrać, zastał pana Wołodyjowskiego i poznajomił się z resztą kompanii.
— Okrutniem rad, że waszmości widzę i sławnych przyjaciół! — rzekł, wstrząsając ręką małego rycerza. — Jakobym brata zobaczył! Możesz w to waszmość wieryć, bo ja symulować nie umiem. Prawda żeś mnie szpelijk przez łeb przejechał, aleś mnie potem na nogi postawił, czego do śmierci nie zapomnę. Przy wszystkich to mówię, że gdyby nie waszmość, tobym się teraz za kratą kołatał. Bodaj się tacy ludzie na kamieniu rodzili. Kto inaczej myśli, ten kiep i niech mnie dyabiel porwie, jeśli mu uszów nie obetnę.

— Daj waść pokój.

— W ogień za waćpanem pójdę, bodajem przepadł! Wychodź, kto nie wierzy!

Tu pan Andrzej począł toczyć wyzywającym wzrokiem po oficerach, ale nikt nie zaprzeczył, bo zresztą wszyscy lubili i szanowali pana Michała; jeno Zagłoba rzekł:

— Siarczysty jakiś żołnierz, daj go katu! Widzimy się, że srodze polubię waćpana za ten afekt do pana Michała, bo mnie się dopiero spytać, ile on wart.

— Więcej niż my wszyscy! — odrzekł Kmicic ze zwykłą sobie porywczością.

Poczem spojrzał na panów Skrzetuskich, na Zagłóbę i dodał:

— Przepraszam waszmościów, nie chcę nikomu ubliżyć, bo wiem, żeście cnotliwi ludzie i wielcy rycerze... Nie gniewajcie się, bo jabym z serca chciał na przyjaźni waćpanstwa zasłużyć.

— Nic nie szkodzi: — rzekł Jan Skrzetuski — co w sercu, to w gębie.

— Dajno waćpan pyska! — rzekł pan Zagłoba.

— Nie mnie dwa razy taką rzecz powtarzać!
I padli sobie w objęcia. Poczem pan Kmiec za-
krzyknął:
— Musimy dziś podpisać, nie może być inaczej!
— Nie mnie dwa razy taką rzecz powtarzać! —
rzekł jak echo Zagłoba.
— Wymknijmy się wcześnie do cekhauzu, a o na-
pitkach pomyślę.

Pan Michał począł ruszać mocno wąsikami.
— Nie będziesz ty się miał ochoty wymykać —
pomyślał sobie w duchu, spoglądając na Kmiecicę —
jeno zobaczysz, kto tam na pokojach dzisiaj będzie...
I już usta otwierał, aby powiedzieć Kmiecicowi,
że pan miecznik rosieński z Olenką przyjechali do
Kiejdan, ale zrobiło mu się jakoś mdło na sercu, więc
zwrócił rozmowę.
— A waścina chorągiew gdzie jest? — pytał.
— Tu. Gotowiuśka! Był u mnie Harasimowicz
i przyniósł mi rozkaz od księcia, by o półnoku ludzie
byli na koniach. Pytałem go, czy to mamy wszyscy ru-
szać, powiedział: nie!... Nie rozumiem, co to znaczy.
Z innych oficerów jedni mają ten sam rozkaz, inni nie
mają. Ale piechota cudzoziemska wszystka otrzymała.
— Może część wojsk dziś pójdzie na noc, część
jutro — rzekł Jan Skrzesiński.
— W każdym razie ja tu z waszmościami pod-
piję, a chorągiew niech sobie rusza... Potem w go-
dzinę ją dogonię.

W tej chwili wpadł Harasimowicz.
— Jaśnie wielmożny chorąży orszański! — wołał,
kłaniając się we drzwiach.
— Do księcia pana! do księcia pana!
Zaraz, jeno szaty zawdzieję. Chłopię! kontusz i pas, bo zetnę.

Pachołek w mig podał resztę ubioru i w kilka minut później pan Kmiecic, strojny jak na wesele, ruszył do księcia. Luna od niego biła, tak wydał się urodzony. Żupan miał z lamy srebrnej, dzierzgany w rzuty gwieździste, od których szedł blask na całą postać, a zapięty wielkim szafirem pod szyją. Na to kontusz z błękitnego aksamitu, pas biały, ceny niezmiernie, tak subtelny, że przez pierścień można go było przewlec. Srebrzysta szabla, usiana szafirami, zwieszała się u pasa na jedwabnych rapciach; za pas zaś zatknął i buzdygan rotmistrzowski, mający powagę osoby oznaczać. Dziwnie zdobił ten strój młodego rycerza i piękniejszego mężczy trudnoby było w całym tym niezmiernym tłumie, zebranym w Kiejdanach, znaleźć.

Pan Michał westchnął, patrząc na niego i gdy Kmiecic zniknął za drzwiami cekhauzu, rzekł do pana Zagłoby:

— Z takim przy białogłowie ani rady!
— Ujmij mi jeno trzydzieści lat! — rzekł Zagłoba.

Książe już był także ubrany, gdy wszedł Kmiecic i właśnie szatny, w towarzystwie dwóch murzynów, wyszedł był z komnaty. Zostali samnasan.

— Daj ci Boże zdrowie, żeś pośpieszył! — rzekł książe.

— Do usług waszej książęcej mości.
— A chorągiew?
— Wedle rozkazu.
— Pewni też to ludzie?
— W ogień, do piekła pójdą!
— To dobrze! Takich ludzi mi potrzeba... i ta-
kich, jak ty, na wszystko gotowych... Ciągle to powtarzam, że na nikogo więcej, jak na ciebie, nie liczę.
— Wasza książęca mość, nie mogą się moje zasługi równać z zasługami starych żołnierzy, ale jeśli mamy na nieprzyjaciół ojczyzny ruszyć, tedy, Bóg widzi, nie pozostanę w tyle.
— Nie ujmuję ja starym zasług — rzekł książę — chociaż... mogą przyjść takie pericula, tak ciężkie terminy, że i najwierniejsi się zachwieją.
— Niech ten zginie marnie, kto od osoby w. ks. mości w niebezpieczeństwie odstąpi!
Książę spojrzał bystro w twarz Kmucica.
— A ty... nie odstąpiasz...
Młody rycerz zapłonął.
— Wasza książęca mość!
— Co chcesz mówić!
— Wypowiadałem się w. ks. mości ze wszystkich grzechów moich i taka ich kupa, że jeno ojcowskim sercu w. ks. mości zawdzięczam przebaczenie... Ale w tych wszystkich grzechach jednego niemasz: niewdzięczności.
— Ani wiarołomstwa... Wypowiadałeś się przed mną, jak przed ojcem, ajam ci nietykko jak ojciec przebaczył, alem cię pokochał, jak syna... którego Bóg mi nie dał i dlatego ciężko mi nieraz na świecie. Bądźże mi przyjacielem!
To rzekłszy książę, wyciągnął rękę, a młody rycerz uchwycił ją i bez wahania do ust przysiągł.
Milczeli obaj przez długą chwilę; nagle książę utkwił oczy w oczach Kmucica i rzekł:
— Bilewiczówna tu jest!
Kmucic pobładał i począł jąkać coś niezrozumiałej.
— Umyślnie po nią postan, żeby się ta niezgoda między wami skończyła. Zobaczysz ją zaraz, bo jej żałoba po dziadzie już wyszła. Dziś także, choć Bóg widzi, że głowa popękała mi od roboty, mówilem z panem miecznikiem rosieńskim.

Kmicic porwał się za głowę.
— Czemu ja się w. ks. mości odpłacę? Czemu ja odpłacę?...

Powiedziałem wyraźnie panu miecznikiowi, że taka moja wola, abyście się najpierw pobrali i nie będziesz ci przeciwny. Przykazałem mu też, aby dziewczę zwolna do tego przygotował. Mamy czas. Od ciebie wszystko zależy, a ja szczęśliwy będę, jeśli cię nagroda z rąk moich dojdzie i daj Boże doczekeć wiele innych, boś ty powinien pójść wysoko. Grzeszyłeś, boś młody, aleś już sławę na polu zdobył niepoślednią... i wszyscy młodzi gotowi wszędys iść za tobą. Dla Boga, powinieneś pójść wysoko! Nie dla takiego rodu, jak twój, urzędy powiatowe... Zali wiesz żeś ty Kiszków krewny, a z Kiszczanki ja się rodzę... Trzeba ci jeno statku, na co ożenek najlepsza rzecz. Bierzże onę dziewczynę, kiedy ci do serca przypadła i pamiętaj, kto ci ją daje.

— Wasza książęca mość, ja chyba oszaleję!... Życie, krew moja do w. ks. mości należą!... Co mam czynić, aby się wywdzięczyć? co? Mów w. ks. mość! rozkazu!

— Dobrem za dobro mi odpłac... Miej wiarę we mnie, miej ufność, że co czynię, to dla dobra publicznego uczynię. Nie odstępuj mnie, gdy będziesz widział zdradę i odstępstwo innych, gdy się złóż wzmoże, gdy mnie samego...
Tu książę urwał nagle.
— Przysięgam — rzekł z zapałem Kmicic — i paroli kawalerski daję do ostatniego tchnienia stać przy osobie waszej książęcej mości, mego wodza, ojca i dobrodzieja!

To rzeklszy Kmicic, spojrzał oczyma pełnemi ognia na księcia i aż strwożył się zmianą, która nagle zaszła na jego twarzy. Twarz ta była czerwona, żyły na niej nabrały, krople potu gęsto osiadły na wyniosłem czołem, a oczy rzucały blask niezwykły.

— Co waszej ks. mości jest? — pytał niespokojnie rycerz.

— Nic! nic!...

Radziwiłł wstał, ruszył spieszonym krokiem do kłącznika i zerwawszy z niego krucyfiks, począł mówić gwałtownym, przytłumionym głosem:

— Na ten krzyż przysięgnij, że mnie nie opuścisz do śmierci!...

Mimo całej gotowości i zapału, Kmicic spoglądał przez chwilę na niego ze zdumieniem.

— Na tę mękę Chrystusa... Przysięgnij!... — nalegał hetman.

— Na tę mękę Chrystusa... Przysięgam! — rzekł Kmicic, kładąc palce na krucyfiksie.

— Amen! — dodał uroczystym głosem książę.


— Teraz jużżeś mój... — rzekł wreszcie książę.

— Zawsze do waszej książęcej mości należał — odparł skwapliwie młody rycerz — ale racz mi wasza
ks. mość powiedzieć, racz mnie objaśnić, co się dzieje? Dlaczego wasza ks. mość wątpiłeś o tem? Czyli grozi co dostojnej osobie? Aza zdrada jaka, jakowe machinacy zostały odkryte?

Zbliża się czas próby, — rzekł ponuro książe — a co do nieprzyjaciół, nie wieszli to, że pan Gosiewski, pan Judycki i pan wojewoda witebski radziby mnie na dno przepaści pogrążyć. Tak jest! Wzmaga się nieprzyjaciel domu mego, szerzy się zdrada i grożą klęski publiczne. Dlatego mówię: zbliża się czas próby...

Kmicic zamilkł, ale ostatnie słowa księcia nie rozproszyły ciemności, jakie obsiadły jego umysł i próżno pytał sam siebie, co może grozić w tej chwili potężnemu Radziwiłłowi? Wszakże stał na czele większych sił, niż kiedykolwiek. W samych Kiejdanach i w okolicy stało tyle wojska, że gdyby był księże miał podobną potęgę, zanim pod Szkłów ruszył, los całej wojny wypadłby niezawodnie inaczej.

Gosiewski i Judycki byli mu wprawde niechętni, ale obydwóch miał w ręku i pod wątarą, a co do wojewody witebskiego, zbyt to był cnotliwy człowiek, zbyt dobry obywatel, aby w przeddzień nowej wyprawy przeciw nieprzyjaciołom można się było obawiać z jego strony jakichkolwiek przeszkód i machinacy.

Bóg widzi, nic nie rozumiem! — zakrzyknął Kmicic, nieumiejący wogóle utrzymać swoich myśli.

Dziś jeszcze zrozumiesz wszystko — odparł spokojnie Radziwiłł. — A teraz pójdźmy do sali.

I wziąwszy pod rękę młodego pułkownika, skierował się z nim ku drzwiom.

Przeszli kilka komnat. Zdaleka, z olbrzymiej sali dochodziły dźwięki kapeli, której przewodził Francuz,
sprowadzony umyślnie przez księcia Bogusława. Grano też menueta, którego wówczas na dworze francuskim tańcowywano. Łagodne tony mieszały się z gwarem licznych głosów ludzkich. Książe Radziwiłł zatrzymał się i słuchał.

— Daj Boże — rzekł po chwili — aby ci wszyscy goście, których pod dach przyjmuję, nie przeszli jutro do moich nieprzyjaciół.

— Mości książe, — odparł Kmiecic — mam nadzieję, że niemasz między nimi szwedzkich stronników...

Radziwiłł drgnął i wstrzymał się nagle.

— Co ty chcesz powiedzieć?

— Nic, mości książe, jeno, że tam zacni żołnierze się weselą.

— Chodźmy... Czas pokaże i Bóg osądzi, kto zacny... Chodźmy!

Przy samych drzwiach stało dwunastu paziów, cudownych chłopiąt, przybranych w pióra i aksamity. Ujrzał wątłego hetmana, sformowali się w dwa szeregi, książe zaś zbliżywszy się, pytał:

— Jej księżąca mość weszła już na salę?

— Tak jest, mości książe! — odpowiedzieli chłopcy.

— A ichmościowie posłowie?

— Są także.

— Otwieraj!

Obie połowy drzwi rozwarły się w mgnieniu oka, potok światła lunął przez nie i oświecił olbrzymią postać hetmana, który mając za sobą pana Kmiecica i paziów, wszedł na podniesienie, na którym krzesła dla przedniejszych gości były zastawione.

Wnet ruch uczynił się w sali, wszystkie oczy zwróci-
ciły się na księcia, potem jeden okrzyk wyrwał się z setek piersi rycerskich:

— Niech żyje Radziwill! Niech żyje! Niech nam hetmani! Niech żyje!

Książę klaniał się głową i ręką następnie jął witać gości zebranych na estradzie, którzy podnieśli się w chwili, gdy wchodził. Byli tam między znakomityszymi, oprócz samej książęcej, dwaj posłowie szwedzcy, poseł moskiewski, pan wojewoda wendeński, książąt biskup Parczewski, książąt Białozer, pan Komorowski, pan Mierzejewski, pan Hlebowicz, starosta żmudzki, szwagier hetmański, jeden młody Pac, oberszt Ganchoff, pułkownik Mirski, Weisenhoff, poseł księcia kurlandzkiego i kilka pań z otoczenia książęcej.

Pan hetman, jako przystało na gościnnego gospodarza, począł powitania od postów, z którymi kilkanaście słów uprzejomych zamienił, poczynając witać innych, a skończywszy, zasiadł na krześle z gronoastajowym baldachimem i spoglądał na salę, w której jeszcze brzmiały okrzyki:

— Niech żyje!... Niech nam hetmani!... Niech żyje!...

Kmicic, ukryty za baldachimem, patrzył również na tłumy. Wzrok jego przeskakiwał z twarzy na twarz, szukając wśród nich ukochanych rysów tej, która w tej chwili zajmowała całą duszę i serce rycerza. Serce było mu jak młotem...

— Ona tu jest! Za chwilę ją ujrzę, przemówię do niej!... — powtarzał sobie w myśli... I szukał, szukał coraz chciwiej, coraz niespokojniej. Ot, tam! ponad piórami wachlarza widać jakieś brwi czarne, białe czoło i jasne włosy. To ona!
Kmicic dech wstrzymuje, jakby w obawie, żeby nie spłoszyć zjawiska, ale tymczasem poruszają się pióra, twarz się odsłania — nie! to nie Oleńka, to nie ta miła i najmilsza. Wzrok leci dalej, obejmuje wdzięczne postacie, ślizga się po piórach, atlasach, rozkwitłych jak kwiaty twarzach i ludzi się co chwila. Nie ona i nie ona! Aż wreszcie, hen! w głębi, wedle framugi okna, zamajaczyło coś białego i rycerzowi pociemniało w oczach — to Oleńka, to ta miła i najmilsza...

Kapela poczyna grać nanowo, tłumy przechodzą, kręcą się damy, migocą strojni kawalerowie, a on jak ślepy i głuchy, nic nie widzi, tylko ją i patrzy tak chciwie, jakby ją pierwszy raz widział. Nibyto ta sama Oleńka z Wodoktów, a inna. W tej ogromnej sali i w tym tłumie wydaje się jakoś mniejsza i twarzyczkę ma drobniejszą, rzekłbyś dziecięcą. Ot! wziąłbyś eałą na ręce i przytulił! A przecie znów to sama, choć inna: też sameto rysy, te słodkie usta, takież rzęsy, cień rzucejące na policzki, i to czoło jasne, spokojne, kochane... Tu wspomnienia jak błyskawice poczynają się przesuwać przez głowę pana Andrzeja: owa czeładna w Wodoktach, gdzie ją ujrzał po raz pierwszy i te ciche komnatki, w których przesiadywali razem. Co za słodycz, choćby tylko wspominać!... A ta sanna do Mitrunów, podczas której on ją całował!... Potem już ludzie poczęli ich rozdzielać i burzyć ją przeciw niemu.

— A żebyto pioruny zatrzasły! — zakrzyknął w duszy pan Kmicic. — Co ja miałem i com ja utracił! Jaka ona była bliska, a jaka teraz daleka!

Siedzi oto zdala, jak obca, ani wie, że on tu jest.— I gniew, ale zarazem żal niezmienny, pochwycił pana

Potop. T. I.
Andrzeja, żal, dla którego innych słów nie znalazł, jeno wykrzyk w duszy, który przez usta nie przeszedł:
— Ej, ty! Oleńka, ej, ty!...

Nierzaz pan Andrzej wściekał się na siebie za swoje dawne postępk, że miewał ochotę kazać się ludziom własnym rozciągnąć i sto bizunów wyliczyć, ale nigdy nie wpadł w taki gniew, jak teraz, gdy ją znów ujrzał po długim niewidzeniu, cudniejszą jeszcze niż zwykle, cudniejszą nawet, niż sobie wyobrażał. W tej chwili chciałby się pastwić nad sobą, ale że był między ludźmi, w dostojnym towarzystwie, więc tylko zęby zaciskał i jakoby chcąc sobie umysłnie jeszcze większy ból zadać, powtarzał w duchu:
— Dobrze ci tak, kpie! Dobrze ci!
Tymczasem dźwięki kapeli umilkły znowu i zamiast nich, usłyszał pan Andrzej głos hetmana:
— Chodź za mną!
Kmicic zbudził się jakby ze snu.
Książe zeszedł ze wznowienia i w nueszał się między gości. Na twarzy miał uśmiech łagodny i dobrośliwy, który zdawał się jeszcze podnosić majestat jego postaci. Był to ten sam wspaniały pan, który czasu swego przyjmując królowę Maryją Ludwikę w Nieporęcie, dziwił, zdumiewał i gasił dworaków francuskich nietyklo przepychem, ale i dwornością swych obyczajów; ten sam, o którym z takim uwielbieniem pisał Jan Laboureur w relacji ze swej podróży. Teraz więc zatrzymywał się co chwila przy poważniejszych matronach, przy zacniejszej szlachcie i pułkownikach, mając dla każdego z gości jakieś łaskawe słowo, dziwiąc obecnych swą pamięcią i jednając w mgnieniu oka wszystkie serca. Oczy obecnych biegały za nim, gdzie się tylko poruszył, on
zaś zwolna zbliżył się do pana miecznika rosieńskiego, Billewicza i rzekł:

— Dziękuję ci, stary przyjacielu, żeś przybył, choćbyś miałym się prawo i gniewać. Nie o sto mil Billewicze od Kiejdan, a z ciebie rara avis pod moim dachem.

— Wasza ks. mość, — odpowiedział pan miecznik, kłaniając się nisko — krzywdę ojczyźnie czyni, kto waszej ks. mości czas zabiera.

— A ja już myślałem się zemścić i najechać cię w Billewiczach, a przecież myśle, że przyjąłbyś wdzięcznie starego kompana obozowego?

Słysząc to, pan miecznik aż zAaronienił się ze szczęścia, a książę mówił dalej:

— Jeno czasu, czasu zawsze nie staje!... Ale jak krewniaczkę, wnuczku nieboszczyka pana Herakliusza, będziesz za mąż wydawał, to już na weselisko koniecznie zjadę, bom wam to obydwom powinien.

— Dajże Boże dziewczę jak najprędzej! — zawołał pan miecznik.

— Tymczasem przedstawiam ci pana Kmici, chorążego orszańskiego, z tych Kmiciów, coto Kiszkom, a przez Kisków i Radziwiłłom krewni. Musiąłeś to nazwisko od Herakliusza słyszeć, bo on Kmiciów jak braci kochał...

— Czołem, czołem! — powtórzył pan miecznik, któremu zaimponowała nieco wielkość rodu młodego kawalera, głoszona przez samego Radziwiłła.

— Witam pana miecznika dobrodzieja i służbie się jego polecam — rzekł śmiało i nie bez pewnej dumy pan Andrzej. — Pan pułkownik Herakliusz był mi ojcem i dobrodziejem, a choć się później popsuwała jego ro-

20
bota, to jednak nie przestałem miłować wszystkich Billewiczów, jakoby własna moja krew w nich płynęła.
— Szczególnie — rzekł książę, kładąc pousale rękę na ramieniu młodzieńca — nie przestał miłować jednej Billewiczówny, z czem mi się dawno zwierzył.
— I każdemu do oczu to powtórzę! — rzekł zapalczynie Kmicic.

— Powoli, powoli! — odpowiedział książę. — To widzisz, mości mieczniku, z siarki i ognia jest kawaler, przezco i nabońc łotrę; ale że młody i pod moją szczególniejszą jest protekcją, przeto tuszę, że jak we dwóch zaczniem błagać, tak i otrzymamy zdjęte kondemnaty przed onym wdzięcznym trybunałem.

— Wasza książęca mość uczyni, co zechce! — odrzekł pan miecznik. — Nieszczęsna dziewczka musi zakrzyknąć, jak ona kapłanka pogańska, Aleksandrowi: „Któż ci się oprze!“

— A my, jako ów macedończyk, poprzestaniem na tej wróżbie — mówił, śmiejąc się książę. — Ale dość tego! Prowadźże nas teraz do swej krewniczkci, bo i ja rad ją obaczę. Niechże się naprawi ta robota pana Herakliusza, która się popsuwała.

— Służę w. ks. mości!... Tam oto dziewczyna siedzi pod opieką pani Wojniłowiczowej, naszej krewnej. Jeno błągam o przebaczenie, jeśli się skonfunduje, bom też jeszcze nie miał czasu jej ostrzec.

Przewidywania pana miecznika były słuszne. Na szczęście, Oleńka nie w tej dopiero chwili ujrzała pana Andrzeja przy boku l.e:mańskim, więc mogła nieco przyjść do siebie, ale na razie omarło nie opuściła jej przytomność. Poblała jak płótno, nogi zadrżały pod nią i patrzyła tak na młodego rycerza, jakby patrzyła
na ducha, zjawiającego się z tamtego świata. I długo oczom nie chciała wierzyć. Toż ona sobie wyobrażała, że ów nieszczęsnik albo tuła się gdzieś po lasach, bez dachu nad głową, opuszczony od wszystkich, ścigany jak dziki zwierz przez sprawiedliwość; albo zamknięty w wieży, spogląda rozpaczliwym wzrokiem przez żelazną kratę na wesoły świat boży. Bóg jeden wiedział, jak straszny nieraz żał gryzł jej serce i oczy za tym stracieniem; Bóg jeden mógł policzyć łzy, które w samotności nad jego losem, tak okrutnym, choć tak zasłużonym, wylała — a tymczasem on znalazł się w Kiejdanach, wolny, przy boku hetmańskim, dumny i trojny w lamy i aksamity, z pułkownikowym buzdyganem za pasem, ze wzniesieniem czołem, z rozkazującą, hardą twarzą junacką i sam hetman wielki, sam Radziwiłł, kądź mu rękę pousiał na ramieniu. Dźwigne a sprzeczne uczucia spłotły się naraz w sercu dziewczyny; więc jakaś wielka ulga, jakby jej kto brzemię zdjął z ramion; więc jakiś żal, że tyle litości i zmartwienia poszło naprędno; więc i ten zawód, jakiego doznaje każda uczciwa dusza na widok bezkarności zupełnej za ciężkie grzechy i występki; więc i radość i poczucie własnej niemocy i graniczący z przestrachem podziw dla tego junaka, który potrafił z takiej toni wypłynąć.

Tymczasem książę, miecznik i Kmiec skończyli rozmowę i poczęli się zbliżać. Dziewczyna nakryła oczy powiekami i podniosła tak ramiona, jak ptak skrzydła, kiedy chce głowę między niemi ukryć. Była zupełnie pewna, że idą ku niej. Nie patrząc, widziała ich, czuła, że są bliżej i bliżej, że już nadchodzą, że zatrzymali się. Tak była tego pewna, że nie podnosząc powiek, wstała nagle i złożyła głęboki ukłon książciu.
On zaś istotnie stał już przed nią i przemówił:
— Na mężczyznę Pańską!... Teraz się młodego nie dziwię, bo cudnie to kwiecie rozkwitło... Witam cię, moja panienko, witam z całego serca i duszy kochaną wnuczkę mojego Billewicza. Poznajesz mnie?
— Poznaję, wasza książęca mość! — odrzekła dziewczyna.
— A jabym cię nie poznął, bom cię jeszcze młodką nierozkwitłą ostatni raz widział, nie w tej ozdobie, w jakiej teraz chodzisz... Podnieśno jeno one firanki z oczu... Dla Boga! szczęśliwy nurk, który taką perłę wyłowi; nieszczęsny, który ją miał i stracił... Owoć stoi tu przed tobą taki desperat w osobie tego kawalera... Poznajesz i jego?
— Poznaję — szepnęła Oleńka, nie podnosząc oczu.
— Wielkito grzesznik i do spowiedzi ci go przyprowadzam... Zadaj mu pokutę, jaką chcesz, ale rozgrzeszenia nie otrzymaj, żeby go desperacya do cięższych jeszcze grzechów nie przywiodła.
Tu książę zwrócił się do pana miecznika i do pani Wojniłowiczowej.
— Zostawmy młodych, mości wię państwo, bo nie wypada przy spowiedzi asystować, a mnie i moja wiara tego zakazuje.
Po chwili pan Andrzej i Oleńka zostali sami.
Serce jej tłokło się w piersi, jak w gołębiu, nad którym jastrząb zawisnął, a i on był wzruszony. Opuszcza go zwykła śmiałość, porywczość i pewność siebie. Przez długi czas milczał oboje.
Nareszcie on pierwszy ozwał się niskim, przytłumionym głosem:
— Nie spodziewałas się mnie widzieć, Oleńka?
— Nie — szepnęła dziewczyna.
— Na Boga! Gdyby tu Tatar stanął koło ciebie, mniejbyś była trwożna. Nie bóże się! Patrz, ilu tu ludzi. Żadna krzywda nie spotka cię ode mnie. A choćbyśmy sami byli, nie miałabyś się czego bać, bom sobie zaprzysiągł szanować cię. Miejże ufność we mnie!

Na chwilę podniosła oczy i spojrzała na niego.
— Zkąd mam mieć ufność?
— Prawda, grzeszyłem, ale to już minęło i nie powtórzy się więcej... Gdym po owym pojedynku z Wołodyjowskim na łożu leżał bliski śmierci, wtedym sobie powiedział: nie będziesz jej brać przemocą, szablą, ogniem, jeno zacnemi uczynkami na nią zasłuży i przebaczenie wyjednasz!... Toż i w niej serce nie z kamiennia i zawziętość jej przemienie; ujrzy poprawę, to wybaczy!... Więcem sobie zaprzysiągł poprawę i dotrzy mam... Zaraz mnie też Bóg błogosławi, bo przyjechał Wołodyjowski i przywiózł mi list zapowiedni. Mógł go nie dać, a dał; zachy człowiek! Przeto już i do sądów nie potrzebowałem stawać, bom pod hotmańską inkwizycją przeszedł. Wyspowiadałem się księciu ze wszystkich grzechów, jako ojcu; on zaś nietykło przebaczył, ale obiecał wszystko załagodzić i bronić mnie od nieżyczliwości ludzkiej. Niech mu Bóg błogosławi... Nie będę banitem, Oleńka, z ludźmi się pojednam, sławę odzyszcze, ojczyźnie się zasłużę, krzywdy naprawię... Oleńka! A ty co na to?... Nie rzekniesz mi dobrego słowa?

I począł patrzeć na nią pilnie i ręce składać, jakby się do niej modlił.
— Mogęć ja wierzyć? — odrzekła dziewczyna.
— Możesz, jak mi Bóg miły, powinnaś! — odparł
Kmicic. — Patrzaj, że w to uwierzyli i książki hetman
i pan Wołodyjowski. Toć wszystkie postępy moje im
znane, a uwierzyli... Widzisz!... Czemu byś to ty
jedna miała mi nie ufać?
— Bom ły ludzkie widziała z powodu waćpana
wylewane... Bom groby widziała, jeszcze trawę nie-
porosłe...
— To i porosną, a one ły sam obetrę.
— Najprzód to waćpan uczyń.
— Daj mi jeno nadzieję, że jak uczynię, to i cie-
bie odzyszczę... Dobrze ci mówić: „Najprzód to uczyń“. 
A nuż ja uczynię, a ty za innego przez ten czas pój-
dziesz? Boże ratuj! Boże uchowaj od takiej rzeczy, 
bo chybabym oszalał. Na imię Boskie błagam cię, 
Oleńka, dajże mi pewność, że cię nie utracę, zanim
z tamtą waszą szlachtą do zgody przyjdę. Pamiętasz?
samaś mi to napisała, a ja on list chowam i jak mi 
bardzo na duszy ciężko, to go sobie odczytyuję. Niczego
więcej nie chcę, tylko mi jeszcze powtórz, że czekać
będziesz, że za innego nie pójdziesz?
— Waćpan wiesz, że mi wedle testamentu uczy-
nić tego nie wolno. Jeno do klasztoru mogę się schronić.
— O, tobyś mnie uczęstowała! Przez Bóg żywy, 
daj sobie pokój z klasztorem, bo mnie mrowie na samę 
myśl przechodzi. Dajże pokój, Oleńka, a nie, to ci tu 
przy wszystkich do nóg padnę i będę błagał, abyś tego 
nie czyniła. Pana Wołodyjowskiego odmówiła, wiem,
bo sam mi o tem powiadał. Onto mnie zachęcał, abym 
cię dobremi uczynkami zdobył... Ale nacoby się to 
zało, gdybyś miała do zakonu wstępować? Powiesz mi,
że cnotę dla cnoty trzeba praktykować... a ja ci odpo-
wiem, że miłuję cię jak desperat i nie chcę o niczem więcej wiedzieć. Kiedyś wyjechała z Wodoktów, ledwim z łóża powstał, jużem cię szukać zaczął. Stawiałem chorągiew na nogi, każdą chwilę miałem zajęłą, nie miałem czasu strawy zjeść, nocmy przespać, a przecież szukania nie zaniechał. Tak już przyszło na mnie, że mi bez ciebie ani życia, ani spokoju! Tak się już uczeńęło! Nic, tylko wzdychaniami żyłem. Dowiedziałem się wreszcie, żeś u pana miecznika w Bilewiczach. To, powiadam ci, pasowałem się z myślami, jakoby z niedźwiedziem: jechać, nie jechać? . . . Alem nie miał jechać, żeby mnie żółcią nie napojono. Powiedziałem sobie wreszcie: nie uczyniłem jeszcze nic dobrego... nie pojedę... Aż książki, ojciec mój kochany, ulitował się nad mną i postał prosić was do Kiejdan, abym choć oczy swojem kochaniem mógł napełnić... ile że na wojnę ruszamy. Nie żadam, abyś jutro zaraz za mnie szła... Ale bogdaj słowo dobre od ciebie usłyszę, bogdaj się zapewnienie, będziem lżej... Mojaż ty duszo jedyna... Nie chcę zginąć, ale w bitwie każdemu się to może przytrafić, bo przecież nie będę się za innych chował... więc mi powinna odpuszczyć, jako się umierającemu odpuszcza.

— Niech waćpana Bóg ochrania i wyprowadzi — odparła dziewczyną miękkim głosem, po którym zaraz poznal pan Andrzej, że słowa jego wywarły skutek.

— Moje ty złoto szczere! Dziękuję i za to. A nie pojedziesz do klasztoru?

— Jeszcze nie pójdę.

— Bodajże ci Bóg błogosławił!

I jak na wiosnę śniegi tąją, tak między niemi poczęła topnieć nieufność i czuli się bliżsi siebie, niż przed
chwilą. Serca mieli lżejsze, w oczach im pojaśniało. A przecież ona nic nie obiecała i on miał ten rozum, że niczego na razie nie żądał. Ale czuła to sama, że jej nie wolno, że nie godzi się zamykać mu drogi do poprawy, o której mówił tak szczerze. O jego szczerości nie wątpiła już ani na chwilę, bo to nie był człowiek, któryby coś udawać miał. Lecz główny powód, dla którego nie odtraciła go nanowo, dla którego zostawiła mu nadzieję, był ten, że w głębi serca ko-chała jeszcze tego junaka. Miłość tę przywaliła górą goryczy, rozczarowania i boleści, ale miłość żyła, gow- towa zawsze wierzyć i przebacać bez końca.

— On lepszy od swoich uczynków — myślała dziewczyną — i niema już tych, którzy go do występ- ków popychali; mógłby się chyba z desperacją czego znowu dopuścić, niechże nie desperuje nigdy.

I poczucie serce uradowało się własnym przeba- czeniem. Na jagody Oleńki wystąpiły rumieńce tak świeże, jak róża pod ranną rosą; oczy miały blask słodki a żywy i rzekłbyś: jasność biła od nich na salę. Przechodzili ludzie i dziwili się cudnej parze, bo też takich dwojga paniątek trudno było ze świecą znaleźć w całej tej sali, w której przecież zebrany był kwiat szlachty i szlachcianek.

Oboje przytęm, jak gdyby się umówili, jednak byli ubrani, gdyż i ona miała suknię ze srebrnej lamy, spiętą szafirem i błękitny z aksamitu weneckiego koń- tusik. „Chyba brat i siostra" — mówił ci, którzy ich nie znali, ale inni zaraz na to czynili uwagę: „Nie może być, bo mu się oczy nadto do niej jarzą".

Tymczasem w sali marszałek dał znać, że czas do stołu siadać i zaraz uczynił się ruch niezwyczajny. Hra-
bia Loewenhaupt, cały w koronkach, szedł najprzód pod rękę z księżną, której powłokę płaszcz na niośło dwóch paziów prześladowczych; za nim baron Shitte prowadził panią Hlebowiczową, tuż szedł książę biskup Parchewski z księdzem Białozorem, obaj jakby czemś zmartwieni i zasępieni.

Książę Janusz, który w pochodzie ustępował gościom, ale za stołem brał obok księżnej miejsce najwyższe, wiódł panią Korfową, wojewodzinkę wendeńską, bawiącą już od tygodnia w Kiejdanach. I tak sunął cały szereg par, jako wąż stubarwny i rozwijał się i mienił. Kmicic wiódł Oleńkę, która leciuchno wspierała ramię na jego ramieniu, on zaś spoglądał bokiem na jej delikatną twarz, szczęśliwy, jako pochudnia palący, największy magnat między tymi magnatami, bo największego skarbu bliski.

Tak idąc posuwisto, przy dźwiękach kapeli, weszli do sali jadalnej, która wyglądała jak cały gmach osobny. Stół zastawiony był w podkowę, na trzysta osób i giaż się pod srebrnym i złotym. Książę Janusz, jako część majestatu królewskiego w sobie mający i tylu krółem pokrewny, wziął obok księżnej miejsce najwyższe, a wszyscy przechodząc mimo, klanieli się nisko i zasiadali wedle godności.

Lecz widocznie, jak zdawało się obecnym, pamiętał hetman, że to ostatnia uczta przed straszną wojną, w której się losy olbrzymich państw rozstrzygną, bo nie miał w twarzy pokoju. Udawał uśmiech i wesołość, a tak wyglądał, jakby paliła go gorączka. Czasami widoczna chmura osiadała mu na groźnym czoło i siedzący bliżej mogli dostrzec, że czoło to było gęsto kropelami potu okryte; czasem wzrok jego biegał szybko po
zebranych twarzach i zatrzymywał się badawczo na obliczach różnych pułkowników, to znów marszczył nagle lwie brwi, jakby go boleści przeszywały lub jakby ta czy owa twarz budziła w nim gniew. I dziwna rzecz, że dygnitarze siedzący obok księcia, jako: posłowie, ksiądz biskup Parczewski, ksiądz Białozór, pan Komorowski, pan Mierzejewski, pan Hlebowicz, pan wojewoda wendeński i inni, również byli roztargnieni i niespokojni. Dwa ramiona olbrzymiej podkowy brzmiały już wesołą rozmową i zwykłym gwarem przy ucztach, a szczyt jej milcał posępnie, lub szeptał rzadkie słowa, lub zamieniał roztaragnione i jakoby trwożne spojrzenia.

Ale nie było w tem nic dziwnego, bo niżej siedzieli pułkownicy i rycerze, którym bliska wojna co najwięcej śmiercią groziła. Łatwiejże polec w wojnie, niż dźwigać odpowiedzialność za nią na ramionach. Nie zatroszczy się dusza żołnierska, gdy odkupiwszy krwią grzechy, leci z pola ku niebu — ten tylko schyla ciężko głowę, ten rozprawia w duszy z Bogiem i sumieniem, kto w wilią dnia stanowczego nie wie, jaki puchar poda jutro ojczyźnie do wypicia.

Tak też i tłumaczono to sobie na niższych końcach.
— Zawsze on taki przed każdą wojną, że z własną duszą gada; — mówił stary pułkownik Stankiewicz do pana Zagłoby — ale im posępniejszy, tem gorzej dla nieprzyjaciół, bo w dzień bitwy będzie wesoł z pewnością.

— Toć i lew przed walką pomrukuje, — odparł pan Zagłoba — żeby w sobie tem większą abominacją przeciw nieprzyjacielowi wzbudzić. Co zaś do wielkich wojowników, każdy ma swój obyczaj. Hannibal podobno
kości rzucał, Scipio Africanus rytmy recytował, pan Koniecpolski, ojciec, o białogłowach zawsze rozmawiał, a ja, rad snu przed bitwą przez jaką godzinę zażywam, choć i od kielicha z dobrymi przyjaciółmi nie stronię.

— Obacżcie, waćpanowie, że to i ksiądz biskup Parczewski blady jak karta papieru! — rzekł Stanisław Skrzesuski.

— Bo za kalwińskim stołem siedzi i snadnie coś nieczystego w potrawach połknąć może — wyjaśnił cichym głosem Zagłoba. — Do trunków, powiadają starzy ludzie, nie ma licho przystępu i te wszędy pić możesz, ale jadła, a szczególnie zupy, trzeba się wystrzegać. Tak było i w Krymie, za czasów, gdym tam w niewoli siedział. Tatarscy mułowie czyli księża, umieli baraninę z czosnikiem tak przyrządzać, że kto pokosztował, zaraz od wiary gotów był odstąpić i ich szelmowskiego proroka przyjąć.

Tu Zagłoba zniżył głos jeszcze bardziej:

— Nie na kontempt księciu panu to mówię, ale radzę waćpanom jadło przeżegnać, bo strzeżonego Pan Bóg strzeże.

— Co zaś waćpan mówisz!... Kto się Bogu połeci przed jedzeniem, temu się nic nie stanie; u nas w Wielkopolsce lutrów i kalwinów coniemiara, ale nie słyszałem o tem, żeby mieli jadło czarować.

— U was w Wielkopolsce lutrów coniemiara, to też się ze Szwedami zaraz powąchali — odrzekł Zagłoba — i teraz w komitywie z nimi chodzą. Jabym na miejscu księcia i tych tam oto posłów psami wyszczuł, nie specytałmi kiszki im nadziewał. Patrzcieno na tego Loewenhaupta. Tak źre, jakby za miesiąc mieli go na jarmark, na postronku za nogę uwiązanego, pognać.
Jeszcze dla żony i dla dzieci w kieszenie bakaliów natka... Zapomniałem, jak się ten drugi zamorek nazywa. Bodajże cię...

— Spytaj ojciec Michała — rzekł Jan Skrzetuski.

Pan Michał siedział niedaleko, ale nic nie słyszał, nic nie widział, bo siedział między dwiema pannami; po lewej ręce miał pannę Elżbietę Sielawską, godną pannę, lat około czterdziestu, a po prawej Oleńkę Billewiczównę, za którą siedział Kmicec. Panna Elżbieta trzesa głową, przybraną w pióra, nad małym rycerzem i opowiada mu coś bardzo żywo, on zaś spoglądał na nią od czasu do czasu osowiałym wzrokiem, odpowiadał cochwila: „Tak mością panno, jako żywo!" i nie rozumiał ani słowa, bo cała jego uwaga była właśnie po drugiej stronie. Uchem towił szmer słów Oleńki, chrzęst jej lamowej sukni i wąsikami tak z żalu ruszał, jakby chciał niemi pannę Elżbiétę odstraszyć.

— Ej! cudnaż to dziewczyna!... Ej, gładyszka to! — mówił sobie w duszy.— Wejrzyjże Boże na moję nędzę, bo już niemasz większego sieroty ode mnie. Dusza aż piszczy w mnie, żeby to mieć swoją niwiastę kochaną, a co na którą spojrzę, to już tam inny żołnierz kwaterą stoi. Gdzież ja się nieszczęsny tułacz podzieję?...

— A po wojnie, co wączpan myślisz czynić? — spytała nagle panna Elżbieta Sielawska, złożywszy buzie „w ciup” i wachlując się mocno.

— Do zakonu pójść! — odparł opryskliwie małe rycerz.

— A kto tam o zakonie przy uczniu wspomina? — zawołał wesoło Kmicec, przechylając się przez Oleńkę. — Ąej! to pan Wołodyjowski!
— Waści to nie w głowie? A wierzę! — rzekł pan Michał.

Wtem słodki głos Oleńki zabrał mu w uszach:
— Bo wać panu nie trzeba o tem myśleć. Bóg ci da żonę po sercu kochaną i zacną, jako sam jesteś zacny.

Poczciwy pan Michał zaraz rozczulił się:
— Żeby mi kto na fletni grał, nie byłoby mi mniej słuchać!

Gwar coraz wzmagający się przy stole przerwał dalszą rozmowę, bo też i do kielichów przyszło. Humory ożywiały się coraz bardziej. Pułkownicy dysputowali o przyszłej wojnie, marszcząc brwi i ciskając ogniste spojrzenia.

Pan Zagłoba opowiadał na cały stół o oblężeniu Zbaraża, a słuchaczom aż krew biła na twarze, a w sercach rósł zapał i odwaga. Zdawać się mogło, że duch nieśmiertelnego „Jaremy“ nadleciał do tej sali i tchnieniem bohaterskim napełnił dusze żołnierzy.

— To był wódtz! — rzekł znamienity pułkownik Mirski, który całą hussaryą radziwiłłowską dowodził.— Raz go tylko widziałem i w chwili śmierci będę jeszcze pamiętał.

— Jowisz, z piorunami w ręku! — zakrzyknął stary Stankiewicz. — Nie przyszłoby do tego, gdyby żył!... 

— Ba! przecie on za Romnami lasy rąbać kazał, by sobie gościńec do nieprzyjaciół otworzyć.

— Jegoto przyczyną stała się berestecka wi-ktorya.

— 1 w najciejszej chwili Bóg go zabrał... 

— Bóg go zabrał — powtórzył podniesionym gło-
sem pan Skrzetuski — ale testament po nim został dla przyszłych wodzów, dygnitarzy i całej Rzeczypospolitej: oto, żeby z żadnym nieprzyjacielem nie paktować, ale wszystkich bić. . .

— Nie paktować! Bić! — powtórzyło kilkanaście silnych głosów. — Bić, bić!

W sali upał stał się wielki i burzył krew w wojownikach, więc poczęły padać spojrzenia jak błyskawice, a podgolone lby dymiły.

— Nasz książę, nasz hetman, będzie tego testamentu egzekutorem! — rzekł Mirski.

Wtem olbrzymi zegar, umieszczony w górze sali, począł bić północ, a jednocześnie wstrząsy się mury, zadźwięczyły żałośnie szyby i huk wystrzału wiwato-wego rozległ się na dziedzińcu.

Rozmowę umilkły, nastąpiła cisza.

Nagle u szczytu stołu poczęto wołać:

— Ksiądz biskup Parczewski zemdlał! Wody!


W tej chwili drugi wystrzał działowy wstrząsnął szybami, za nim trzeci, czwarty . . .

— Vivat Rzeczpospolita! pereant hostes! — zaskrzyknął Zagłoba.

Lecz dalsze wystrzały zgłuszyły jego mowę. Szlachta poczęła je liczyć:

— Dziesięć, jedenaście, dwanaście . . .

Szyby za każdym razem odpowiadały jękiem żałosnym. płomienie świec chwiały się od wstrząśnień.
— Trzynaście! czternaście!... Ksiądz biskup huku niezwyczajny. Popsuł przez swój strach zabawę, bo i książe się zatroskał. Patrzcie, mości panowie, jaki odęty siedzi... Piętnaście, szesnaście... Hej, walą jak w bitwie! Dziewiętnaście, dwadzieścia!

— Cicho tam! książe chce przemówić! — poczęto wołać naraz w różnych końcach stołu.

— Książe chce przemówić!

Uciszyło się zupełnie i wszystkich oczy zwróciły się na Radziwiłła, który stał, podobny do olbrzyma, z kielichem w ręku. Lecz cóż za widok uderzył oczy ucztujących!... 

Twarz księcia była w tej chwili poprostu straszna, bo nie blada, ale sina i wykrzywiona jak konwulsyj uśmiechem, który książe usiłował na ustach przywołać. Oddech jego, zwykle krótki, stał się jeszcze krótszy, szeroka pierś wzdyrała się pod złotogłowiem, a oczy nakrył do połowy powiekami i groza jakaś była w tej potężnej twarzy i lodowatość, jakie bywają w krzepnących rysach w chwilach skonu.

— Co jest księciu! co tu się dzieje? — szeptano naokoło niespokojnie.

I złowrogie przeczucie ścisnęło wszystkich serca; trwożliwe oczekiwanie osiadło na obliczach.

On tymczasem móc poczuł krótkim, przerwany przez astmę głosem:

— Mości panowie!... Wielu zpomiedzy was... zdziwi... albo zgoła przestraszy ten toast... ale... kto mi ufa i wierzy... kto prawdziwie chce dobra ojczyzny... kto wiernym mojego domu przyjacielem... ten go wzniesie ochotnie... i powtórzy za mną:

Potop. T. I.
— Vivat Carolus Gustavus rex... od dziś dnia łaskawie nam panujący!
— Vivat! — powtórzyli dwaj posłowie Loewenhausen i Shitte, oraz kilkunastu oficerów cudzoziemskiego autorkamentu.

Lecz w sali zapanowało głuche milczenie. Pułkownicy i szlachta spoglądali na siebie przerażonym wzrokiem, jakby pytając się wzajem, czy książę zmysłów nie utracił. Kilka głosów ozwało się wreszcie w różnych miejscach stołu:
— Czy my dobrze słyszym? Coto jest?
Potem znowu nastała cisza.

Zgroza niewypowiedziana w połączeniu ze zdumieniem odbiła się na twarzach i oczy wszystkich znów zwróciły się na Radziwiłła, a on stał ciągle i oddychał głęboko, rzekłbyś: niezmierny jakiś ciężar zrucił z piersi. Barwa wracała mu zwolna na twarz; następnie zwrócił się do pana Komorowskiego i rzekł:
— Czas promulgować ugodę, którąśmy dzisiaj podpisali, aby ichmościowie wiedzieli, czego się trzymać. Czytaj wasza miłość!

Komorowski wstał, rozwinął leżący przed sobą pergamin i począł czytać straszną ugodę, rozpoczynającą się od słów:
— „Nie mogąc lepiej i dogodniej postąpić w najburzliwszym teraźniejszym rzeczy stanie, po utraceniu wszelkiej nadziei na pomoc najjaśniejszego króla, my panowie i stany wielkiego księstwa litewskiego, koniecznością zmuszeni, poddajemy się pod protekcję najjaśniejszego króla szwedzkiego na tych warunkach:

1) Łącznie wojować wspólnym nieprzyjaciółom, wyjawmy króla i koronę polską.
2) W. księstwo litewskie nie będzie do Szwecyi wcielone, lecz z nią takim sposobem połączone, jak do-
tąd z koroną polską, to jest, aby naród narodowi, se-
nat senatowi, a rycerstwo rycerstwu we wszystkim było równe.

3) Wolność głosu na sejmach nikomu nie ma być bronioną.

4) Wolność religii ma być nienaruszona..."

I tak dalej czytał pan Komorowski wśród ciszy i zgrozy aż gdy doszedł do ustępu: „...Akt ów stwier-
dzamy podpisami naszemi za nas i potomków naszych, przyrzekamy i warujemy“ — szmer uczynił się w sali, jakby pierwsze tchnienie burzy wstrząsnęło borem. Lecz nim burza wybuchła, siwy jak gołąb pan Stan-
kiewicz zabrał głos i począł błagać:

— Mości książę! Uszom własnym wierzyć nie chcemy! Na rany Chrystusa! takżeto ma pójść w ni-
wecz dzieło Władysławowe i Zygmuntą Augusta? Zali można, zali godzi się braci odstępować, ojczyzny odstę-
pować, i z nieprzyjacielem unią zawierać? Mości książę, wspomnij na imię, które nosisz, na zasługi, które ojczy-
źnie oddaleś, na sławę niepokalaną dotąd rodu twego i zedrzyj i podepcz ten dokument haniebny! Wiem, że nie w swojem imieniu tylko proszę, ale w imieniu wszy-
stkich tu obecnych wojskowych i szlachty. Toż i nam służy o losie naszym stanowić. Mości książę! nie czyń tego, czas jeszcze!... Zmiłuj się nad sobą, zmiłuj się nad nami, zmiłuj się nad Rzecząpospolitą!

— Nie czyń tego! Zmiłuj się, zmiłuj! — ozwały się setne głosy.

I wszyscy pułkownicy zerwali się z miejsc swoich i szli ku niemu, a sędziwy Stankiewicz klęknął na
środku sali, pomiędzy dwoma ramionami stołu i coraz potężniej brzmiało naokoło:
— Nie czyń tego! Zmiłuj się nad nami!
Radziwiłł podniósł swoję potężną głowę i błyskawicą gniewu poczęły przelatywać mu po czoł; nagle wybuchnął:
— Wszosmościomże to przystoi pierwszym dawać przykład niekarności? Wojskowymże to przystoi wodza, hetmana, odstępować i protestacją zanosić? Wyto chce być mojem sumieniem? Wy chceć uczzyć mnie, jak dla dobra ojczyzny postąpić należy? Nie sejmik to i nie na wotą was tu wezwano, a przed Bogiem ja biorę odpowiedzialność!
I dłonią uderzył się w pierś szeroką, poglądając iskrzącym wzrokiem na żołnierzy, a po chwili zakrzyknął:
— Kto nie ze mną, ten przeciw mnie! Znałem was, wiedziałem, co będzie!... A wy wiedzieć, że miecz wisi nad waszemi głowami!...
— Mości książe! hetmanie nasz! — błagał stary Stankiewicz — zmiłuj się nad sobą i nad nami!
Lecz dalsze jego słowa przerwał Stanisław Skrze-tuski, który porwawszy się obu rękoma za włosy, począł wołać rozpaczliwym głosem:
— Nie błagajcie go, to na nic! On tego smoka oddawna w sercu hodował!... Biada ci, Rzeczpospolito! Biada nam wszystkim!
— Dwóch dygnitarzy na dwóch krańcach Rzeczypospolitej zaprzedają ojczyznę! — odezwał się Jan. — Przekleństwo temu domowi, hańba i gniew boży!
Słysząc to pan Zagłoba, otrząsł się ze zdumienia i wybuchnął:
— Pytajcie się go, jakie korupcje wziął od Szweda? Ile mu wyliczono? Ile mu jeszcze obiecany? Mości panowie, oto Judasz Iskariota! Bodajżeś konał w rozpaczy! bodaj ród twój wygasł! bodaj dyabiel duszę z ciebie wywlokł... zdajco! zdajco! po trzykroć zdajco!

Wtem Stankiewicz w uniesieniu rozpacz wyciągnął pułkownikowską buławę z zapasa i cisnął ją z trzaskiem do nog księcia. Drugi cisnął Mirski, trzeci Józefowicz, czwarty Hoszczyc, piąty, blady jak trup, pan Wołodyjowski, szósty Oskierka — i toczyły się po podłodze buławy, a jednocześnie w tej lwiej jaskini, lwu do oczu, coraz więcej ust powtarzało straszliwy wyraz:
— Zdajca!... zdajca!...

Wszystka krew napłynęła do głowy dumnemu magnatowi; zsiatał, rzekłbyś: za chwilę zwali się trupem pod stół.
— Ganchoff i Kmicie do mnie!... — ryknął straszliwym głosem.

W tej chwili czworo podwojów, wiodących do sali, rozwarło się naraz z łoskotem i oddziały szkockiej piechoty wkroczyły groźne, milczące, z muszkietami w ręku. Od głównych drzwi wiózł je Gańchoff.
— Stój! — krzyknął książę.
Poczem wrócił się do pułkowników:
— Kto za mną, niech przejdzie na prawą stronę sali!
— Ja żołnierz, hetmanowi służę! Bóg niech mnie sądzi!... — rzekł Charlamp, przechodząc na prawą stronę.
— I ja! — dodał Mieleszko. — Nie mój będzie grzech!
Protestowałem jako obywatel, jako żołnierz słuchać muszę — dodał trzeci Niewiarowski, który, choć poprzednio buławę rzucił, teraz widocznie uląkł się Radziwiłła.

Za nimi przeszło kilku innych i spora wiązka szlachty; lecz Mirski, najwyższy godnością i Stankiewicz najstarszy wiekiem i Hoszczyk i Wołodyjowski i Oskierka pozostali na miejscu, a z nimi dwóch Skrzeszkowych, pan Zagłoba i ogromna większości, tak towarzyszów rozmaitych poważnych i lekkich chorągwi, jak i szlachty.

Szkocka piechota otoczyła ich murem.

Kmicic od pierwszej chwili, w której książę wzniósł toast na cześć Karola Gustawa, zerwał się wraz ze wszystkimi z miejsca, oczy postawił w słup i stał jak skamieniały, powtarzając zbladłemi wargami:
— Boże!... Boże!... Boże!... com ja uczynił?...
Wtem głos cichy, ale dla jego ucha wyraźny, zasępiał blisko:
— Panie Andrzeju!...
On chwycił się nagle rękoma za włosy:
— Przeklętym na wieki!... Bodaj mnie ziemia pożarła!...

Na twarz Bilewiczówny wystąpiły płomienie, a oczy, jak gwiazdy jasne, utkwiła w Kmicicu:
— Hańba tym, którzy przy hetmanie stają!... Wybieraj!... Boże Wszechmogący!... Co waćpan czy-nisz?!... Wybieraj!...

Tymczasem sala rozległa się okrywkami, inni właśnie rzucali buławy pod nogi księcia, ale Kmicic nie przyłączył się do nich! nie ruszył się i wówczas, gdy książę zakrzyknął: „Ganchoff i Kmicic do mnie!“ — ani
gdy piechota szkocka weszła już do sali — i stał targany boleścią i rozpaczą, z obłączanym wzrokiem, z zsiniałemi usty.

Nagle zwrócił się do Billewiczówny i wyciągnął do niej ręce:
— Oleńka!... Oleńka! — powtórzył z jękiem żałosnym, jak dziecko, które krzywda spotyka.
Lecz ona cofnęła się ze wstrętem w twarzy i zgrozą.
— Precz... zdrajco! — odpowiedziała dobitnie.

W tej chwili Ganchoff skomenderował: „Na-przód!“ i oddział Szkotów, otaczający więźniów, ruszył ku drzwiom.

Kmicic począł iść za nimi jak nieprzytomny, nie wiedząc, dokąd i poko idzie.
Uczta była skończona...
ROZDZIAŁ XIV.

Tej samej jeszcze nocy, książę długo naradzał się z panem Korsem, wojewodą wendeńskim i z posłami szwedzkimi. Rezultat ogłoszenia umowy zawiódł jego oczekiwania i odsłonił mu groźną przyszłość. Umyslnie chciał książki, by promulgacja nastąpiła w czasie uczty, gdy umysły są podniecone, ochocze i do wszelkiej zgody skłonne. Spodziewał się w każdym razie oporu, ale liczył i na stronników, tymczasem energia protestu przeszła jego oczekiwania. Prócz kilkudziesięciu szlachty kalwinów i garści oficerów obcego pochodzenia, którzy jako cudzoziemcy nie mogli mieć w tej sprawie głosu — wszyscy oświadczyli się przeciw układowi z Karolem Gustawem, a raczej z feldmarszałkiem jego i szwagrem Paulusem de la Gardie zawartemu.

Książę kazał wprawdzie aresztować oporną star-szyznę wojskową, ale cóż z tego? Co na to rzekną chorągwie komputowe?... Czy się o swoich pułkowników nie upomną? Czy się nie zbuntują i nie będą chcieli siłą ich odbić? A w takim razie cóż zostanie dumnemu księciu, prócz kilku regimentów dragońskich i cudzo-ziemskiej piechoty?
Potem... pozostałe jeszcze cały kraj, wszystka zbrojna szlachta — i Sapieha, wojewoda witebski, groźny przeciwnik radziwiłłowskiego domu, gotów na wojnę z całym światem w imię całości Rzeczypospolitej. Owi pułkownicy, którym nie można przecież syi pouczać, owe chorągwie polskie pójdą do niego i Sapieha stanie na czele wszystkich sił kraju, a książę Radziwiłł ujrzzy się bez wojska, bez stronników, bez znaczenia... Cóż wówczas się stanie?...

Były to pytania straszne, bo i położenie było straszne. Książę rozumiał dobrze, że wówczas i umowa, nad którą w skrytości tyle pracował, siłą rzeczy straci wszelkie znaczenie, a wówczas i Szwedzi lekceważyć go będą, albo nawet mięć się za doznany zawód. Wszakże oddał im swe Birże w zakład wierności, ale przez to tem więcej się osłabił.

Karol Gustaw gotów był sypać obu rękoma nagrody i zaszczyty dla potężnego Radziwiłła — słabym i opuszczonym od wszystkich wzgardzi. A jeśli odmien na szczęścia kolej zeszłe zwycięstwo Janowi Kazimierzowi, wówczas ostatnia zguba nastanie dla tego pana, który dziś jeszcze rano nie miał równego sobie w całej Rzeczypospolitej.

Po odjazdzie posłów i wojewody wendeńskiego, książę chwycił brzemienne troskiem czoło w obie dłonie i począł chodzić szybkimi kroki po komnacie... Z zewnątrz dochodziły głosy wartowników szkockich i turkot odjeżdżających kolasek szlacheckich! Odjeżdżali tak szybko jakoś i pośpiesznie, jakby zaraza padała na wspaniały kiejdański zamek. Straszliwy niepokój targał duszę Radziwiłła.
Zdawało mu się chwilami, że prócz niego jest jeszcze ktoś i chodzi za nim i szepce mu do ucha: opuszczenie, ubóstwo, a do tego hańba… Wszakże on, wojewoda wileński i hetman wielki, już był zdeptany i upokorzony! Ktoby przypuszczał wezoraj, że w całej Koronie i Litwie, ba! w całym świecie, znajdzie się czło-
wiek, któryby śmiał zakrzyknąć mu do oczu: „Zdrajca!“
A przecież on tego wysłuchał i żyw dotąd i ci, którzy ów wyraz wymówili, żywi także. Może, gdyby wszedł do owej sali, w której odbywała się ucza, usłyszałby je-
szcze, jak echo wśród gzymrów i pod sklepieniami po-
wtarza: „Zdrajca! zdrajca!“

I gniew szalony, wściekły, chwytał chwilami za pierś oligarchy. Nozdrza jego rozdymały się, oczy ci-
skały błyskawice, żyły występowały na czołe. Kto tu śmie stawiać opór jego woli?… Rozszalała myśl stawiała mu przed oczy obraz kar i mąk dla buntowników, którzy ośmieli się nie iść jak pies za jego nogami. I widział krew ich ściekającą z katowskich toporów, słyszał chrupot kości, łamanych kołiem i kąpał się i lu-
bował i nasycał krwawemi widziądłami.

Lecz gdy trzeźwiesza rozwaga przypomniała mu, że za tymi buntownikami stoi wojsko, że nie można bez-
karnie łbów im poskręcać, wówczas niepokój nieznośny, piekielny, wracał i napełniał jego duszę, a ktoś znów poczynał szeptać mu do ucha:

„Opuszczenie, ubóstwo, sąd i hańba…“
— Jakżeto? więc Radziwiłłowi nawet nie wolno stanowić o losie kraju? utrzymać go przy Janie Kazi-
mierzuzu lub dać Karolowi Gustawowi? dać, przekazać, darować, komu zechce?

Magnat spojrzał ze zdumieniem przed siebie.
Więc cóż są Radziwiłłowie? więc czemże byli wczoraj? co mówiono powszechnie na Litwie?... Zali to wszystko było z ludzeniem? Zali przy hetmanie wielkim nie stanie książę Bogusław ze swojemi pułkami, za nim wuj elektor Brandeburski, a za wszystkimi trzema Karol Gustaw, król szwedzki, z całą zwycięską potęgą, przed którą niedawno jeszcze drżały Niemcy jak długi i szerokie? Toż i ta Rzeczpospolita polska wyciąga ka nowemu panu ręce i ona poddaje się na samę wieść o zbliżaniu się północnego lwa. Ktoż stawi opór tej sile niepohamowanej?

Z jednej strony król szwedzki, elektor brandeburski, Radziwiłłowie, w potrzebie i Chmielnicki z całą potęgą i hospodar wołoski i Rakoczy siedmiogrodzki, pół niemal Europy! — z drugiej pan wojewoda witebski z panem Mirskim, z panem Stankiewiczem, z ową trójką szlachty przybyłej zpod Łukowa i z kilku zbuntowaniem chorągwiami!... Coto jest? żarty? krotolfa?...

Tu nagłe księżę zaczał się śmiać głośno.

— Przez lucypera i cały sejm piekielný, chybam oszalał!... Niech i wszyscy pójdą do wojewody witebskiego!

Po chwili jednak twarz jego zasępiła się znowu:

— Ci potężni tylko potężnych do spółki przypuszczą. Radziwiłł rzucający Litwę pod szwedzkie nogi, będzie pożądany... Radziwiłł wzywający pomocy przeciw Litwie, będzie lekceważony.

Co czynić?

Oficerowie cudzoziemscy wytrwają przy nim, ale siły ich niedostateczne i jeśli polskie chorągwie przejdą do wojewody witebskiego, wtedy on będzie miał losy kraju w ręku. Zresztą każdy z tych oficerów spełni
wprawdzie rozkazy, ale nie poślubi sprawy radziwiłłowskiej całą duszą, nie odda się jej z zapałem, nietyliko jako żołnierz, lecz jako stronnik.

Tu koniecznie trzeba mieć nie cudzoziemców, ale ludzi swoich, którzyby mogli pociągnąć innych nazwiskiem, męstwem, sławą, zuchwałym przykładem, gotowością na wszystko... Trzeba mieć w kraju stronników, choćby dla pozoru.

Ktoż zaś z tych swoich opowiedział się przy księciu? Charłamp, stary, zużyty żołnierz, dobry do służby i do niczego więcej; Niewiarowski, nielubiany w wojsku i bez wpływu; za nimi kilku innych mniejszego jeszcze znaczenia. Nikt z innych, nikt z takich, za którymi by poszło wojsko, nikt z takich, któryby mógł być propagatorem sprawy.

Pozostawał Kmicic, młody, przedsiębiorczy, zuchwały, okryty wielką sławą rycerską, noszący znamienie nazwisko, stojący na czele potężnej chorągwi, częścią własnym kosztem wystawionej, człowiek jakby stworzony na wodza wszystkich zuchwałych i niespokojnych duchów na Litwie, a przystem pełen zapału. Gdyby on chwycił się sprawy radziwiłłowskiej, to chwyciłby się jej z wiarą, jaką daje młodość, szedłby za swym hetmanem naśniego, i apostołowałby w jego imieniu, a taki apostoł znaczy więcej, niż całe pułki, niż całe regimenty cudzoziemców. Swą wiarą potrafiłby wlać w serca młodego rycerstwa, pociągnąć je za sobą i wypełnić ludźmi radziwiłłowski obóz.

Lecz i on zawahał się widocznie. Nie rzucił wprawdzie swej buławy pod nogi hetmana, ale nie stanął przy nim w pierwszej chwili.

— Na nikogo nie można liczyć, nikogo nie można
być pewnym — pomyślał posępnie książe. — Wszyscy oni przejdą do wojewody witebskiego i nikt nie zechce się ze mną podzielić...

— Hańbą! — poszepnęło sumienie.
— Litwę — odpowiedziała z drugiej strony pucha.

W komnacie pociemniało, bo na knotach świec osiadły grzyby, jeno przez okna wpływało srebrne świa-
tło księżyca. Radziwiłł wpatrzył się w te blaski i za-
myślił się głęboko.

Zwolna poczęło się coś mącić w tych blaskach, wstawały jakieś postacie i coraz ich było więcej, aż w końcu ujrzał książe jakoby wojska idące ku sobie z górnych szlaków szeroką księżykówą drogą. Idą pułki pancerne, husarskie i lekkie petyhorskie, las chorągwi płynie nad niemi, a na czele jedzie jakiś człowiek bez hełmu na głowie, widocznie tryumfator wracający po wojnie zwycięskiej. Cisza naokoło, a książe słyszy wy-
raźnie głos wojska i ludu: „Vivat defensor patriae! vivat defensor patriae!” Wojska zbliżają się coraz wię-
cej; już twarz wodza można rozpoznać. Buławę trzyma
w rękę; z liczby buńczuków można poznać, że to het-
man wielki.

— W Imię Ojca i Syna! — woła książe — to Sa-
pieha, to wojewoda witebski! A gdzie ja jestem? i co
mnie przeznaczono?
— Hańbę! — szepce sumienie.
— Litwę! — odpowiada pucha.

Książe zaklasnął w dłoni; czuwający w przyle-
głej komnacie Harasimowicz ukazał się natychmiast we drzwiach i ział się we dwoje.

— Światła! — rzekł książe.
Harasimowicz poobjaśniał knoty od świca, poczecm wyszedł i po chwili wrócił ze święcznikiem w ręku.
- Wasza ks. mość! - rzekł - czas na spoczynek, już drugie kury pieły!
- Nie chcę! - rzekł książe. - Zdrzemnąłem się i zmora mnie dusiła. Co tam nowego?
- Jakiś szlachcic przywiózł list z Nieświeża od księcia krajczego, ale nie śmiałem wchodzić nieprzyzwany.
- Dawaj coprędzej list!
Harasimowicz podał zapieczętowane pismo, książe otworzył i począł czytać, co następuje:
„Niech w. ks. mość Bóg broni i powstrzyma od takowych zamysłów, które wieczną hańbę i zniszczenie domowi naszemu przynieść mogą. Za sam takowy zamiar nie o panowaniu, ale o włosiennicy myśleć. Mnie też wielkość naszego domu na sercu leży, a najlepszy dowód w staraniach, jakie w Wiedniu czyniłem, abyśmy suffragia w sejmach rzeszy mieć mogli. Ale ojczyzny, ani pana swojego za żadne nagrody i potęgę ziemijską nie zdradzę, abym zaś po takiej siebie żniwa hańby za życia i pośpieżenia po śmierci nie zebrał. Wejrzyj waszmość na zasługi przodków i na sławę nieposkalaną i opamiętaj się na miłosierdzie boskie, póki czas potemu służy. Nieprzyjaciel oblega mnie w Nieświeżu i nie wiem, zali to pismo dojdzie rąk waszej ks. mości; ale chociaż każda chwila zgubą mi grozi, nie o ocalenie Boga proszę, jeno aby waszę ks. mość od tych zamysłów powstrzymał i na drogę cnoty naprawadził. Choćby się już co złego uczyniło, jeszcze recedere wolno i prędką poprawą zglądzić grzechy potrzeba. A ode mnie nie spodziewajcie się pomocy, bo to zgory oświad-
Hetman skończywszy list, opuścił go na kolana i począł kiwać głową z bolesnym na twarzy uśmiechem.
— I ten mnie opuszcza, własna krew mnie się wypiera, za to, żem chciał dom nasz nieznanym dotąd blaskiem przyozdobić!... Ha! trudno! Pozostaje Bogusław i ten mnie nie opuści... Z nami elektor i Carolus Gustavus, a kto nie chce siać, ten i zbierać nie będzie...
— Hańby! — szepnęło sumienie.
— Nie będzie odpowiedzi.
— Mogęś odejść i pokojowych przysłać?
— Czekaj... Czy warty pilno rozstawione?
— Tak jest.
— Ordynanse do chorągwi rozesłane?
— Tak jest.
— Co robi Kmicic?
— Łbem o ścianę bił i krzyczał o potępieniu.
— Miecznik rosieński wyjechał?
— Nie było rozkazu, żeby go wstrzymać.
— Zapomniałem! — rzekł książę. — Otwórz okna,
bo duszno i astma mnie dusi. Charłampowi powiedz, żeby do Upity po chorągiew ruszał i zaraz ją tu sprowadził. Pieniędzy mu dać, niech pierwszą cówierzę ludziom zapłaci i podochocie im pozwoli... Powiedz mu, że Dydkiemie w dożywocie po Wołodyjowskim weźmie. Astma mnie dusi... Czekaj!
— Wedle rozkazu w. ks. mości.
— Co robi Kmicic?
— Jakoż rzekłem waszej książęcej mości, leży spokojnie.
— Prawda! mówleś... Każ go tu przysłać. Potrzebuję z nim mówić. Więzy każ mu zdjąć.
— W. ks. m., to człowiek szalony...
— Nie bój się, ruszaj!
Harasimowicz wyszedł; książę zaś wyjął z weneckiego biurka pudełko z pistoletami, otworzył je i położył sobie pod ręką na stole, przy którym usiadł.
Zdawało się, że niema ani jednej kropki krwi w twarzy junaka, tak była blada; oczy tylko święciły mu gorączkowo, ale zresztą był spokojny, zrezygnowany, lubo zdawał się być pogrążony w bezgranicznej rozpacz.
Przez chwilę milczeli obaj. Przemówił pierwszy książę:
— Przysiągleś na krucyfiksie, że nie opuścisz mnie!
— Potępiony będę, gdy tej przysięgi nie dotrzymam; potępiony będę, gdy jej dotrzymam! — rzekł Kmicic. — Wszystko mi jedno!
Choczym cię do złego prowadził, nie ty będziesz odpowiadał.

Przecinema groziły mi sądy i kary za zabójstwa... dziś wydaje mi się, żeem wonczas był nie-winnyn, jak dziecko!

Nim wyjdziesz z tej komnaty, będziesz się czuł rozgrzeszony ze wszystkich swych wwin dawniejszych — rzekł książę.

Nagle, zmieniwszy ton, spytał z pewną poufałą dobroduszością:

Co też sądzisz, co ja powinieneć był uczynić wobec dwóch nieprzyjaciół, stokroć potężniejszych, przeciwko którym obronić tego kraju nie mogłem?

Zginąć! — odpowiedział szorstko Kmicic.

Zazdrościć wam, żołnierzom, którym wolno tak łatwo zrzucić gniotące brzemię. Zginąć! Kto śmierci w oczy patrzył i nie boi się jej, temu nic prostszego w świecie. Was głowa nie boli o to i żadnemu na myśl nie przyjdzie, że gdybym ja teraz wojnę zaciekłą rozniewać i nie zawarłszy układu, zginął, tedyby kamień na kamieniu z tego kraju nie pozostał. Nie daj Bóg, aby się to stało, bo i w niebie nie znalazłaby dusza moja spoczynku. O, terque, quaterque beati, którzy możecie zginąć!... Zali to myślisz, że i mnie żywot już nie cięży, żem nie głodny wiekuistego snu i odpoczynienia? Ale trzeba kielich żołci i goryczy wychylić do dna. Trzeba ratować ten nieszczęśliwy kraj i dla jego ratunku pod nowym ugiąć się ciężarem. Niech zazdrośni posądzą mnie o puchę, niech mówią, że ojczynę zdrazzam dlatego, aby siebie wynieść, Bóg mnie widzi, Bóg sądzi, czy pragnę tego wyniesienia i czybym się nie zrzekł, gdyby inaczej być mogło... Znajdźciej wy,
którzy mnie odstępując, środek ratunku; wskaźcie drogę wy, którzyście mnie zdrają mianowali, a dziś jeszcze podrę ten dokument i wszystkie chorągwie z snu rozbudzę, aby na nieprzyjaciela ruszyć.

Kmicic milczał.

— No! czemu milczysz? — zawołał podniesionym głosem Radziwiłł — czynię cię na mojem miejscu hetmanem wielkim i wojewodą wileńskim, a ty nie giń, bo to nie sztuka, ale ratuj kraj: broń województw zajętych, pomści popioły Wilna, broń Żmudzi przeciw szwedzkiemu najściu, ba! broń całej Rzeczypospolitej, wyżeń z granic wszystkich nieprzyjaciół!... Porwij się samotrzeć na tysiące i nie giń!... i nie giń, bo ci nie wolno, ale ratuj kraj!...

— Nie jestem hetmanem i wojewodą wileńskiem — odparł Kmicic — i co do mnie nie należy, to nie moja głowa... Ale jeśli chodzi o to, by się porwać samotrzeć na tysiące, to się porwę!

— Słuchaj tedy żołnierzu: skoro nie twoja głowa ma ratować kraj, to zostaw to mojej i ufaj!

— Nie mogę! — rzekł ze ścisniętymi zębami Kmicic.

Radziwiłł potrząsnął głową:

— Nie liczyłem na tamtych, spodziewałem się tego, co się stało, alem się na tobie zawiódł. Nie przeżywaj i słuchaj... Postawiłem cię na nogi, uwolniłem od sądu i od kary, przygarnąłem do serca, jak syna. Czy wiesz dlaczego? Bom myślał, że masz duszę śmiałą, do wielkich przedsięwzięć gotową. Potrzebowałem takich ludzi, tego nie ukrywam. Nie było koło mnie nikogo, który śmiał w słońce spojrzeć nieulekniętym okiem. Byli ludzie małego ducha i małej fantazji. Takim nie
ukazuj nigdy innej drogi, jak ta, po której oni sami
i ich ojcowie chodzić zwykli, bo cię zakraczą, że ich na
manowce prowadzisz. A przecie gdzie, jeżeli nie do
przepaści, doszliśmy wszyscy owemi staremi drogami?
Co się dzieje z tą Rzecząpospolitą, która nigdyś światu
przegrać mogła?

Tu książe głowę wziął w ręce i powtórzył potrzyć-
kroczeń!

Boże! Boże! Boże!...

Po chwili tak mówił dalej:

Nadeszły czasy gniewu Bożego, czasy takich
klęsk i takiego upadku, że zwykłemi sposoby już nam
się nie podnieść z tej choroby, a gdy ja chcą użyć no-
wych, jedynie salutem przynieść mogących, tedy mnie
opuszczając nawet ci, na których gotowość liczyłem, któ-
rzy powinni mi byli ufać, którzy mi ufność na krucyfiksie
zaprzysięgli... Przez krew i rany Chrystusa! Zali ty
myślisz, że ja na wieki poddałem się pod protekcją
Karola Gustawa, że ja ten kraj naprawdę myślę ze
Szwecją połączyć, że ten układ, za który zdrają mnie
okrzyknięto, dłużej niż rok trwać będzie?... Czegożto
spoglądasz zdumionem oczyma?... Więcej się jeszcze
zdumiejesz, gdy wszystkiego wysłuchasz... Więcej się
przerazisz, bo tu stanie się coś takiego, czego nikt się
nie domyśla, nikt nie przypuszcza, czego umysł zwyczaj-
nego człowieka objąć nie zdoła. Ale mówię ci, nie drżyj,
bo w tem zbawienie tego kraju, nie cofaj się, bo gdy
nikogo nie znajdę do pomocy, tedy może zgine, ale ze
mną zginie Rzeczpospolita i wy wszyscy — na wieki! Ja
jeden uratować ją mogę, ale na to muszę zgnieść i zdep-
tać wszystkie przeszkody. Biada temu, kto mi się oprze,
bo sam Bóg go przeze mnie zetrze, czy to będzie pan
wojewoda witebski, czy pan podskarbi Gosiewski, czy wojsko, czy szlachta oporna. Chcę ratować ojczyznę i wszystkie drogi, wszystkie sposoby do tego mi dobre... Rzym w chwilach kleśki mianował dyktatorów — takiej, ba! większej, trwalszej władzy mi potrzeba... Nie pycha mnie do niej ciągnie — kto się cuje na siłach, niech ją za mnie bierze! Ale gdy niema nikogo, ja ją wezmę, chyba mi te mury pierwier upadną na głowę!...

To rzekłszy, książę wyciągnął obie ręce do góry, jakby naprawdę chciał podeprzeć walące się sklepienia i było w nim coś tak olbrzymiego, że Kmicic otworzył szeroko oczy i patrzył nań, jakby go nigdy dotąd nie widział — a nakoniec spytał zmienionym głosem:

— Dokąd wasza książęca mość dążysz?... Czego chcesz?...

— Chcę... korony! — zakrzyknął Radziwiłł.
— Jezus, Marya!...

Nastąpiła chwila głuchej ciszy — jeno puszczyk na wieży zamkowej począł się śmiać przeraźliwie.

— Słuchaj, — rzekł książę — czas powiedzieć ci wszystko... Rzeczpospolita ginie... i zginąć musi. Niemasz dla niej na ziemi ratunku. Chodzi o to, by najprędzej ten kraj, tę naszę ojczyznę bliższą, ocalić z rozbicia... a potem... potem wszystko odrodzić z popiołów, jako się feniks odradza... Ja to uczynię... i tę koronę, której chcę, włożę jako ciężar na głowę, by z onej wielkiej mogły żywot nowy wyprowadzić... Nie drżyj! ziemia się nie rozpadła, wszystko stoi na dawnem miejscu, jeno czasy nowe przychodzą... Oddał ten kraj Szwedom, aby ich orężem drugiego nieprzyjaciela poha- mować, wyżenąć go z granic, odzyskać co stracone i w jego własnej stolicy mieczem traktat wymusić...
Słyszysz ty mnie? Ale w onej skalistej, głodnej Szwecji niemasz dość ludzi, dość sił, dość szabel, aby tę niezmierną Rzeczypospolitą zagarnąć. Mogą zwyciężyć raz i drugi nasze wojsko; utrzymać nas w poślubieństwie nie zdołają... Gdyby każdym dziesięciu ludziom tutejszym dodać za strażnika jednego Szweda, jeszczeby dla wielu dziesiątków strażników nie stało... I Karol Gustaw wie o tem dobrze i nie chce i nie może zagarnąć całej Rzeczypospolitej... Zajmie Prusy królewskie, część Wielkopolski co najwięcej — i tem się będzie kontentował. Ale aby owemi nabytkami mógł na przyszłe czasy bezpiecznie władnąć, musi sojusz Korony z nami rozerwać, bo inaczej nie osiedziałby się w tamtych prowincjach. Cóż się więc stanie z tym krajem? Komu go oddadzą? Oto, jeśli ja odrzuce tę koronę, którą mi Bóg i fortuna na głowę kładą, tedy oddadzą go temu, kto go w tej chwili istotnie opanował... Lecz Karol Gustaw nie rad tego czynić, by sąsiedzkie potęgi zbytnio nie utuczyć i groźnego sobie nieprzyjaciela nie stworzyć. Chyba, że ja koronę odrzucę, wówczas musi tak być... Zali więc mam prawo ją odrzucać? Zali mogę pozwolić, aby stało się to, co ostatnią zgubą grozi? Po raz dziesiąty i setny pytam: gdzie inny środek ratunku? Niech się więc dzieje wola Boża! Biorę ten ciężar na ramiona. Szwedzi są za mną, elektor, nasz krewny, pomoc przyrzeka. Uwolnę kraj od wojny! Od zwycięstw i roszczerzenia granic rozpocznę panowanie domu mego. Zakwitnie spokój i pomyślność, ogień nie będzie palił wsi i miast. Tak będzie i tak być musi... Tak mi dopomóg Bóg i święty krzyż — bo czuję w sobie siłę i moc z nieba mi daną, bo chcę szczęścia tej krainy, bo nie tu jeszcze koniec moich zamysłów... I na tę światła niebieskie
przysięgam, na te drgające gwiazdy, że niech jeno sił i zdrowia mi starczy, a cały ten gmach walący się dzisiaj odbuduję nanowo i potężniejszym, niż dotąd go uczynię.

Ogień bił ze źrenic i oezu księcia i całej jego pośtać otaczał jakiś blask niezwykły.

— Wasza ks. mość! — zakrzyknął Kmicic — umysł objąć tego nie może, głowa pęka, oczy boją się patrzeć przed siebie!

— Potem — mówił dalej Radziwiłł, jakby idąc za dalszym biegiem własnych myśli — potem... Jana Kazimierza nie pozbawią Szwedzi państwa, ni panowania, ale go w Mazowszu i Małopolsce zostawią. Bóg mu nie dał potomstwa. Potem przyjdzie elekcya... Kogoż na tron wybiorą, jeśli chcą dalszy sojusz z Litwą utrzymać? Kiedyż to tamta korona doszła do potęgi i zgniotła moc krzyżacką? Oto, gdy na jej tronie zasiądł Władysław Jagiełło. I teraz tak będzie... Polacy nie mogą kogo innego na tron powołać, jeno tego, kto tu będzie panować. Nie mogą i nie uczynią tego, bo zginą, bo im między Niemcami i Turczynem powietrza w piersi nie stanie, gdy i tak rak kozacki pierś tę toczy. Nie mogą! Ślepy, kto tego nie widzi; głupi, kto tego nie rozumie! A wówczas obie krainy znowu się połączą i zleją się w jedną potęgę w domu moim! Wówczas obaczym, czy oni królowie skandynawscy ostoją się przy dzisiejszych pruskich i wielkopolskich nabytkach. Wówczas powiem im: quos ego! i tą stopą wychudłe zebra im przycisnę i stworzę taką potęgę, jakiej świat nie widział, o jakiej dzieje nie pisały, a może do Konstantynopola krzyż, miecz i ogień poniesiem i grozić będziem nieprzyjaźnielowem, spokojni wewnątrz! Wielki Boże, który obra-
czas gwiazd kręgi, dajże mi ocalić tę nieszczęsną krainę
na chwałę Twoję i całego chrześcijaństwa, dajże mi lu-
dzi, którzy by zrozumieli myśl moją i do zbawienia
chcieli rękę przyłożyć. Otom jest!...

Tu książę ręce rozłożył i oczy podniósł do góry:
— Ty mnie widzisz! Ty mnie sądzisz!...
— Idź! opuść mnie! rzuć mi buzdygan pod nogi!
złam przysięgę! przezwij zdrajecą!... Niech w tej koronie
- cierniowej, którą mi na głowę włożono, żadnego
ciernia nie zbraknie! Zgubcie kraj, pograżcie go w prze-
paść, odtrącicie rękę, która go zbawić może i na sąd
boży idźcie... Tam niechaj nas rozsądzają...

Kmiecic rzucił się na kolana przed Radziwiłłem.
— Mości książę! ja z tobą do śmierci! ojcie oj-
czyzny! zbawco!

Radziwiłł złożył mu obie ręce na głowie i znów
nastała chwila milczenia... Jeno puszczyk śmiał się
ciągłe na wieży.
— Wszystko otrzymasz, czegoś pragnął i pozą-
dał — rzekł uroczyście książę. — Nic cię nie minie,
a więcej spotka, niż ci ojciec i matka życzyli... Wstań
przyszły hetmanie wielki i wojewoda wileński!...

Na niebie poczęło świtać.

KONIEC TOMU I PIERWSZEGO.
PC 7158
.54
PL
188
± .1